













J. JAGODA

J. I. KRASZEWSKI

# BOLESZCZYCE

WYDAWNICTWO M. ARCTA w WARSZAWIE



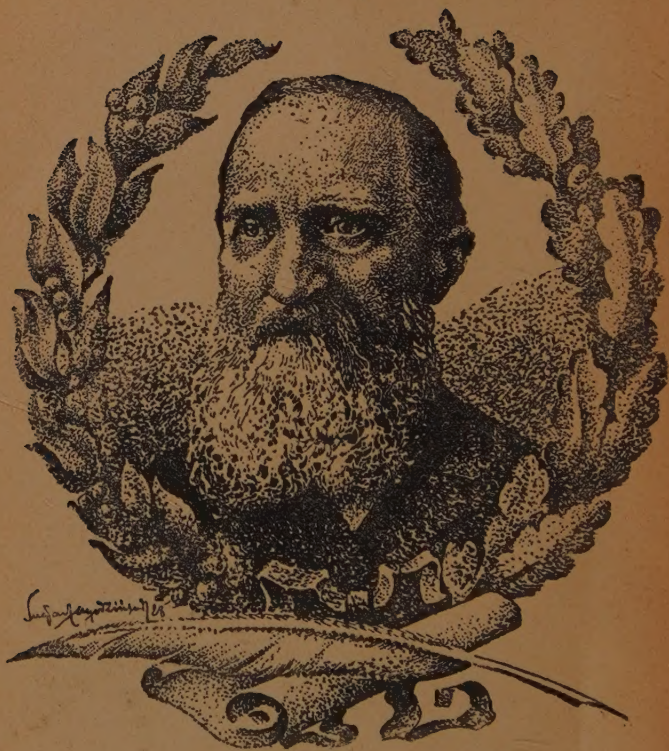
BIBLIOTEKA WIELKICH PISARZÓW

SERJA I: J. I. KRASZEWSKIEGO POWIEŚCI HISTORYCZNE

10 TOMÓW KWARTALNIE

## BOLESZCZYCE

M. ARCT, ZAKŁADY WYDAWNICZE, SP. AKC. W WARSZAWIE



JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

ur. 1812 r. † 1887 r.



POWIEŚCI HISTORYCZNE – Tom XI

---

J. I. KRASZEWSKI

# BOLESZCZYCE

POWIEŚĆ

Z CZASÓW BOLESŁAWA SZCZODREGO

CZĘŚĆ I



1 9 2 9

---

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

PRINTED IN POLAND

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH  
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE  
CZERNIAKOWSKA 225.



## I.

Było to na wiosnę 1079 roku.

Drzewa się już rozwijać poczynają, gdzie niegdzie dąb głuchy stał tylko jeszcze z pączkami nabrzętkami, niedowierzając wczesnemu w tym roku ciepłu, słońcu i pogodzie. Dokoła szumiała i woniała Niepołomicka puszcza, wśród niej na zielonej łące, u strumienia, przy którym złościły się gęsto rozkwitłe łotocie, w cieniu drzew kilku, które występowały z lasu, siedzieli i leżeli na ziemi odpoczywający podróżni czy myśliwcy. — Czeladź ich przy małym ogniu grzała sobie strawę i przypiekała mięsiwo; panowie, na pagórku zasiadłszy, gwarzyli między sobą pocichu. Było ich pięciu ludzi, średniego wieku, raczej młodych niż starych, a po odzieży i twarzy łącznie rozpoznać mógł każdy, że do możnych należeli rodów. Patrzyło im z oczu, że rozkazywać byli nawykli, a choć do lasu przystrajać się nie potrzebowali, wszystko, co na sobie mieli, dowodziło dostatku i zamięłowania w pewnej wytworności.

Pod samym dębem starym, który stał w pośrodku, z rękami wtył zarzuconemi, siedział z odkrytą głową lat średnich mężczyzna, przystojnej twarzy, butnego wyrazu, z jasną, bujną brodą, która mu się szeroko na piersi rozkładała. — Rumiany, zdrów, z oczyma niebieskimi, nosem orlim, na ustach miał uśmieszek, pogardliwy zarazem, wesoły i dumny. Odziany w kaftan skórzany, wyszywany barwisto, na którym drugi, lżejszy wisiał wolno porozpinany, odjął był miecz, złożyw-

szy go na boku, i czapkę przykrył; piersi miał napół odsłonięte, włos porozrzucany. — Widać, że mu błogo było, tak wygodnie wyciągniętemu, na suchej ziemi, mchu i darni używać wczasu w cieniu. Umieścił się też, jak mógł, najlepiej, niewiele się troszcząc, jak to będzie wyglądało.

Obok niego siedzący, młodszy z twarzy, a rysami doń podobni, równie byli porozpierani wygodnie, rozkładali się ze swobodą — jedni napół leżąc, drudzy na rękach głowy złożwszy.

Ubiory wszystkich były krojem i barwami do siebie podobne, z cienkich tkanin, kaftany jednym szyte wzorem, obuwie misternie pookowywane, szłyki lekkie, futrzane, jednego kształtu i sierści.

Poza nimi i około nich porozrzucane były łowieckie i rycerskie przybory, łuki, lekkie oszczepy, ostre zakończono żelazcami, miecze małe i noże w bogatych oprawach. I te znać z jednego wychodziły skarbcza, bo wszystkie były prawie jednakie.

To, co o stroju i zbroi — powiedzieć było można i o ludziach, spojrzawszy na twarze; widać było, że jednego pochodzili rodu, bo choć w obliczach tych wyraz był nieco odmienny, choć wiek różny, rysy mieli dziwnie do siebie podobne. — Orle ich nosy, ciemniejszych nieco, lub świetlejszych odcieni, włosy jasne, usta mięsiste, pociągłe twarze, wysokie czoła, wszyscy mieli jednego kroju. — W ruchach też ich było pokrewieństwo, w mowie dźwięki brzmiały tonem jednym.

Była to jedna krew w różnych rozkwitnieniu stanach, jeden typ, urozmaicony odmianami, jakie do nieukończoności umie mu nadawać natura.

Siedzący pod dębem, był widocznie najstarszym z braci, i zdawał się też rej wieść między nimi.

Słońce się już było ku zachodowi skłaniać zaczęło, ale promienie jego mocno jeszcze dogrzewały; gromadka też, odpoczywająca, nie myślała się ruszać z wygodnej zaciszy, i chłodem, a cieniem lasu się rozkoszowała. Pomiedzy nimi stały rogowe kubki podróżne, ponalewane miodem i naczynia z wodą, którą ludzie



z niedalekiego zaczerpnęli zdioju. Niedaleko od nich, na łące, pasły się bujną trawą wiosenną konie zażywe z szerścią lśniąca, grzywami długimi, suchymi nóżkami, nieco dzikie. — Niekiedy podnosiły głowy, jakby się rozpatrzyć chciały, a te, które się napasły, zaczęły się, do zabawy i walki wyzywając. Wesole to były stworzenia, jak panowie, co pod dębami spoczywali.

Ludzie nie spuszczaali ich z oka, na uboczu siedząc przy dogasającym ognisku, otoczeni zgrają psów, z których jedne leżały, drugie resztek jadła szukały dokoła. Na berłach, wbitych w ziemię, widać było osadzone trzy zakapturzone i spętane ptaki.

Szum wiatru, rżenie koni, skowyczenie psie i swary, cichy szept czeladzi przerywały tylko milczenie. Młoda owa drużyna siedziała, jakby odpoczywając po znużeniu, usta nawet leniąc się otworzyć. Czasem który sięgnął do kubka, z miodem lub naczynia z wodą, napił się, otarł usta i legł znowu, pół drzemiąc, napół czuwając. — Spoglądali na cienie od słońca, jakby wyczekiwali nadchodzącego wieczora.

Choć rażno, a butnie wyglądali myśliwcy, nie można było powiedzieć, aby się na ich twarzach odbijało wesele; rycerska ochota była w spojrzeniu, lecz z niepokojem pewnym zmieszana. Niekiedy wzrok starszego utkwiał wdali nieruchomy, a myśl się widocznie zabłąkała też daleko od puszczy i doliny. Drudzy dumali również nad wiek poważnie i tęskno.

— A no! czasby może do powrotu? — odezwał się ziewając ten, co u dębu siedział, a któremu imię Borzywój było.

— Czegóż się tak śpieszyć mamy — odparł drugi, wyciągnięty na ziemi, szczypiąc trawę i wyrrywając drobne kwiatki, którymi był otoczony. — Zwano go Zbilutem, a chłopak był piękny, rumiany i włos miał obfity, złocisty, który mu spadał na ramiona.

— Czego się śpieszyć mamy? nic nie pędzi, a tu jak u Boga za piecem cicho i wygodnie — człek choć spocznie.

— Pewnie — odezwał się trzeci — łowy też teraz, żał się Boże, nic potem; słońce piecze jak wśród lata, zwierz chudy, skóra z niego na licha się nie zdała, darmo się ganiać po lesie.

Ten, który to mówił, Dobrogost mu było imię, do starszych należał i twarz miał zmęczoną, a wyraz jej posępny. Pozostali nawet się nie odzywali, gdy Borzywój z pod dębu dodał:

— Na służbę do pana przecie warto pośpieszyć, aby mu tam tęskno, ani gniewno nie było, żeby którego nie zażądał...

— E — odparł jeden z tych, co milczeli, zwany Odolajem — jest komu nas zastąpić. W lesie człek trochę odetchnie, gdy na zamku we dnie i w nocy spoczynku niema.

— Od Bolka Wielkiego, pana u nas takiego, jak ten nie bywało... Drży przed nim, co żyje i co żywe słuchać go musi... — odezwał się Borzywój.

— Oj! oj! — przerwał Zbilut — nie tak to wszyscy mu się korzą, a bardzo słuchają. Podczas gdyśmy w Kijowie gościli, dużo się wyprzęgło i wiele do roboty zostało, póki znowu się ład wprowadzi. Ho! ho!

— Wszystko się to zrobi powoli, czekaj, — dodał Borzywój — początek już jest, przyjdzie koniec.

— I ja nie wątpię — rzekł Zbilut — gdyby tylko z rycerstwem było do czynienia, z ziemiany i żenkami ich, co sobie pohulały, gdy im się na mężów czekać sprzykrzyło — dawnoby już koniec temu był — ale się biskup wdał... a to już bieda, kiedy z szablami trzeba pod próg kościelny, i z tym panem do boju, który ma za oręż łaskę krzywą, bo jej nie odbić mieczem, a na głowie mitrę, jak królik jakiś. W kościele on też królem.

Namarszczył się Borzywój i westchnął.

Bodaj, żeby i wszędzie, po całej ziemi oni królami być nie chcieli, a królów za namiestników swych nie trzymali. — A no, z biskupem jednym radaby może łączniejsza była — mówił Dobrogost — choć i to człek twardy i uparty; gorzej, bo poza nim stoi dużo władzy.

ków i rycerstwa, którzy wolą księdza w rękę całować, niż królowi się pokłonić... Tym w gębie wędzidło nie smakuje, jużci im lepiej z rąk biskupów panować, niż królewskie spełniać rozkazanie...

— Kiedyś też z nimi się przyjdzie rozprawić — rzekł Ziemia — do tego się gotuje i musi dojść. Próżno ich biskup zasłania... a i z tym biskupem.

Rozmowa ta chmurami twarze powlokła.

Co tam o tem naprzód prawić! — odezwał się pochwili Borzywój, napół ziewając. — Kto wie, co się stać może; my jedno znać powinniśmy. Wszyscy, jako tu stoimy, Boleszczyce jesteśmy. Przezвано nas tak, drużynę pańską, jakby na urągowisko, dlatego, że przy królu Bolesławie stoimy; my się chwalimy tem imieniem, żeśmy Boleszczyce, prawi słudzy jego! Znajmyż to, że gdy skinie, my za nim w ogień, czy w wodę.

— W ogień i wodę! — zawołali wszyscy.

A Zbilut dodał, śmiejąc się:

— A jak na biskupa skinie!

— To co? — odparł Borzywój — my swej woli nie mamy, tylko jego: ja pójdę, kędy powie.

Drudzy zmilczeli, patrząc po sobie.

— E! — cicho przebaknął Ziemia — gdyby się jednak z biskupem mir złożył, lepiejby było bodaj księdza nie zaczepiać. Mają oni takie siły i moc, której żaden król niema. Prawda, że król żelazny i mężny, ano i ten twardy, kamienny, bo czuje poza sobą nietylko władyków, ale anioły i świętych!

— Tymczasem cień się długi wyciągnął.

— Do koni! do koni!

Wszyscy zwolna ze swych legowisk się ruszać poczęli, skinąwszy na ludzi, którzy zrywali się szybko, biegnąc na łąkę, gdy odjazdu znak dano, a psy za nimi pobiegły, wesoło się przeganiając, aby pasące się pochwycić wierzchowce. Te choć popętane, uciekać nie mogąc, rwały się i skakały.

W milczeniu młodzież przypasywała mieczyki. Każdy broń swą rozpoznając, brał z kupy, głowę nakrywał,

kaftan zapinał. Niektórzy kubki dopijając, chowali je do worków u pasa.

Gotowano się do odjazdu, gdy po drodze, co nieopodal wybita szeroko szła lasem ku Krakowu, zatętniało zdaleka. Wszystkich oczy zwróciły się w tę stronę, skąd głos przychodził, schylając się, aby pod gałęziami zobaczyć przybywających. Liścia jeszcze nie puściły były wszystkie, więc z za nich dobrze drogę widać było.

Milczeli, pośpieszając przypasywać miecze i łuki mieć wpogotowiu, choć żadnego nieprzyjaciela obawiać się nie mieli powodu. Tętent, zbliżając się, począł się mieszać z gwarą rozmową kilku jezdnych...

Borzywój, który naprzód najdalej się wysunął, dał znak ręką braciom, i obróciwszy się, szepnął ku nim:

— Mściśław z Bużenina! — powiedział, rozśmiawszy się szydersko.

— Czyby go nie pozdrowić? boć to zasłużony człek! — złośliwie, z przekąsem rzekł Zbilut do braci.

— Od nas, Boleszczyców, poznałby się na drwinach! — odezwał się drugi. — Dać mu pokój. Ma on i bez tego zgryzoty dość.

Wszyscy ciekawie spoglądali, chcąc się przypatrzeć zapowiedzianemu. Droga szła tak blisko od ognia i miejsca, na którem stali Boleszczycy, iż pominąć ich, nie widząc — nie było podobna.

Wszyscy jeszcze podsunęli się o kilka kroków naprzód i stanęli niemal wyzywająco. W boki się pobrali, twarze nastroili butno i szydersko, czapki pokładli na głowy, przewiesiwszy je na ucho. Strasznie zaczępnie i zwadliwie im z oczów patrzyło.

Wtem na drodze orszak jezdnych się pokazał. Przodem ich jechało trzech; rycerz lekko zbrojny, ciemnych, siwiejących już nieco włosów, twarzy rozgniewanej, pochmurnej, smutnej, — mąż w czerni, wyglądający na kapłana, i młode pachole, wesołe, zręczne, z wesołemi oczyma. Za nimi szło ludzi zbrojnych sześciu, wiozących broń i w sakwach zapasy podrózne.

Ten, który się dowodzić zdawał, nazwany Mścislawem z Bużenina, choć wyraz jego rysów gniewny stan duszy malował, w innych ludziach obudziłby raczej politowanie, niż szyderstwo, tak z oczów i czoła głęboki wyglądał smutek.

Gdy nadjeżdżającym pokazali się ci, co nad drogą stali, zachnął się nieco Mścislaw, brwi zmarszczył, usta mu się zatrzęsły, ręka się zdawała szukać czegoś; oczyma powiódł po ludziach swych, ale wnet, jakby ochłonnawszy, koniowi popuścił cugli, uderzył go, pośpieszał. Mijając wszakże Boleszczyców, wejrzenie groźne, śmiałe skierował ku nim, jakby chciał dowieść, że się ich nie lęka... Ręką się wziął w bok i tak ich mijał, jakby żadnego nie znał.

Ani Boleszczycy, ani ów podróżny, którego oni Mścislawem z Bużenina nazwali, cicho między sobą żarty zeń strojąc jawne, nie myśleli się pozdrawiać. Oczyma się mierzyli, ścigali z pogardą i gniewem, lecz ni z jednej, ni z drugiej strony wzrok sobie nie chciał ustąpić. Widać było, że mało co brakło, by się nie rzucili na siebie.

Pan z Bużenina konia zrazu popędził, potem, namyśliwszy się, strzymał go umyślnie, stępią jadąc, minął Boleszczyców i czeladź ich, która z końmi nadciągała. Dopiero gdy cała gromadka o kilka kroków odjechała, a Mścislawa plecy już tylko widać było, w kupce stojących nad drogą, parsknęły śmiechy głośne, dojmujące, szyderskie.

Zdawało się, że Boleszczycy z niemi wybuchli namyślnie, popisując się hałaśliwą wesołością, zanosili się rozlegającymi śmiechami, jedni po drugich, i co który ustał, poczynął inny, a reszta mu wtórowała.

Jeźdźcy, odjechawszy nieco gościńcem, stanęli, jakby się namyślając, czy mają upomnieć się o zniewagę: słyhać było głos męski gniewny i drugi duchownego, który hamował i uspokajał. Boleszczycy stali nieuleknieni, niewzruszeni, brali się tylko do mieczyków, poglądając po sobie; lecz po chwili tętent koni powolny oznajmił, że jeźdźcy dalej ciągnęli w milczeniu.

— Nieboszczyk mąż pięknej Krysty! On sam! poznałem go zdala!... — odezwał się Borzywój. — On sam.

— On! on! — potwierdzili inni — ale jakże zastarzał.

— Słyszę, teraz dopiero żonę kochać strasznie począł, gdy mu ją król wziął — mówił Dobrogost — rady sobie po niej dać nie może...

— Sam sobie winien, głupi człek! — dodał Zemia — nie przyszłoby do tego, żeby rozum miał...

— Cóżby mu rozum pomógł — odezwał się drugi.

— Nie zaszkodziłby — mówił Dobrogost. — Tyś na to nie patrzył jak my, a gadasz; myśmy świadkami byli, wiemy, jak sprawa szła; nam, nie tobie sądzić o tem. Tyś jeszcze podówczas, czy w Jakuszowicach, czy w Zborowie za łańcuchami latał...

— A nauczcież miłościwie, jak to było? — rzekł młodszy — ciekawym.

— Naprzód głupi człek — mówił starszy — że taką śliczną, młodą żonkę, wystroiwszy jak łątkę, przywiózł na okaz na dwór królowej, jakby mu pilno się z nią pochwalić było. Doma ją trzymać winien był za zasuwą i nie pokazywać nawet rodzonemu bratu. Toć śliczność jest, jakiej drugiej niema.

— Prawda! — potwierdził Zbilut gorąco — dziś na zamku ona królową i gdzie się pokaże — królowa... Człekby za nią w ogień i wodę skoczyć gotów!

— Król też nie mnich — mówił pierwszy — aby sobie oczy zakrywał, gdy mu hoże liczko wpadnie do oka. Jak ją raz zobaczył — spokoju nie miał, póki znowu jej nie widział. Mnie dziw tylko, że ją pierwszego dnia puścili z zamku! Ile nas było wówczas, szepotaliśmy sobie: — król ją weźmie! — A co za dziw? Królowa niemłoda, zajęta synkiem, a taką hożą, jak ta, nigdy nie była... Czy to królowi nie należy się najpiękniejsza w królestwie niewiasta, jak na wsi panu?

Mścisław zmiarkował od pierwszego razu, że król mu się coś do żony bardzo swatał, bo od niej cały dzień



nie odstał. A i Krysta nie była od tego; co król, to król, lepiej być królewską kochanką, niż ziemianina żoną!

Wywiózł ją mąż do Bużenina, toć przecież nie za światem! — Pojechaliśmy w tamtą stronę na łowy, dobrawszy taką porę, kiedy pana doma nie było. Zmiarkowali zaraz wszyscy o co królowi szło. Byłem z nim, gdy do dworu pociągnął; musiała żona wyjść przeciw, bo gospodarza nie było. Król się nam obozem rozłożyć kazał w podwórcu, a sam do dworca szedł i został tam dzień jeden i drugi. Drugiego dnia już wszyscy wiedzieli, że ją z sobą wywieziemy. Młodziutkie stworzenie dało się wziąć jak kuropatwa, kiedy jastrząb nad nią zawiśnie. Płakała niby i opierała się wrzekomo, a śmiała drugim oczkiem i szła bez przymusu.

Trzeciego dnia jechaliśmy do Krakowa, upolowawszy jeno Krystę, ale ta nam za najlepszą stała zwierzynę. Król ją na zamku we dworcu posadził osobnym i pilnuje, jak oka w głowie.

Stał się dopiero srogi krzyk i wrzask a gwałt! Jakby królowi nie wolno było mieć miłośnic! Albo to ich Mieszkowi broniła Dubrawka? Albo Bolko Chrobry, to nie chował ich we dworze, ile mu się chciało? Albo to cesarze i panowie tego samego nie czynili co dnia?

— Tać — rzekł drugi cicho — niechby był brał, jaką chciał, tylko nie ziemianina żonę. Drudzy tego nie czynili.

— Kto tam wie! — ciągnął dalej opowiadający. — Bywało to różnie; wrzawy takiej dla jednej niewiasty nie podnoszono. Biskupowi, co do króla ząb miał, było to na rękę. Wziął się sam za tę sprawę i począł grozić. Ale król się z niego i z grózb tych śmieje — a Krysta na dworze została i siedzi.

— Czego bo od niego chcą i biskup i królowa? — przerwał Ziemia — alboby lepiej było, żeby królowę odprawił, a drugą wziął sobie natomiast? Przecie się matce Mieszkowej krzywda nie dzieje, bo jej wszyscy, cześć oddają.

— Dość bo już tego mlewa, z którego tylko otręby! — krzyknął Borzywój, ruszając się. — Na konie

czas siadać! — Mała rzecz a gadania bez miary. Biskup z tego straszne rzeczy robi, bo mu tak trzeba; przez Mściława wszystkich władyków i ziemian burzy, że już żon i córek swych nie są bezpieczni. — Jak królowi doje, to co się dziś śmieje, burknie, — nie daj Boże z nim wówczas rozprawy, nie daj!

Zbilut, w oczy starszemu spojrzawszy, szepnął ciszej:

— Nie godzi się to może panu bratu starszemu przymawiać, ani go drażnić; — anobym rzekł, że sprawy królewskiej tak broni, bo i jemu Kryście w oczy zaglądaćby się chciało! Ej! ej!

Borzywój namarszczył się i pięść mu ściśniętą pokazał.

— Milczałbyś ty, gołowaśie jakiś, co mleko masz pod nosem! Dam ja ci! dam!

Zbilut pokorną zrobił minę, głowę w ramiona schował, a zpodębła uśmiechał się do braci, — tylko starszemu w oczy spojrzeć nie śmiał.

Drudzy też na starszego spoglądając, potrosze się śmiali i poprychiwali.

Borzywój, choć tak srogą twarz był przybrał zrazu, sam też nieco usta skrzywił i, nic nie mówiąc, zbierał się do drogi.

Słońce, chociaż już dawno było z południa, jeszcze na niebie kawał przebiec miało do zachodu; — ale już upał wiosenny się zmniejszył, chmurki przyciemniały i powietrze było do oddychania lżejsze.

Aż miło jechać było i Boleszczyce, nie śpiesząc, przebywali skraje puszczy, pod sam już wieczór, wydobywając się z niej w żyzny kraj ku Krakowu. Tu też ruch na gościńcu zaczynał być znaczniejszy coraz; spotykali więcej wozów, konnych i pieszych ludzi.

Wszystko to na widok jadących, którzy z czeladzią, psami i ptakami — całą szerokość drogi zajmowali, zdala już ustępowało przed nimi, zsuwało się na kraje, piesi stawali, kłaniając się do ziemi, bo w nich królewską drużynę poznawano.

Boleszczyce, jakby byli w swoim prawie, nie my-



śleli ustępować, ani się ścisnąć dla nikogo; — wozy nawet musiały przed nimi zjeżdżać na role.

Psy uganiały się swobodnie za owcami po polu, a odpędzić ich nie śmieli pastusi. Była to królewska drużyna.

Nad wieczorem już byli za lasem w otwartym miejscu, gdy zdala ukazał się naprzeciw nich jezdny orszak, który też zajmował drogę całą.

Borzywój, gdy się do niego zbliżyli, wpatrzywszy się weń, oczyma dał znak swoim braciom i czeladzi, ażeby nie ustępowali.

Zdala widać już było ludzi konnych i zbrojnych, skromnie poddziwianych z cudzoziemska. — Liczba ich nie przechodziła gromadki Boleszczyców z ich czeladzią.

— To biskupi dwór i słudzy — odezwał się Borzywój półgłosem. — Ja ich znam, musi ktoś jechać z jego pobocznych, jeśli nie on sam... Dokąd? kto wie. Ano mniejsza o to, choćby i sam biskup był, czego mamy mu ustępować! albo nie jesteśmy królewską drużyną?

— Nie ustąpić pewnie — zawołał Dobrogost.

— A no, nie! nie! — zaczęli powtarzać inni, mając się już oreży.

Oczy się im zapalać poczęły.

— Nie przepuścimy — powtarzali.

Dwa orszaki coraz się ku sobie zbliżały. Z drugiej też strony musiano poznać, z kim miano do czynienia; ludzie się nieco zatrzymali, zwalniając kroku, jakby dla narady, co począć mieli.

Tylko jeden, przodem jadący, na nic się nie zdawał uważać, wyprzedzając tych, co mu towarzyszyli.

W milczeniu, ściśnięci, oszczepy trzymając w rękę, ławą jechali Boleszczyce, ramię do ramienia, w bok się biorąc i butę okazując straszliwą.

Jeden drugiemu oczyma odwagi dodawał; — spoglądali na czeladź, aby ją utrzymać w porządku. Borzywój, niby wódz, zajął miejsce w pośrodku i postępo-

wali zwolna, ale tak, jakby na nieprzyjaciela uderzyć mieli.

Z tamtej strony ciszej i spokojniej szli ludzie, jakby pewni, że się im nic stać nie może. Patrzali przed się nieuleknieni wcale, nie okazując żadnego wrażenia.

W pośrodku ich jechał na koniu kapą okrytym mężczyzna lat średnich, pięknej postawy, wspaniałego oblicza. Wierzchowiec jego, spokojny, nie świecił żadnymi ozdobnymi rzędami, ani wisiadły; na sukni czarnej, którą on sam był odziany, oprócz krzyża na piersi nic więcej widać nie było. Twarz, nie potrzebując innych oznak dostojności, znamionowała męża, co się czuł silnym i nad pospolity tłum wzniesionym wysoko.

Wejrzenie miał, które raz zwrócone na człowieka, zmuszało do poszanowania i trwogi, nie żeby gniewne było, albo surowością zaprawne, ale płomieniał z niego majestat i siła jakaś niezwyciężona. Piękne rysy osłaniał spokój niewzruszony.

Jechał, zwolna powstrzymując konia, jakby chciał dać czas do namysłu tym, co mu drogę zastępowali. Czeladź, otaczająca go, choć zbrojna, nie śpieszyła się z żadną oznaką, jakoby gościniec sobie miała torować siłą; jak on sam zdała się pewną, iż broni użyć nie będzie potrzebowała.

Borzywój mocno się nasrożywszy, gdy oko w oko stanął z jadącym naprzeciw, widocznie się zawahał, rzucił wejrzeniem gniewnem, lecz — stało się to sam nie wiedział jak — ustąpił w bok, konia ściągawszy gwałtownie i szparko, tak że na tylnych osadził się nogach.

Inni też, zobaczywszy to, ruszyli nieco z miejsc, tak, że dla orszaku biskupiego pozostał wolny wąski przesmyk, między dwiema kupkami ściśniętych Boleszczyców, jakby go między siebie wziąć i osaczyć chcieli.

Nieulekniony biskup konia potrącił nogą i wjechał w tę gromadkę zwolna, nie śpiesząc się wcale, ani się troszcząc o to, co się z ludźmi jego stanie.

Ci za przykładem pana jechać środkiem chcieli,

gdy, biskupa przepuściwszy, Boleszczyce się ścisnęli groźnie i pozostała czeladź musiała, pana samego zostawiwszy, zjechać z gościńca w pole, przyśpieszając kroku, jakby uchodziła.

Zaledwie się to stało, Boleszczyce, ochłonawszy obejrzeni się za siebie, naśmiewając się i szydząc, a w istocie, chcąc pokryć wrazenie, którego doznali, niektórzy ręce zbrojne podnosili do góry.

Biskup nie widział tego, gdyż wzroku nie zwrócił ku nim, towarzysze tylko ze szmerem oburzenia dognali go oburzeni i gniewni, aż wkrótce na zakręcie drogi znikł im z oczów poczet cały.

— Czegóżes mu z drogi ustąpił! — zawołał Dobrogost do Borzywoja. — Było mu, stanąwszy, zaprzęć gościniec, a nie zjeżdżać wbok... niechby on był zmuszony cofnąć się przed nami, a nie my przed nim.

— Albo ja wiem, co się z moim koniem stało! — odparł Borzywój — uląkł się i wbok zachnął, nie zdążyłem go wstrzymać. Zresztą biskupem ci jest! A nie ustąpiłem się dla niego... tylko...

— Tylko dlaczego? — rozśmiał się Dobrogost.

— Aby ludzi mu wprawić w zamieszanie. Na gościncu się z nim rozprawiać nie nasza rzecz.

— Spojrzałeś ty mu w oczy? — odezwał się Zbilut.

— Cóż myślisz? — pewnie! — Wzrokubym się nie uląkł nieczyjego! — wołał Borzywój.

— Ale srogo patrzy jakoś, aż mrozem ścina — wtrącił Ziemia. — Ciarki po mnie poszły, gdy mijając go, oczy spotkałem!

Inni się nie przyznawali, starając pokryć wrazenie żartami i szyderstwami. Oglądano się jeszcze, ale już tylko tuman kurzawy widać było za nimi.

Słońce zapadało wśród wesółych chmur, pomalowanych dziwnie czerwono, złocisto, pomarańczowo i fioletowo. W górze obłoczki, jakby frendzlami oszyte, rozpinwały się po niebieskim tle niebios. Ptactwo uwiijało się gromadami w powietrzu, zabierając pośpiesznie do spoczynku, — mrok już z drugiej strony niebios nadchodził.

Jechali jakiś czas w milczeniu posepnem.

— Wyznaj Borzywój — szepnął Ziemia — i tyś się go uląkł, jak ja! Ani ci się dziwię. Ten ci to sam, co Piotrowina z martwych wskrzesił na świadectwo, nie-trudnoby mu więc było żywych martwymi uczynić, gdyby chciał. Ja wołałbym go ani widzieć, ani zaczepiać.

— Pewnie — szepnął starszy po długim przestanku. — Jak mam przeciw sobie żelazo i strzały, wiem, z kim walczę i co mi grozi; a z tymi, co niewidzialną siłą mogą zabić lub wskrzesić — jak tu wojować? Wołałbym, żeby i król z nim pokój zawarł, ale pono po czasie o tem myśleć. Biskup, srodze rozjątrzony, odgraża się na pana, iż go precz wyżenie.

— Wszyscy księża mówią teraz, że do tego doprowadzą króla, iż, jak cesarz papieża niedawno, on biskupa w nogę będzie musiał całować.

— Cesarza ja nie znam — dodał, pomilczawszy, Borzywój. — Ale króla do tego zmusić — bodaj ciężko będzie.

Spojrzeli po sobie, głowami potrząsając Boleszczyce i westchnęli.

— Co o cesarzu prawią, że mu papież nogę na karku postawił — przebaknął Zbilut — to tam baśnie być muszą, które klechy roznoszą, aby straszyć świeckich ludzi.

— Nie bajki — zaprzeczył Borzywój — słyszałem o tem nieraz od króla. Śmiał się z cesarza, mówiąc:

— Gdybym ja cesarzem był, rychlejby koronę postradał, niż cześć moją.

Gwarzyli tak jeszcze, jadąc, gdy się wdali na boku od gościńca pokazał dworzec znaczny, ostrokołami i drzewy otoczony. Na wyjaśnionych niebiosach drzewa i zabudowania malowały się ciemną masą, wśród której otwarte drzwi i okna silnie oświecone, błyskały jak ogniska, w podwórzu zaś pozapalane smolne beczki i stopy łuną szeroką ulicę zalewały. Zdawa widać było, jakby gorejące drzew wierzchołki i unoszące się w górę krwawe od płomieni dymy, iskrami natykane.

— Hej, hej! — zawołał wesoło Dobrogost. — Wszak ci to chyba się król tu zabawia na swym wiejskim dworze, bo któżby inny!

Ruszyli wszyscy ochoczo, pokrzykując.

— Król nasz! król... dobrze się nam go spotkało! A no, żywiej!

Kłusem puściła się cała gromadka, przyśpieszwszy kroku.

Im się bardziej zbliżali, tem światło większą luną na nich biło; wrzawę, śpiewy, gęśle słyhać było coraz donioślejsze.

— Król bezwątpienia... — powtarzano.

— I wesoło tam około pana naszego — mówili — w dobry czas ku wieczerzy przybywamy! Ani chybi z królem Krysta też być musi, a któż rad się jej nie uśmiecha, choć w oczy jej nie zajrzy?

Z wesołemi śmiechy i okrzyki Boleszczyce się zbliżyli ku wrotom, gdzie stała liczna czeladź; dalej konie powiązane do żłobów, stojących w dziedzińcu rzędami, — inne czeladź w rękę oprowadzała.

Przez okna, których otwarte okiennice naościę stały, w środku widać było pochodniami oświecone izby, z których wesołe śpiewy i brzęczenie muzyki dochodziło.

Zaledwie Boleszczyce w dziedziniec wjechali, zewsząd ich półgłosami witać zaczęto. Tu też dla czeladzi prawdziwie królewską ucztę zastawiono. Beczki stały gęsto, kubki i czerpaki przy nich, chleb leżał stosami, sery białały na słomianych matach i woń pieczonego mięsiwa rozchodziła się dokoła.

Drzwi i okna oblegała czeladź i dwór strojny i zbrojny bogato, ludzie orężni w pięknych sukniach.

Tuż pod złocistym okryciem, aż do ziemi spadającym, dwóch ludzi zwolna przeprowadziło piękną ulubioną klacz królewską, którą Orlicą zwano. Około niej z wielką pieczą i troskliwością kręcili się ludzie, chleb jej z rąk podając, to podstawując napój, ale ona obojętnie gardzić się zdawała.

Boleszczyce, witani wesoło, posiadali z koni, po-

ściągali suknie, pozapinali kaftany, pooddawali części uzbrojenia czeladzi, i wprzód, nim weszli do środka, przez okna starali się przypatrzeć obrazowi, który stąd wewnątrz dworu przedstawiało.

W izbie długiej, niskiej, a niezbyt szerokiej, którą, stojący przy ścianach pacholkomie oświecali, widać było ustawiony długi stół, okryty obrusami szytymi na Rusi wzorzysto, zastawiony naczyniami srebrnymi i złotymi. Konwie, dzbany, kubki, misy, wszystko było z tych kruszców grubo kute i świeciło, a lśniło się w blasku ogni.

Mnogość tych naczyń prawdziwie królewska, dziwiła ciekawy tłum, który, cisnąc się do okien, przypatrywał pańskiej biesiadzie. Nie odpychano gawiedzi, bo król łaskaw był dla prostych ludzi niekiedy aż do zbytku, tak, że ziemianie i rycerstwo za złe mu mieli, iż więcej nimi się opiekował, niż tymi, co z nim i za niego krew przelewali. Widać było ze swobodnych śmiechów i ruchów tych gromad, że się tu czuły, jakby u siebie i wcale się królewskiego dworu, jego ciwunów i sotników nie lękały.

Na szerokiej z poręczą ławie, obwieszanej suknem bogato, siedział na podwyższeniu średnich lat mężczyzna, ciemnych oczów, włosy i brody, którą nieco podstrzyżoną nosił, w sukni z jedwabiu złotem szytej, ze sznury i kutasy złotymi, bramowanej bogato. Na szyi miał gruby łańcuch, szeroki pas na biodrach i mieczyk przy nim kamieniami sadzony. Na głowie przechylony siedział szłyk szkarłatny z futerką. Nogi miał obcisło suknem okryte, zniechcenia założone jedna na drugą, ozute butami czerwonymi ze złotymi skówkami na nosach... Siedział rozparty wygodnie, rękę jedną na poręcz trzymając, drugą wyciągnawszy ku pięknej niewieście, którą miał obok siebie.

Twarcz jego, choć zmęczona, piękną jeszcze była, dumy, siły, namiętności i ufności w siebie pełną. Zdala znać w nim było króla, nienawykłego ustępować nikomu. Gorzały ogniem jakimś wewnętrznym rozplamione, żywo biegające oczy, wydatne usta wydatne były



i mięsiste, policzki okrywały rumieńce silne, czoło miał wyniosłe, nos orli z nozdrzami rozdętymi... Po twarzy widać było gdzieś niegdzie krwią wzdęte żyły, zdające się skórę podnosić, jakby im pod nią ciasno było. Z królewską dumą na twarzy tej łączyły się królewska ludzi pogarda i pycha niezmiernona. Młode i zdrowe lice, — życie i trudy jego już pofałdowały były i zmięły, wyciskając na niem ślady burz, przez które przeszło zwycięsko.

Czarne oczy czasami zmrużał dziwnie, niekiedy usta odymał, srożył się i marszczył, na chwilę prawie spokoju nie dając obliczu swemu. Biegały po niem prądy różne i widome dla wszystkich, bo się z niemi ukrywać nie chciał i nie potrzebował. Gniewy, radość, szyderstwo, oburzenie, zniecierpliwienie przelatywały po czołe, jak chmury po niebiosach, mieniały się, nikły, wracały, tak, że kto chciał, czytał w tej twarzy naocześnie stojącej, co się działo w duszy pana.

A twarz to była, jak kwietniowych dni niebo, zmienna, błękitem naprzemiany, obłokami czarnymi, chmurkami białymi, oponami szaremi, słońcem wesołym i złocistym malowana, której poranek nie ręczył za wieczór, a burza nie trwała dłużej pogody. Piorun mógł z niej uderzyć niespodziany, a w chwilę potem mogły się otworzyć spokojne błękity.

Od dziecka niemal pan, żołnierz, wódz, zwycięzca, co rozdawał korony, był nieuleknionym i nie rozumiał może, iżby dlań co niepodobnem być mogło.

Niewiasta, siedząca przy nim, piękna i młoda, na twarzyczce niemal dziecinnej, naiwnej, miała wyraz zalotności wyzywającej, śmiałej, nie wstydzącej się wcale.

Białej pści, z małym rumieńcem, nieco blada, czarnymi, wielkimi, wesołemi oczyma z pod ciemnych łuków brwi patrzyła w króla, jak w tęczę. Małeńkie jej usteczka uśmiechały się doń lubieżnie, a w uśmiechu, biały pasek ząbków śnieżnych przeglądał.

Ciemny włos rozpuszczony miała na ramiona, które się od niego bielsze jeszcze wydawały. Niebieska su-

kienka ze złotem szyciem, ciasno obejmująca kształty ciała, pokryta była drugą szkarłatną, w fałdach bogatych osłaniającą ją, odniechcenia rzuconą... Na piersiach, głowie, ramionach, rękach, u pasa świeciły złote ozdoby i wyglądały, gdzie tylko się mogły umieścić. Strojną była do zbytku, chciała być piękną i wyglądać po królewsku, choć na to się bardzo stroić nie potrzebowała. Młodość jej była pełna uroku, świeżości, wdzięku, który gasił wszelką urodę niewieścią, coby z nią chciała wystąpić do walki.

Król jedną ręką opierał się na białem jej ramieniu i z rozkoszą patrzył w czarne jej oczy, rozjaśnione weselem dziecinny.

Śmiała się jemu, światu, życiu, wszystkiemu, na co patrzała, mężczyznom, co przechodzili, złotym dzbanom, pochodniom i nocy pogodnej, która oknami zaglądała. Ani wstydu, ani uczucia innego nad to roztrzęsione wesele nie widać w niej było.

Smutnemu panu ten uśmiech perłowy musiał serce zastygłe rozgrzewać.

Tuż za tą królewską parą stało kilka niewiast młodych, pięknych, strojnych, wesołych także, szepecących poufnie między sobą, śmiejących się i chichoczących ciągle, spoglądających śmiało po mężczyznach, którzy króla otaczali...

Piękne te niewiasty zdawały się dobrane, aby i wesołość pani i jej wdzięczną twarzyczkę jeszcze weselszą i wdzięczniejszą czyniły. Przy niej wydawały się tak gminne, pospolite, jakby z innego pochodziły świata. Ich srom nawet był od jej zalotności bezwstydniejszym.

Dwór męski, który króla otaczał, składał się z samych młodych i rycerskich postaci. Niektóre z nich ledwie zdawały się wychodzić z dzieciństwa i puszek ledwie im na brodzie i na policzkach wysypywać zaczęła. Wszyscy oni błyszczeli od złota i bławatów, przepyszenie strojni i snąć lubujący się w wytwornej odzieży; — wszyscy mieli twarze wesołe, usta uśmiechnięte, na licu trochę pańskiej dumy i były dworaczek.

Ani jednej siwej głowy, ni jednego starca poważ-



niejszego w całym tem okoleniu nie było. Król się wydawał najstarszym ze wszystkich, najbardziej uwiedzionym.

Wszyscy, stojący około pana, czekali, patrzali rozkazu i skinienia, zdając się chcieć odgadnąć z oczów króla, jakiej może zapragnąć usługi. Nawet mieniając wejrzenia z niewiastami, co ich oczyma i ruchami wyzywały na psoty, młodzież ta ciągle ku panu jednym okiem spoglądała.

Jak żadnej starej, tak też i posępnej nie widać było twarzy. Królowało wesele, pan smutku w tych godzinach nie lubił.

Na ławie w głębi siedziała gędzba, pobrzękując w struny, a gdy się ozwała, niewiasty, za królem stojące, nucić poczynaly zcicha. Śpiew ich, zrazu nieśmiały, wzmagał się potem coraz silniej, łączyły się z nim głosy nowe i pieśń wesola, swawolna, przerywana śmiechami, rozbrzmiewała po komnacie, wylewając się na podwórze, gdzie jej zdala wtórowano.

Śpiewające dziewczyny, gdy przyszło coś zbyt swawolnego w pieśni, zakrywały sobie oczy, odwracały głowy, zarzucały fartuszkami, ale śpiewały ochoczo.

W chwilę potem ręce opadały, odgarniano zasłony, błyskały oczy pełne śmiechu i usta różowe.

Piękna czarnobrewa, swobodnie się opierając na poręczach siedzenia, przechylała się w takt pieśni, kołysała, jakby giętką kibić, kształty toczone chciała ukazać. Czasem podnosiła białe rączki, klaskała w nie zlekka, lub spuszczała na kolana, niekiedy szybkim, ukradkowym wejrzeniem przelatywała po izbie i twarzach, po drodze zawadzając swawolnie o gorące oczy młodzieży.

Każdy, na którego padł wzrok czarodziejki, mimowolnie drgnął, jakby go kto mieczem przebił, ale nim pogonił za nim, już on gdzieś odleciał daleko.

Król na nią tylko patrzył, czasem usta zwilżył trochę w złotym kubku, który stał przed nim, i znowu go postawił przed sobą zamyślony. Dwór, czatujący na pańskie wejrzenie, dzisiaj go nie mógł pochwycić.

Boleszczyce, popatrzywszy przez okna, poszeptawszy w progu, pośmiawszy się z przyjaciółmi u wnijsia, wreszcie się do izby skierowali.

Rozstały się strażę, zaczęli głośno witać znajomi — usuwali się wszyscy, stał się szmer. Król odwrócił głowę, brew zrazu zmarszczył, lecz obaczywszy swą wierną drużynę, uśmiechnął się im, znak dając, aby szli do napitku i jadła.

Za królewskim wzrokiem poszły oczy czarnobrewy, spotkały się z wejrzeniami, które ich już szukały; zarumieniła się mocno, niby nadąsana odwróciła szybko głowę, wnet spojrzała powtórnie i pokraśniała mocniej jeszcze... Borzywój i Zbilut szczególniej ścigali ją wzrokiem zuchwałym.

Wszedłszy, Boleszczyce stanęli nieco zdala między swymi.

Król za chwilę skinął, aby się przybliżyli. Podeszedł Borzywój, jako starszy.

— Cóż tam wasze łowy? — zapytał król obojętnym głosem.

— O mało się nam bardzo nie udały — odezwał się Borzywój — bośmy spotkali na drodze straszną zwierzynę.

— A cóżeście z nią poczęli? — rzekł król. — Zabiliście?

— A! nie! — mówił starszy z Boleszczyców — niewiedzieć, jak się to stało. Stado poszło w rozsypkę, a zwierz nas rozpedził.

Król spoglądał sobie ciągle, niewiele wagi przywiązując do opowiadania, jakby o czem innem myślał. Wtem Zbilut podeszedłszy, dodał za brata:

— Nie udały się nam łowy, miłościwy panie, bo biskup Stanka drogę nam przejechał.

Posłyszawszy to imię, król się zachnął, zmarszczył, nic nie odpowiadając. Nawet w żarcie wspomnienie o biskupie przykrem mu było.

— Dziś bo zgoła szczęścia nie było w lesie — mówił dalej Borzywój, oczyma strzelając ku pięknej czar-

nobrewie — wszakci to i pana z Bużenina spotkaliśmy na gościńcu.

Twarz niewiasty oblała się cała krwią, pokraśniały nawet białe ramięna; odwróciła głowę przelekła, jakby na padalca nastąpiła.

— Byłóż go tu zabrać ze sobą — przemówił król obojętnie a szydersko — niechby się napił i poweselił, bo zły słyszę chodzi i gniewny.

— O! jechał smętny, jak post — odezwał się Borzywój. — Kędy? Bóg go wiedzieć raczy, i z księdzem, jakby się na śmierć gotował.

Król usta odął, uśmiechnął się wzgardliwie i odwrócił żywo do siedzącej przy sobie, Boleszczyców już, jakby ich nie widząc, zapomniawszy o nich.

Ci też, wyczekawszy mało, ustąpili z przed króla, wmieszali się między dwór, a młodszy poza niewiasty wszedłszy, gzić się z niemi i zaczepiać je ostrożnie zaczęli. Towarzyszeki czarnobrewiej nie zdawały się im tego brać za złe, srożyły się wprawdzie, ale w tak dziwny sposób, jakby wyzywać chciały. Ręce co innego, oczy co innego mówiły, co innego usta.

Król, choć słyszał chichotanie i szept, wcale się nie odwrócił nawet, bo snąć tak zawsze bywało.

Czarnobrewa tylko spozierała surowo, nie na swe niewiasty, ale na tych niewiernych, co na inne twarze w jej obecności patrzeć mogli.

Parę razy wzrok jej pobiegł za Borzywojem i Zbiłutem, na każdego z nich spoglądając inaczej. Śledzić się zdawała pierwszego, drugiego szukać niespokojnie, jednego obawiać, drugiego pożądać, jak dziecię zabawki...

Właśnie się krótka rozmowa Boleszczyców z królem skończyła, gdy gęślarze, którzy byli umilkli trochę i spoczywali, brząknęli w struny; szmer ucichł, piosnka cicho i nieśmiało jakoś zdali poczęła się odzywać.

Stara to była pieśń miłosna:

„Stanę się, stanę siwym kaczorem...”

. . . . .

Niewiasty, jakby urokiem jej porwane, rozśpiewały się na dobre, zapomniały o wszystkim, prześcigały głosami, i pieśń rozlegała się znowu po izbie, w podwórzu, kołysząc, jak fala, aż póki z ostatnią nie umarła zwrotką.

Westchnęła czarnobrewa; — może się jej dawne jakie przypomniały czasy? inne głowy pospuszczały. Niewiadomo, co pieśń niesie, za słowami jej kryje się tyle widm i upiórów.

Długo tak w noc król śpiewać kazał, — przysłuchiwał się pieśniom, w oczy patrzył pięknej Kryście, to z nią żartował, to się zasepiał i na służbę gniewał, to śmiał do rozpuku, a za nim tłumy, nie wiedząc czego, się śmiały. — Aż po północy gęślarze na ławie przy miodzie się pospali, król i czarnobrewa gdzieś znikli, dwór się, gdzie kto mógł i chciał do snu rozłożył i zwolna we dworcu ucichło. W podwórcach tylko u koni czaty chodziły i u drzwi pańskich mieniali się ludzie, by ich miał król na zawołanie.

Bywało tak czasem — któż mógł przewidzieć? — że się Bolesław zerwał wśród nocy i rozkazał na łowy, na Wawel, na wojnę na drugi koniec państwa, gdzie się myśli pańskiej pobiec chciało. Czasem obozem leżał miesiąc, niekiedy spoczynku nie dał jednej nocy; — przebiegały w nim zachcenia różne, których hamować nie chciał i nie umiał. Tak samo dobrym był i okrutnym, szyderskim i litościwym bez miary. Ci, co z nim żyli, w oczy mu patrzyli, nigdy powiedzieć nie mogli, co wieczór, noc i poranek przyniesie. Na wszystko gotowi być musieli.

## II.

Gdy Bolesław zabawiał się tak na królewskim dworcu, o kilka mil stamtąd ścigało się pocichu rycerstwo, zwołane na naradę przez Mściśława z Bużenina i innych ziemian, którzy od króla odeszli. Na ten zbór jechał i biskup krakowski, Stanisław ze Szczepanowa,

którego Boleszczyce z małym orszakiem na drodze spotkali.

Zwołano radę, jakby ów stary wiec, który wprzód wiciami rozsyłaniem gromadzono, ale potajemnie i cicho. Teraz już wiele tych starych obyczajów porzucono, nie godziły się już one z nowym ładem i składem. Gromady nie miały głosu, jak bywało. Od czasów Mieszka panowie knezie a królowie; oni tylko sami zwoływać wiece mieli prawo, a szli na nie ci, których pozwano i przypuszczono, kogo pan zażądał.

Pod żelazną dłońią Chrobrego ziemianie i rycerstwo starych swych praw wyrzec się i zapomnieć musieli; nikt do nich odwołać się nie śmiał, choć żyły jeszcze w starych ludzi pamięci. Gdy potem Mieszko, Bolesławów syn, z Ryksą objęli rządy, podniosła nieco głowę dawna swoboda słowiańska, ale się to nieładem, burzą i zniszczeniem skończyło. Za Kazimierza wrócił dawny królewski porządek i posłuszeństwo, a gdy po nim objął rycerskiego ducha Bolko Szczodry, nikomu też z sobą władzy dzielić nie dawał.

Od początku niemal panowania — wojował bezustanku, rycerstwo wodził za sobą to do Węgier, to na Ruś, spoczywać mu nie dając. Ziemian innych znać nie chciał, oprócz tych, co mu służyli. Głowy podnosić zbyt wysoko nie pozwolił nikomu.

Urodzony z matki Rusinki Dobrogniewy, ożeniony z ruską księżniczką, z Rusią związany i ciągłemi wojny i brataniem, Bolko krajem rządził jak wojak, jak wódz i pan, a u siebie doma tak chciał mieć, jak w zawojowanym kraju i jak bywało na kijowskiej Rusi. Musiało mu służyć na skinienie wojsko, ziemianie, lud, nawet duchowieństwo, które on sam sadzał na biskupich stolicach i chciał je mieć sobie posłusznem. Wolał przeto polskich mieć biskupów, niż Włochów i Francuzów, których mu z Rzymu stręczono.

Piętnastu biskupów polskich otaczało tron Bolesława Szczodrego, w czasie koronacji jego w Gnieźnie; — byli to jakhy piętnastu wojewodów potężnego zastępu,

który władzy królewskiej albo mógł iść w pomoc, lub z nią walczyć.

Bolko ani znać od nich nic innego nie chciał nad posłuszeństwo i poddanie się rozkazom. Spotykał opór bierny, choć mu się otwarcie jeszcze sprzeciwiać nie śmiano; czuł, że tu miłości nie miał, zastraszyć nawet nie potrafił.

On też na czele rycerstwa swojego nie lękał się żadnej wojny.

Tymczasem duchowieństwu wypadki w pomoc przywiodły część tej siły, którą król za swoją rachował.

Mściśław z Bużenina, którego młodą żonę wziął Bolesław z mężowskiego domu, wrzał chęcią zemsty przeciw niemu; mieli też i inni ziemianie niechęci powody. Zwołano więc w pewnem uroczysku niedostępnem, zwanem „Dziewiczy łąn“, wiec, który miał stanowić, jak sobie dalej poczynać miano.

Był to początek zmowy przeciw królowi, który wielu już dorobił się nieprzyjaciół w domu.

Jeździł pan z Bużenina od dworu do dworu, nie żałując trudu, aby na swem postawić. On był duszą tego zboru przeciw królowi, a wiedząc, że biskup krakowski był mu niechętnym, narzekając i bolejąc nad jego swawolą, także go na radę zaprosił. Nie pierwszy to raz Mściśław się do niego udawał, znał go już dawniej biskup rodzinie też nie będąc obcy, więc, gdy przybył, na zбір go prosząc, miejsce i czas oznajmując, rzekł mu pasterz:

— Nie przystało mi, słudze Chrystusowemu i kapłanowi jego, potajemne czynić zmowy i kryć się z tem, co czynię. Czyny moje i słowa jawne są, nie lekam się ich ani światu, ani królowi na oczy postawić. Nie żądajcie więc po mnie tego, abym z wami był.

Ale Mściśław do rąk jego przypadłszy, całować je począł i błagał, aby dla nich to uczynił i przybyć raczył, bez czego, jak powiadał, gorszy nieład i zaburzenie przypaść mogło.

I tak biskup Stanko po długim namyśle i pilnem



rozpytaniu, gdy się przekonał, iż skuteczną być może bytność jego, przyjechać wreszcie obiecał, zapobiegając, aby niesforne umysły rozjątrzonych ludzi szkodliwego co nie postanowiły.

Pod wieczór tego dnia widok dziwny przedstawiała dolina wśród lasów, zwana „Dziewiczym łąnem“, — oddalona od osad i wsi, odosobniona i wkoło ścianą drzew i gąszczy objęta.

Była to łąka i dość rozległa część pola, zdawna odlogującego. — U stóp wzgórza, na którym się rozpościerała, ku jednej ławie puszczy zlekka się skłaniając, płynął strumień leśny po brzegach gdzie niegdzie kamieniami usłany...

W samym środku pola onego stał odwieczny dąb rozłożysty, ogromny, tak jeszcze żywy i zdrow, jakby kilkuset lat i niezliczonych burz i zim nie przeżył.

Niegdyś tu, wedle podań, odbywały się sobótki, schadzały czasem wiece, a nieopodal miało być cmentarzysko pogańskie i zgłiszczce. Pod lasem widać było zielonym lasem okrytą mogiłę, zwaną Kurową, od imienia wodza jakiegoś, który tu zginął przed wieki. Lud dotąd w pewne dni zbierał się nocami nad strumień, na uroczysko, pieśni śpiewał i obrzędy pogańskie odprawiał. Dlatego proboszcz wystawił tu krzyż drewniany, na którym, jak dawniej na drzewach, zawieszano płachty chorych, a pod nim stawiano obiady.

Przed zachodem słońca przybyło już pod dąb jezdnych kilku, a choć nikogo nie znaleźli, powoli się rozkładać zaczęli.

Ponieważ dla bezpieczeństwa nikt z sobą czeladzi nie prowadził, sami panowie około koni swych staranie mieć musieli i sami też sobie posługiwali. Niektórzy, co synów i młodzież zabrali na radę, nią się wyłączać mogli. Wszyscy też naówczas nawykli byli do najtwardszej pracy i nikt się od niej nie wymawiał, a chlubę z tego ciągnął, gdy sam sobie we wszystkim dawał radę.

Trzech Toporów, którzy tu przybyli pierwsi i bracia Starżowie, niedługo pozostali sami, zjawilo się

wnet dwu innego rodu, a po nich pięciu Toporów, których Kołkami zwano. Witali się jedni, drudzy mniej znani sobie, bliżej dopiero zapoznawali.

Wszyscy podesławszy opony z koni zdjęte, na ziemi się porozkładali, bo jak czeladzi i wozów, tak namiotów też nikt nie brał z sobą; trzeba było pod dębem się schronić...

Obojętna poczęła się rozmowa, co i gdzie się w okolicach działo, jak stało we dworach, osobliwie tych, które jeszcze po kijowskiej wyprawie i swawoli służebnych do ładu przyjść nie mogli.

Posępni byli wszyscy, i niezbyt radzi wiecowi; nie małą bowiem rzeczą było na owe czasy zjeżdżać się niechętnym i poróżnionym z królem, który o zdjęcie głowy z karku ziemianinowi nie pytał nikogo, nikogo się nie zwykł był radzić, a gdy ukarać postanowił, sądów nie zbierał, posyłał siepaczy swych i ścinać kazał, tak dobrze prostego człeka, jak najmożniejszego władkę.

Z każdą chwilą powiększał się ów zbór u starego dębu i o słońca zachodzie już z pół seciny, po większej części mężów statecznych i podżyłych, naliczyć było można; wielu z nich siwy włos okrywał. Młódź ściągnięta starszym ku posłudze, nieco się opodał trzymała.

Po uzbrojeniu i szatach rozpoznać było można zamężnych władków i ziemian dostatnich, u niektórych nawet oręż i sprzęt złotem obficie połyskiwał. Konie też, które młódź na łąkę, splątawszy, puściła, piękne były i dobrane, a pieszczono snąć chowane, jak u rycerzy zwyczajnie. Boć pieszy człek naówczas niewiele był wart i wojak nie stąpił bez konia.

Zebrani gwarzyli głosy stłumionemi, gdy naostatek z lasu pokazał się Mściśław sam jeden, duchownego tylko pana mając u boku, bo czeladź swą i brata młodszego opodał zostawił.

Obaczywszy go, niektórzy zdala rękami witać poczęli, inni wołać ku niemu:

— Bywaj!

Mściśław żywo z konia zeskoczył, księdzu, którego



wiódł ze sobą, pomagając — i oba wierzchowce do gromady odpędziwszy, sam pośpieszył do tych, co nań oczekiwali.

Znani i nieznajomi mogli się teraz lepiej przypatrzyć dawno niewidzianemu panu z Bużenina, który po wzięciu żony długo na świat oczu nie pokazywał.

Mąż to był lat średnich, czarno zarosły, zawczasu siwizną przyprószone, oczu bystrych, niskiego czoła, krępy i silny, w którym niepomiernej zaciętości, a zarazem żalu wielkiego, boleści głębokiej wyraz uderzał. Szedł zwolna, z pod gęstych brwi nachmurzonych rzucając wejrzenia niespokojne na tych, co go witali, z dumą jakąś i wstydem niemal.

Widok tyłu ludzi, przed którymi na srom swój miał się użalać, mieszał go i burzył razem.

U boku jego idący bratanek, duchowny z Krakowa, przy nim się zdał wylekły i do zbytku pokorny, a spokojniejszy nieco. Szepcząc teraz coś na ucho Mścisławowi, starał się i jego ukoić.

Powstali z darni leżący pod dębem, aby witać przybyłego, który ze wzruszeniem znacznem jednych obejmował, drugich w twarz i ramiona całował, innych pokłonami pozdrawiał, rozglądając się, ilu już ich tam było.

Tymczasem nowi przybywali coraz, rosła liczba zebranych i gwar w kółku, a jeszcze jakby oczekiwano na kogoś i ku lasom spoglądano.

— No — ozwał się najstarszy z Toporów — my tu sobie sami sługami dziś być musimy, gdy nam na to zeszło, że własnej czeladzi wierzyć nie można. Niechże młodzi ognia naniecą, kołem siadajmy wszyscy, a zaczniemy radzić o sobie, aby czasu nie tracić.

Tedy Mścisław, obejrzawszy się dokoła, odezwał się głosem cichym, iż biskupa Stanka ma nadzieję oglądać, życząc sobie, aby się z naradą wstrzymano, aż przybędzie. Na to też godząc się, zamilkli wszyscy.

Nieco na uboczu, młodzi, których myśl weselsza nie opuszczała, choć starszych twarze posępne były, wzięli się ochoczo i swawolnie do naniecenia ognia. Wieczór

był piękny i spokojny, ale rosa padała tak obfita, iż ognia rozpalić nie przyszło łatwo. Namęczyli się dosyć, nim go potrafili dobyć, a gdy z chróstu suchego i gałęzi płomień się ukazało, aż raźniej się zrobiło wszystkim. Ten i ów dobywać począł, co przywiózł z sobą, bo każdy się potroszę opatrzył na drogę. Pokładziono na trawie, co kto przywiózł, podobowano baryłki podróżne, wyciągnięto z sukien kubki, i wzajem się częstując, pokrzepiać zaczęto, przyczem rozległa się wrzawa i rozmowy coraz weselsze.

Mściśław tylko z księdzem siadłszy na uboczu, wsparł się na kolanach — i ani jadł, ani pił, ani się zdawał słyszeć, co się wkoło niego działo, tak był w myślach zatopiony; — poglądał wciąż niespokojnie w tę stronę, z której się przybycia biskupa spodziewał...

Nikt też zboląłego człowieka nie zaczepiał słowem, nie drażnił wzrokiem, bo wszyscy nad nim litość mieli.

Mrok już padł był dobry, gdy z lasu ujrzano wyjeżdżających dwu mężów, a w jednym z nich poznano biskupa Stanka, przeciw któremu, zerwawszy się z ziemi, pośpieszył zaraz Mściśław z bratankiem swym i kilku innymi.

Reszta zgromadzonych żywo wstawać i poruszać się zaczęła, gotując do wiecu, rzucając jadło.

Młodzi podłożyli ognia, który jaśniej znowu gorzeć zaczął, oświecając jaskrawo dąb, dolinę, gromadę zebranych ziemian i wdali pasące się konie.

Gdy tak stali w niemem oczekiwaniu wszyscy, ukazał się biskup, zwolna idący, z twarzą swą poważną i pogodną, zamiast pozdrowienia, błogosławiąc krzyżem na wsze strony. Głowy wszystkich skłoniły się z poszanowaniem.

U boku jego zajęli miejsce dwaj duchowni, a tuż przy nich stanął Mściśław.

Była chwila milczenia, w czasie której biskup, stanawszy z założonemi rękami, zdawał się cichą odmawiać modlitwę.

Dokoła ściskając się i starając przybliżyć, stanęli ziemianie, a biskup skinął na Mściśława.

Pan z Bużenina pochylił głowę, potrzebował chwili, by mu głos w piersi zastygły powrócił, tak gniew i przypomnienie krzywdy doznanej je cisnęło. Nareszcie stłumionym, cichym głosem ozwał się, oczy podnosząc.

— Radzić nam o sobie potrzeba, miłościwi panowie, radzić samym, bo i my się bez opieki zostali, wydani na pastwę, jakby dzikiemu zwierzowi! Radzić nam trzeba, jeśli ginąć nie mamy.

Zatrzymał się nieco, szmer poszedł wkoło.

— Czas o sobie myśleć, — dodał, i głowę spuścił, bo znowu głosu mu zabrakło.

Milezeli wszyscy, czekając, co dalej mówić będzie. Mścisław, jakby się w nim gotowało i wrzało, bełkotał tylko, wodząc ręką po czole spotniałem, w ziemię patrzając, nie na ludzi. Żal brał, widząc silnego człowieka, którego boleść niemym czyniła.

— Sprawę moją znacie — odezwał się wreszcie Mścisław, nie podnosząc oczów. — Srom mówić o niej; a no, gdy człeka zwierz okaleczy, ranę okazać musi, choćby sromotnie był okaleczony. Tak i ze mną. Sromotnie okaleczony jestem przez tego, który mnie od sromu bronić był powinien... Król, co opiekunem być miał, stał się rabusiem, żonę mi wziął...

Wtem zboku mu ktoś przerwał.

— Azali białogłowa lekka, nie sama go ku temu wyzwała? Sam ci pokrewnym jej, — mówił dalej, — a bronić nie chcę i obwinę raczej. Któraby nie dozwoliła, nie byłoby z nią tego, co się z twoją Krystą stało.

Mścisław gniewnie obrócił się ku mówiącemu, i rzucając się niemal na niego, zawołał:

— Azali nie wiecie, co niewiasta każda jest? alboli która z nich rozum ma? Przeto, gdy jedna z nich grzeszy, nie jej to winą, ale tego, co ją przywiódł do grzechu, — bo ona dzieckiem jest... Winien król, co miał więcej psiej chuci, niż rozumu i sumienia.

Uderzył się Mścisław silnie w piersi.

— Wy ją winicie, a ja jej nie winię. Słabą była i nierozumną, a ten, co ją uwiódł, silny był i podły.

Zaszemrano dokoła, a potem milczenie się stało.

Wtem poruszył się jeden, co stał w drugim rzędzie; mąż to był opalony, barczysty, wojak z postawy i twarzy, — przedarł się naprzód dokoła, stał i mówić począł:

— Alboż to jedno, co zrobił ten kat, a nie król? alboli to jedno? Pytacie, co się u mnie stało, co u innych wielu? Trzymał nas lat tyle w Kijowie u boku swego, a doma zbytki się działy. Poco my tam siedzieli, aby mu za straż służyć, gdy szalał? I ja tak rzeknę, jak Mścisław, nie niewiasty nasze były winne, bo to są dzieci, choćby i stare były. Serce się nam rwało do domów i dzieci; — trzymał nas bezlitośnie za górami, a doma sługi i pacholki, widząc, że nas nie stało, gwałtem sobie żony nasze pobrali.

Toć wiecie, cośmy potem zastali, gdy cierpliwości zabrakło. Jak nas wieść doszła w Kijowie, co się działo, ja i sotnia cała, nie pytając pana, lecieliśmy na skrócenie karku, bronić tego, co jak życie drogie.

Tu tłuszcza ta, własne nam wrota pozamykała; wiedzieli łotrzy, z czem przybywamy. Do domów swoich szturmem nam dobijać się przyszło, siec, karać i wieszać gwałtowników. A za kimże się król ujął. — Za nami? Nie; — za tłuszcza i gwałtownikami, za czeladzią naszą, a żonom, którym niegodziwy gwałt zadano, szczenięta do piersi przystawiać kazał i swoją klacz wodzić, krzycząc, że ona więcej była warta, niż te żony, co się sprzeniewierzyły!...

Ścięto dziesięciu i więcej braci naszych, za to, że samowolnie zbiegli z Kijowa; ja głowę musiałem ratować ucieczką, po lasach się tułam, bo i mnie czeka miecz.

Na żony nasze, na nas spadły gniewy, a niepoczciwe sługi, a motłoch i czerń niewinna, — tej się nam tknąć nie godzi, choćby ludzi niewolnych!

Gdy tak coraz mocniej głos podnosił, dech mu zaparło, ustał — rękami w powietrzu rzucając, miotając się cały, potem za czoło schwycił się ręką jedną, za piersi drugą i jęknął boleśnie.

Patrzali nań wszyscy w milczeniu; żal było wojaka mężnego, który kryć się i tulać musiał...

Tuż wystąpił drugi, obdarty, jak on, w resztkach zszarzałego i oszarpanego pancerza.

— To, co on mówił i ja potwierdzić mogę — odezwał się schrypłym głosem — Królowi ziemianie i rycerstwo solą w oku, nasby się wszystkich rad zbyć, a z motłochu sobie dobrać drużynę. Rusinami się otacza, co mu pokłony biją. Pieczyngów przy sobie chowa i niewolników. My, cośmy na tej ziemi ojczyce dawni, u niegośmy i psa niewarci, krom tych, co, jak Boleszczyce, i za katów mu służą i za druhów do wszelkiego plugastwa.

Tak-li ma dłużej być? Poginiemy wszyscy...

— Do dziś dnia — począł inny, którego głowę tylko i włosy najeżone z poza stojących widać było — do dziś dnia nam, żeśmy z Kijowa uszli, i żonom naszym nie przebaczył. Ino się który ukaże, wołają nań: — zbieg, włóczęga, na gałąź z nim, łeb mu ściąć.

— A jakżeśmy nie mieli uchodzić z Kijowa, gdy nam dobro nasze czerń łupiła? Mnie żonę i siostrę parobcy wzięli... Powiesiłem ich obu — tak należało. Baby nie winne nic...

Za tem począł się taki gwar, coraz podnoszących się głosów, iż już nic posłyszeć nie było można; nikt nie hamował wrzawy, okrzyki namiętne wznosiły się ze stron wszystkich.

Nierychło poczęto syczeć, lecz gdy jedni milkli, drudzy się wyrywali z żalami i skargami, którym końca nie było...

— Chodził Tomko swadźba do króla, chcąc go przebłagać — rzekł ktoś z tłumu — do nóg mu padł z pokorą, parobków, co mu dom skazili, wieszać kazał. Ścięto go przeto bez litości...

Nie przebaczy żadnemu! — potwierdził inny.

Stary Topor podniósł do góry siekierę na znak, iż mówić chciał i uciszyło się jakoś powoli. Zatem on zabrał głos.

— Nie tak bywało — rzekł — za Mieszka Starego

i za Bolka Chrobrego. Królowie surowi bywali, ale sprawiedliwi; bez rady też nie czynili nic. Ziemianie do nich szli, jak dzieci do ojca we wszelkiej potrzebie. Ten znać inaczej nie chce, tylko swoją wolę, swój miecz, my u niego z czernią za jedno stoimy. Władyka, żupan, czy wojak, a rab i parobek u niego równo waży.

— I zwrócił się ku przysłuchującemu się biskupowi.

— Ojcie miłościwy, — odezwał się — wy znacie i wiecie, jak gdzie indziej na świecie się dzieje, wiecie, co nas boli, wy nam radźcie, co począć mamy.

Gdy ujrzeli wszyscy, iż na biskupa wskazał i spodziewali się, że Stanisław ze Szczepanowa przemówi, ucichło wszystko; ciekawe głowy zwróciły się ku kapłanowi. Biskup stał poważny, zadumany, nie śpiesząc się ze słowem.

— Co mówicie, na co się użalacie — rzekł wkońcu — jam też to widział i patrzę na to: lecz nim się co pocnie przeciw złemu, rozwagi potrzeba, aby większego zła nie ściągnąć.

Pamiętają z was niektórzy, jak po Mieszku i Ryksie, gdy panów nie stało wygnanych, wszystka ta ziemia zniszczoną została i w popiół obróconą. Lepiej więc, zaprawdę, próbować, czy się go do opamiętania nie przywiedzie, niżeli knować na jego obalenie. Do ostatka cierpliwości wyczerpać potrzeba.

Rozśmiał się Mściśław cicho, ale mu znak dano, by milczał i cofnął się za biskupa.

— Może też da Bóg — kończył biskup — krew ta bujna, wojacza ostygnie w nim i uspokoi się. Gdyby gorszego nam co groziło, a król upamiętać się nie chciał, to wówczas nie wam się porywać na niego i wojować z nim, ale nam, kościołowi wystąpić przyjdzie, któremu także krnąbrnie się stawia...

Ponad tą koroną, którą z Rzymu ma, od papieża, stoi biskup rzymski, kościół i my, słudzy jego... Kościół, co korony rozdaje, co rozkazuje światu i prowadzi go, kościół słowem jednym, więcej uczynić może,



niż wy mieczami waszemi i odgrózkami. Przed nim on ukorzyć się będzie musiał.

To mówiąc, biskup wskazał na ziemię, jakby dumną głowę ugiąć chciał ku niej.

Milczeli wszyscy. Biskup nie rzekł więcej, a Starża drugi począł.

— Tak jest, miłościwy ojcze, — ratujcie nas, chrześcijan przeciw poganom, których miłuje król. Ziemianie, rycerstwo, ojczyce starzy tutejsi, na woli jego jesteśmy jako pacholki. Bywała Rada przy królu, on jej znać nie chce. Garściami złoto rzuca i nam i czerni, ale pocziwego słowa nie da; przystępu doń innego niema, tylko na kolanach, głową bijąc pokłony. Jednemu z nas życie wziąć, majątność odebrać, z cześci zbawić — toć igraszki...

Zwrócił się do stojącego niedaleko — człowieka, niewielkiego wzrostu, palcem go wytykając.

— Waszych on lubi, Kaniowy u niego w łaskach, Boleszczyców z waszego rodu najwięcej... tak, waszych... waszych...

Kaniowa ów, łysy, mały człeczek, napuszył się ostro i stanął przeciw Starży.

— Widzicie przecie, że choć tej krwi, co oni, tu z wami jestem, a nie tam, z nimi. Więc nie wszystkie Kaniowy z nim. A że się znalazło kilku, co mu dworują, co przy nim wiszą, co ród winien?

— Winien — przerwał Starża — ich tam najwięcej; waszych, Mszczuja synów! Jakuszowieckich, waszych krewniaków. Czemu tam niema moich, albo i drugich?

— Jako żywo — odparł rozjątrzony Kaniowa — nie sami tam nasi koło niego; — są Śreniawy, są Drużyny...

— Ale waszych, najwięcej! — powtórzył Topor gniewnie.

— Każdy za siebie odpowiada — odezwał się, zważę uśmierzając, biskup. — Nie ród winien, a ludzie.

Stary Kaniowa cofnął się gniewny, pomrukując i zapalczywe rzucając wejrzenia.

— Brat mój przecie biskupem we Wrocławiu — krzyknął, odchodząc, — azali i jego winić będziecie?

— Winni ci wszyscy, co królowi dopomagają do swawoli — mówił Topor. — Gdyby ich z sobą nie miał, siłby mu do znęcania się nad nami zabrakło; gdyby nie Kaniowy, Śreniawy i Drużyny owe, nie ważyłby się.

— Nie byłoby ich, byliby Rusini i Pieczyngi, coby nas gorzej jeszcze dusili — krzyknął z tłumu nieustępujący Kaniowa.

— Dusiliby, ale niegorzej — zawrzał Topor. — Z cudzej ręki cierpieć niczem jest, od swoich — to już ostatnia zguba.

— Ani oni winni, ni ktokolwiek inny, — wtrącił Doliwa, który stał milczący, oszczepem się podparłszy — winien on — on sam... Jaki pan, taki sługa. Sługa pana nie czyni, a pan sobie urabia służkę, jakiego mieć chce. Winien on...

— On winien! on! — poczęto powtarzać żywo dokoła. On winien!

— Ukojcie się, ukojcie — przerwał biskup. — Nie chronię go, ani oczyszczam, do cierpliwości skłaniam tylko, azali się nie upamięta. Chodziłem doń raz, gdy z Kijowa przypadł gniewny, grożąc pomstą i śmiercią; chodziłem nadaremnie, — pójdę jeszcze i chodzić nie przestanę... Niech usłucha rady i napomnienia, będzie gorzej, niż jest — ujrzymy, co naówczas czynić mamy.

Tak biskup starał się niespokojne, rozgorączkowane głowy i serca skłonić do cierpliwości i pomiarkowania. Miasto ukojenia jednak, zgromadzenie, w którym każdy się z żalem rozwodził, coraz więcej najaw dobywając samowoli, — podrażniło wszystkich i wzburzyło.

Gniew wybuchał gwałtowniej coraz, rosnąc gniewy pokrewnemi.

Mścisław, który ziemian zwoływał, stał ponuro, patrząc pod nogi.

— Ojcie wielebny — rzekł wkońcu — czyńcie i rozkazujcie, jako się wam zda. Cierpieliśmy, dłużej

pocierpimy jeszcze, lecz, gdyby się miłości waszej nie powiodło, a słowo nie poskutkowało, my o sobie też myśleć musimy i pomyślimy.

Rzucił dokoła oczami, szukając współników; rąk sporo wyciągnęło się ku niemu, kilka wejrzeń strześliło, i z różnych stron poczęły się odzywać głosy.

— Pójdziemy z tobą!

— Ujmiemy się za ciebie...

Biskup, tedy widząc, że noc już dość późna była, bo przerywana rozmowa i głosy trwały długo, raz się odezwał jeszcze:

— Dla dobra waszego, proszę was, nie rwijcie się za gorąco i nieopatrznie. Dajcie mi czynić; — nie pożałuję ni zdrowia, ni życia, a powinność kapłańską spełnię. Pójdę doń, prawdę mu niosąc, nie ulęknię się, usłyszy ją z ust moich całą.

Namaszczon jestem, jak on i — jemu równy! A potęga tego kościoła, co mnie posyła, większą jest nad wszystkich królów potęgę.

Mówiąc to, biskup spojrział z dumą i ufnością w siebie po zgromadzeniu, które głowy w milczeniu skłaniało.

Za czem, słów jeszcze dodawszy niewiele ku pokojowi i cierpliwości, szepnął Mścisławowi, iż jechać pragnie.

Szli tak przy biskupie Topor, Starża, Doliwa, dwu Śreniawów i Belina stary, ku którym, gdy się od gwarnego oddalili tłumu, zwrócił się jeszcze raz biskup:

— Nie godzi się słów niebaczących rzucać przed tłumem — rzekł — bo się one z ust szeroko przed czasem rozchodzą i tętnią daleko... Żle jest; — lecz, gdyby lepiej już być nie mogło — co myślicie czynić?

Topor długo milczał zasepiony, ręką rzucił, głowę podniósł.

— Ojczy miły — odezwał się. — Dziadowie moi Piastom wierni byli, a co im z tego przyszło? Co nam wszystkim z Piastów? Ród to nasz własny; nie od dziś ich znamy, — albo się z nich rodzą bohaterzy lub znoski

i potwory... A czemużbyśmy innego rodu panów szukać sobie nie mieli?

Śmiałe te wyrazy innym usta zamknęły: spoglądali na się z obawą, jakby myśli swe przeniknąć chcieli.

— Mieszko — mówił Topor — ostatni, napoły się Niemcem uczynił, Kazimierz też przez Niemców był chowany. Bolko się zrusił; tamtejszym obyczajem chce i nas prowadzić. Albo to my sobie innego pana znaleźć nie możemy, jak to już bywało?

Biskup położył mu rękę na ramieniu, a Topor umilkł, spoglądając mu w oczy.

— Ze słowy temi nie śpieszcie — odezwał się — niebezpieczne one są, a zamieszanie wzniecić mogą.

— Dlatego ich tam nie rzekł — ciągnął Topor — a mówię to, przed wami, ojczy, bo wiem, że u królowej Świtawy i na dworze czeskim macie zachowanie. Niech oni nas zabiorą, jako już raz zawojowali, niech nami rządzą tak, jako Czechami, siłę z nimi większą mieć będziemy, ażeby się oprzeć cesarstwu.

Biskup tylko nań spojrział.

— Za wczesne te słowa — rzekł. — Prawda to, że siostrę króla naszego, Świtawę, szanuję, a małżonka jej mam dla siebie życzliwym; — ale daleko jeszcze do tego, byśmy nowego pana i panowania szukać potrzebowali. Nie czas jeszcze.

— Król się już nie poprawi, rychlej zepsuje, gdy go gniewy ogarną — szepnął Doliwa.

Nie mówili więcej: biskup szedł ku koniowi, którego dlań trzymano; podsadzili go starsi, ucałowali rękę, i powoli, zadumani, do koła wrócili.

W kole, po oddaleniu się biskupa, którego przytomność wybuch hamowała, gwar się wszczął coraz burzliwszy; namiętnemi mowy na króla się rzucano. Narady jednak ogólnej nie było; gdy głowy zabrakło, kupkami pociągali się jedni do drugich; — starzy wojacy, ziemianie, młodzież, z osobna każdy.

Mściśław błdził między nimi, szukając sobie ludzi, którychby mógł też na stronę odciągnąć, bo miał na sercu niedolę własną. Nawinał mu się Sokół Dryja

i Beńko z Kurowa, oba starzy druhowie. Tych wziął z sobą na bok.

Inni, widząc, że z narady nic już więcej nie urośnie, poczęli myśleć o powrocie do domów, dopóki nie weszło słońce. Wielu też, zaraz po odjeździe biskupa po konie poszło, i żegnając tylko bliższych — precz ruszyło w lasy na różne strony.

Mścisław, odszedłszy z Dryją i Beńkiem, opodał nieco na ziemi przysiadł. Obu ich nie widział od czasu, jak mu porwano żonę, więc począł żale rozwodzić.

— Cóż wy na tę moją nieszczęsną przygodę mówicie? — odezwał się, ręce załamane na kolanach zakładając. — Co myślicie o niej i o mnie? Mało ten człowiek bab miał do wyboru, żeby mu moją jedyną wziąć było potrzeba?

— A co to cię ma boleć? — odparł Dryja. — Zapomnieć trzeba i wziąć inną.

— Nie mogę! nie mogę! — krzyknął zrozpaczony Mścisław. — Plunałbym na nią, gdyby mi nie siedziała tu, w głowie i za pazuchą... To dziecko było! Ona niewinna, ja ją po dziś dzień miłuję, jak oczy moje...

— A co ci teraz po niej? — rzekł Beńko. — Co ci po niej!

— Ja bo bez niej nie wyżyję! — jęczał Mścisław. — Niech się ludzie ze mnie wyśmiewają, kiedy chcą, byłem ją miał!!

— Człeczce — począł Dryja — toć mi wstyd za cię! Gdyby cię ona miłowała, nie poszłaby za nim...

— Gwałtem mi ją wziął! gwałtem, — zakrzyczał, rwąc się Mścisław. — Ja to wiem i baby świadczą, które tam były. Klną się, iż rzewnie płakała, gdy on, śmiejąc się, na koń ją sadzał. Ona! ona niewinna! — biedniatko! Któż się takiemu drapieżnikowi oprzeć potrafi!

— I ty mu też jej teraz nie wydrzesz — dokończył Dryja.

Mścisław siedzącego przy sobie pochwycił za szyję, objął rękami i całować począł.

— Pomóście wy mi tylko — wydrę mu ją! Na to

was tu ściągnąłem, abym o pomoc prosił. Swoje odebrać i od króla się godzi. Al ja wiem, biedaczka musi tęsknić za domem i za mną, jak ja za nią; ten ją w żelaznych trzyma okowach, na oczach ciągle. Ale my mu ją wydrzeć możemy, chytrąścią, czy siłą...

Dryja ramionami ruszył.

— Szalony z ciebie człek! — odezwał się. — Jakim sposobem ze dworu ją mamy wziąć, gdy sam mówisz, że z oka jej nie spuszcza. Słysząc, że ją przy sobie na zamku posadził, strażę dzień i noc chodzą! Nadaremnieby człek karku nastawił i śmiechu tylko napisał.

Mścisław słuchać nawet nie chciał.

— Na zamek się wkraść, gdzie wchodzi, kto chce, — łatwo — zawołał gorąco. — Ona, byle mnie zobaczyła, poleci za mną! Z dobrymi końmi w lasy łatwa ucieczka, a w puszczy nikt mnie nie wyszuka. Byłem się pokazał Kryście, — porzuci wszystko, pomoże do ucieczki! na zamku samym znajdę przyjaciół i pomocników.

Mścisław mówił coraz żywiej, ciągle oczy zwracając to na jednego, to na drugiego ze swych słuchaczy. Ci, milcząc, namyślając się, po sobie trwożliwie spoglądali, nie kwapiąc się z obietnicą pomocy. Rzekł wkońcu Beńko:

— Miarkujno: — król się do niej przywiązał, pewnie też i pilnować musi tego skarbu. Ludzi dużo, oczów wiele, o zdrajcę nietrudno... Ciebie, czy nas pochwyć, — głowę damy, a zaprawdę, czy warto, sądzi sam? Zdala to ci się łatwem zdaje!

— Jam wszystko rozważył — odezwał się Mścisław, ani chcąc, słuchać towarzyszków. — Pochwycić nas nie mogą. Król jej przecie z sobą na łowy nie wozi, a gdy zamki objeżdża, zostawia ją w Krakowie. Dzień wybrać taki, gdy go niema w domu, moja rzecz, ludzi kilkunastu i konie rączy... Królowej starej i młodszej dwór, choćby co widział, nie ruszy się; — rad będzie, gdy ją weźmiemy. Byleście pomogli.

Mimo upartego dowodzenia Mścisława, że porwanie Krystyny możliwe było i łatwe, Dryja i Beńko gło-



wami potrzęsali, cmokali dziwnie i ochoty w nich wi-  
dać nie było. Nie śmieli wręcz odmawiać, a przyrzekać  
też nie chcieli.

Mścisław ciągle nalegał.

— Dryjo, bracie, tyś mi, pomnij, pobratymem po-  
przysiągł być, bądźże nim w złej doli. Beńku, ty mnie  
ratowałeś nieraz, jam tobie pomagał, nie odmawiajże  
mi, gdy proszę. Nic nie pragnę, tylko ją nazad dostać.  
Bylem ją miał, nie znajdą mnie, nie wytropią. Świat  
szeroki, będę wiedział, dokąd uciekać; — zajdę na Ruś.

— Człeczce, Bolko na Rusi, jak we własnym do-  
mul — zawołał Dryja.

— To do Węgier.

— Tam ci on pan — przerwał Beńko.

— No, to do Czech, do Niemiec. Za świat! choćby  
do pogan, Pomorzan — krzyczał Mścisław, rzucając  
się. — Bylem ją miał!

— Hej! hej! — ozwał się Dryja, głową kręcąc —  
co za dziw, że król się w niej tak rozmiłował, kiedy oto  
ten jeszcze za nią szaleje. Urok na cię rzuciła, ziele ci  
dała pić.

— Kto ją wie! Czary, nie czary! pić mi ziele dała! —  
albo ja wiem? albo ja rozumiem! — mówił Mścisław  
gorączkowo. — Jedno znam, że mi się śni, gdy śpię,  
że we dnie mi się przed oczyma snuje, że głos jej  
w uszach słyszę, że chodzę, jak szalony. A! wyście bo  
mojej Krysty nie znali!

To mówiąc, westchnął, zakrywając sobie oczy,  
a Beńko ramionami potrząsł i na Dryję popatrzał, jak-  
by mówił: oszalał naprawdę!

— Nic innego, tylko to gusła są — odezwał się gło-  
śno: — Żeby, nie wiem, jaką była, człekby się w nią  
żaden tak, jak ty, nie wlepił. Pamiętam ja pierwszą żo-  
nę moją, — hej! co to była za krasa! — nikt jej nie  
zrównał! Kwiateczek był, co się na niego człek dmuch-  
nąć bał, aby nie zwiądnął zaraz... Miłowałem ci ją i jak  
żonę i jak dziecko, a jak mi przy pierwszym synu  
zmarła, — choć mi na kilka dni jakby czarną nocą

oczy zawlekło, tociem w trzy miesiące Tację wziął i tak pokochał, jakby tamtej na świecie nie było...

Mściśław, słuchając, zżymał się ciągle.

— Co prawisz! — przerwał — twoja pierwsza! Ani ta, ani żadna inna do Krysty się nie równa! Takiej jak ona drugiej nie było i няма, jak świat szeroki; i oczy, i głos, i ruch, i uśmiech — tyłkoby przy niej siedzieć, patrzeć na nią — albo umierać.

— Lubczyku mu dała i oszalał! — szepnął Dryja. — Czarownica baba!

— Zwijcie mnie szalonym, a przez miłosierdzie, pomóżcie! — wołał Mściśław. — Nie, to się gdzie na gałęzi powieszę, albo z kamieniem u szyi pójdę do wody. Poco mi życie!

Głowy dla mnie nastawiać nie potrzebujecie, podeprzyjcie zdaleka! osłońcie! Ludzi orężnych kilkunastu dosyć... Staniemy pod noc, na Kleparzu, na Wąwole, na Stradomiu, gdzie ja mam gospodę pewną; — ludzie też swoi na zamku mi rękę dadzą... Pochwyciwszy ją, a wzięwszy między siebie, gdy się lasami ku Czechom rzucimy, żeby stu za nami puścił, ani wytropi, ani dogoni. Znajdą się tacy, co mu fałszywą drogę wskażą. Ja myślałem o wszystkim!

— A no, a no — rzekł wkońcu Dryja, jakby na pocieszenie biednego człowieka, — gdy na pobratymstwo zaklinasz, choćby karku nastawić przyszło — trudno odmawiać. Myśl jeno wprzód dobrze o sobie, bo czyja głowa naprzód zapłaci, to twoja, jeżeli w ucieczce ułapią.

— Niech głowę moją bierze! — krzyknął Mściśław. — I ona mi już i życie niemiłe!

To mówiąc, pochylił się Mściśław ku nim, słowy serdecznymi usiłując ich nakłonić, aby mu pomocą byli, bo na czeladź spuścić się nie mógł. Beńko i Dryja, milcząc, słuchali, nie przeciwili mu się, mieli może nadzieję, że rzecz sama spełźnie na niczem. Widać było po nich, iż przez litość tylko przystawali na to, czego od nich żądał.

Mściśław, cały przejęty myślą odzyskania Krysty,

gdy sądził, że tych sobie pozyskał, począł innych ścigać z kupki, pod dębem pozostałej. Lecz tu już było niewielu; kilkunastu tylko znużonych, opończami się osłoniwszy, na ziemi spało, dnia oczekując.

Udało się panu z Bużenina kilku najzaciętszych przeciw królowi z tych, co z pod Kijowa pouciekali i prześladowani byli za zbiegostwo, nie już do stracenia nie mających, — namówić z sobą. Tym wzamian zaofiarował dach swój, opiekę i pomoc wszelką.

Dryja i Beńko, upewniwszy go, że gdy wszystko będzie wpogotowiu i oni z nim pójść nie odmówią, nad ranem koni dosiedli i do domów odjechali. Inni też ręce mu dali na to, że go w ucieczce osłonią.

Sam jeden pozostawszy, Mścisław się wreszcie znękany na ziemi rozciągnął i usnął głęboko.

Dzień już był gorący i słońce wysoko, gdy się obudził, bo mu nad głową kukułka śpiewała... Koń jego sam jeden już się na łące wypasał, bo wszyscy towarzysze się rozjechali. Mścisław śnił o pięknej Kryście, że wydarłszy ją królowi, gnał z nią w nad Łabańskie lasy...

Zemsta, którą żył cały, rozbudziła go; — nie widział trudności, nie wierzył w przeszkody żadne, nie lękał się niebezpieczeństwa, dwojaka namiętność czyniła go ślepym i głuchym. Potęga królewska, czujność straży, warowny zamek go nie ustraszał. W kilkanaście koni był pewien zwycięstwa i już mu się uśmiechało ono.

Spojrzał na słońce i pobiegł, czasu nie tracąc, po konia.

— Choćbym sam jeden się miał porwać — mówił w duchu, — choćby mnie oni wszyscy porzucili i nie strzymali, pójdę! Z gardła mu ją wydrę! Nawinie mi się, tem gorzej, nie zleknę się go; a zabije mnie — niech krew niewinna padnie na jego głowę!

Tak marząc, Mścisław konia pochwycił, dosiadł i ściskając go, a poganiając, jak szalony w puszcze i gąszcze się rzucił... Godziny jednej, straconej żał mu było; Krysta czekała na niego!..

### III.

Królewski gród na Wawelu niewiele się naówczas różnił od innych zamków, po kraju rozsianych; mocny położeniem swem, wałami, ostrokoły i palami, któremi był obwarowany, we średzinie wspaniałością się żadną nie odznaczał. Drewnianych dworców, stawianych starym obyczajem z przedsieniami w słupach rzeźbionych, więcej było, niż muru, którego kawał tylko jeden, nad urwistym z góry brzegiem był wzniesiony.

Stajnie, szopy, dwory dla wojaków i drużyny wszystkie były z drzewa, a choć okraszone malowaniem, niskie były, niepokazne, a stały porozrzucane na dość wielkiej przestrzeni. Pomiedzy niemi i letnich kleci, i ladajakich komor kryło się wiele.

Niedaleko od wrót kościołek niewiele się też podnosił nad otaczające go wały: skromny był i ludu wiele nie mógł w sobie pomieścić. Pusto było około niego. Natomiast w szopach, stajniach i dworach ludu się roiło mnóstwo, a wszystek ten lud, drużyna pańska, wojacy jezdni i piesi, czeladź, pacholankowie, którzy się tu mieścili, daleko świetniej, niż same dworce, wyglądali.

Dla obcych i swoich, dworu i gości poddostatkiem było wszystkiego, czego zapagnęła dusza.

Butno też wyglądał dwór pański, złożony z wszelkiego narodu. Było tam Polan, i Mazurów, i Rusinów, i Ugrów, i Pieczyngów, i Jazygów, i różnego plemienia mnogo, szczególnie młodzieży pięknej, dorodnej i silnej.

Niewiastami też roił się zamek, a i te rozmaicie wyglądały, jakby nie na jednej rodziły się ziemi i nie z jednej krwi pochodziły: czarnobrewa i śniade, białe i złotowłose, kędzierzawe z czarnemi, niebieskiemi i siwemi oczyma, drobne i rosłe, z wesołemi śmiechy uwiijały się wszędzie.

Języków też, przysłuchawszy się, wiele rozróżnić było można, bo oprócz swojego, podobny do niego czeski (który tak wówczas niemal, jak i polski, brzmiał),

ruski, węgierski, niemiecki nawet tu i owdzie się odzywał.

Ruski przecie, około dworu starej królowej matki i młodej, co z sobą dużo ludzi przyprowadziła, najchęćiej słyhać było. Król też sam nawykłszy doń w Kijowie, często się nim odzywał, a Węgrów rad ich mową zaczepiał. Z Rusi król naściągał służby wszelackiej, a ta mu była najmilsza, bo na skinienie służyła ochoczo i zawsze z twarzą wesołą.

Lubił Bolko ślepe posłuszeństwo, bo w zawojowanych państwach goszcząc długo, przywykł do niego. Król i w Węgrzech się panem czuł i na Rusi, jakby w domu, a gdy na Wawelu mieszkał, wszystko, co żyło, tchu jego słuchało i spoglądało trwożliwie, oprócz ulubieńców pana. Zato, gdy go nie stało na grodzie, gawieź się rozpuszczała, dokazując okrutnie, i na królowę niewiele zważając, cugli sobie popuszczała. Więc powstawały ciągle wrzawy i bitki, przy dostatku pokarmu i napoju, a z kobietami żarty, które czasem dopóźna w noc po zamku się rozlegały.

Gdzie się też za grodem ludzie Bolesławowi pokazali samopas, strach biegł przed nimi, bo miary nie znali w niczem, a ulubieńcom wszystko uszło bezkarnie.

Poskarżył się królowi skrzywdzony chłop, ubogi kmieć, albo osadnik, — ujął się za niego często i bez miłosierdzia karał. — Gdy się władyka, ziemianin użalił na drużynę, — wyśmiał go i z niczem odprawił. Dwory też przed królewską drużyną zamykano, gdziekolwiek się pokazała.

Władyków i ziemian możnych nie lubił król, jakby czuł, że i oni doń serca nie mieli. Odgrażał się na nich głośno i dawał we znaki, gdy tylko mógł. Codzień ich mniej na dworze i grodzie widać było. Miał który sprawę, wołał ją sam sobie rozsądzić mieczem, niż po sprawiedliwość iść do pana.

Dla kogo dobrym był król — to bez miary. Boleszczyce jego ze skarbcza brali, co sami chcieli, ulubień-

cy chodzili w złocie i złotem sypali. Król wcale o nie nie dbał.

Lecz kto na taką łaskę chciał zasłużyć, musiał iść na stracone imię, nie oglądając się na nic i nie opierając w niczem. Zabij! porwij! Czynić musieli, co kazał. Zawahał mu się kto raz, lub odpowiedział słówkiem małym, już łaskę stracił. Bolesław nań ani spojrzał więcej; precz ze dwora mógł iść, kędy chciał, rad, że życie uniósł całe.

Dnia tego na zamku czuć było jakieś przygotowania nadzwyczajne. Król ze swymi Boleszczycami, drużyną i zwykłymi łowów i zabaw towarzyszami wieczora poprzedzającego wrócił był do Krakowa, gdyż na ten dzień naznaczono składanie do skarbcza danin wszelkich i podatków od wszech stanów.

Odbywało się to zwykle z obrzędem uroczystym i okazałością, którą król lubił. Zjeżdżali powołani władcy, żupanowie, ziemianie, osadnicy, wszyscy, co oświadczyć dań do skarbu dawać byli obowiązani i przed tronem królewskim, u nóg jego ją składali. Bywało dawniej, że ci, co się bogactwy pochłubić chcieli, nie tylko to, co byli powinni, ale dwakroć i trzykroć więcej ofiarowali panu, aby sobie łaskę jego pozyskać. Kto nie mógł inaczej — składał dań skórami, które, powiązane półsorokami, szły do skarbu na podarki i odzież dworu.

Dnia tego na równinie u stóp Wawelu wszystko już było przygotowanem do tej uroczystości, którą z powodu wojen i nieobecności królewskiej przez lat kilka zaniedbywano.

Od rana widać było ciągnących zewsząd ku Krakowu i rozkładających się na łące u stóp góry jezdnych, pieszych i wozy.

Rozbite tu były namioty królewskie i siedzenie dla króla, szkarłatnem suknem wysłane, na kilka stopni wzniesione, nad którem na pozłocistych tykach wielką od słońca rozpięto oponę.

Lubił Bolesław okazałość pańską we wszystkim, a ile razy występował przed tłumy, zwykł się nią być



otaczać, naśladować cesarzów niemieckich, z którymi się równym rad mienił.

Wkrótce po wschodzie słońca na grodzie ruch znaczny się rozpoczął, a na łące, między ludem szmer powstał, iż król nadjeżdża.

Z wrót zamkowych pokazał się też zaraz orszak jego wspaniały. Było się czemu przypatrzeć, bo i ci starce, co czasy Bolesława Chrobrego pamiętali, wyznawali, że za jego szczęśliwych czasów, okazalszego nie widzieli dworu. Dobór ludzi, uroda młodzieży, strój ich i zbroja, prawdziwie były królewskie; ze wschodu ściągnięte klejnoty, tkaniny, oręże poczty przystrajały.

Przodem jechali ci, co na rogach trąbiąc, znać dawali pospolitemu ludowi, iż pan jedzie, aby mu z drogi ustępowano i cześć oddawano należną. Ci rogi mieli złożone i czapki bramowane złotem, opaskami, a było ich dwunastu; z kolei po czterech w rogi dęli, coraz innemi głosy.

Za nimi szedł poczet pieszych ludzi z toporami w rękach i tarczami, jak jeden odzianych, z piórami u kołpaków, z twarzami ogorzałemi, groźnemi i posepnemi. Tarcze, które na rękach nieśli, — rzemykami przytwierdzone, obciążone skórą, obite blachami, całe były złożone i kraszone oznakami różnemi. Byli oni z dalekiej północy ściągnięci i maleńkie ich oczy skośno z pod czoła patrzyły.

Po nich jechała czeladź pańska na koniach dziarskich, niebiesko odziana, — pancerni wszyscy, konie napół przykryte kropierzami, w rękach włócznie, żelazem okute całe, błyszczące; na głowach też hełmy jasne z żelazami na nosy pospuszczanemi. Tu było najwięcej Rusi rumianej, zdrowej i swawolnie z poza hełmów poglądającej na ludzi... Niektórzy, jadąc, włóczniami straszili pobliskich i zamachiwali się na niewiasty, skąd popłoch powstawał.

Dalej następowała królewska drużyna i sam dwór pański, napodziw wspaniały, lecz każdy człek inaczej odziany, wedle ochoty i możliwości, jeden nad drugiego

piękniej i dostatniej. Sadził się każdy, by towarzysza przesadził i wystąpił jak najokazalej.

Wśród tego orszaku jeden wioził chorągiew pańską, szkarłatną, ze złotymi wisiadły i sznurami, na której godła różne i postaci szyte były...

Najprzedniejsi ulubieńcy w strojach najbogatszych postępowali przed królem, który w małym po nich odstępie jechał na swej ulubionej klaczy siwej, złotą kapą okrytej.

Świerzopa królewska, co z nim nie jedną odbyła wyprawę, wypasiona, z grzywą długą, szła zwolna, poważnie, jakby wiedziała, że pana dźwigała na sobie. Rząd cały na niej był ze złota i szkarłat, a nad głową czub się trząsł, kamieniami błyszczący.

Bolesław jechał, w bok się wzięwszy, z góry patrząc, jakby nic wiedzieć nie chciał, nie kierując prawie koniem, gdyż u uzdy szli dwaj mali pachołkowie, niosąc na ramionach miecze ogromne.

Król odziany był cały w bławat purpurowy, a na głowie czapkę miał, którą okalała szyta na niej korona królewska. Wzrok pogardliwy i dumny, nie zdawał się nawet chcieć patrzeć na tłumy i o widzenie ich się nie troszczył. Nic się go nie zdawało obchodzić, myślał o czym innym, jadąc znudzony i obcy temu, co miał przed sobą. U boku mały mieczyk tylko zawieszony był dla ozdoby.

Niesiono za nim królewską tarcz złotą całą i jeszcze jeden miecz pasem obwinięty; dalej następowali w szatach wytwornych, futrami bramowanych, dostojnicy dworu, urzędnicy przyboczni i panowie, z laskami w rękach, łańcuchami na szyjach, pasami na biodrach. Twarze ich, jak królewskie, surowe były i dumne.

Prawie tu widać nie było sędziwych starców, ani twarzy, na których radę widać rozumną i męską powagę. Średnich lat ludzie, obliczów startych, zdali się zastępować miejsca tych, którzy się stawić nie chcieli.

Na końcu biegła dworska gawiedź i służba pomniejsza, która za plecami starszyny swawolić sobie pozwalała, popychała się, rozbiegała i skupiała... Ale

i na niej widać było królewski dostatek, bo niektórzy jak panowie wyglądali i niemniej od nich buty okazywali, osobliwie względem bezbronnego tłumu, który brzegi drogi załagał...

W zamku, na górze, na wałach, za ogrodzeniami stały rzędami niewiasty, jedna koło drugiej, przypatrując się pochodowi wspaniałego orszaku pańskiego, który ku namiotom zwolna, przy odgłosie trąb się posuwał. Niektóre w wiankach na głowach z włosami porozpuszczanemi, inne w białych namitkach, w krajnych chustach, w bieliźnie i kożuszkach, bławatami okrytych, śmiały się, z góry sobie pokazując palcami młodzież, która ku nim, wabiona uśmiechem, podnosiła głowy... Nie jeden kwiatek upadł tam z ręki i po wałach się potoczył, zawiąwszy wpół drogi.

Na dolinie, pod Wawelem, poza miejscem, które wbitemi żerdziami i sznurami oddzielone było, stały tłumy; bo, co żyło w Krakowie, na Stradomiu, Kleparzu, Piaskach, Wąwole i we wsiach nawet okolicznych, na tę uroczystość się zgromadziło.

Ciągle, poprzedzany grającymi na rogach, wjechał król na plac, wśród którego siedzenie dlań przygotowane było.

Piesza służba, która u namiotów czekała, przybiegła konie od pana i starszyny odbierać; drużyna, nie zsiadając z nich, dokoła się ustawiała w porządku. Starsi urzędnicy stali na przodzie i zabierali się wywoływać ziemie, powiaty i grody, które zkolei dań składać miały. A że wszyscy ci ludzie niepiśmienni byli i pamięcią starczyć nie mogli, skarbný królewski, Ścibor, do boku swego wziął nowicjusza, młodego kleryka, który na długim zwitku pergaminu spisane miał ziemie do wywoływania.

Król zasiadł miejsce swoje, a czy był znużony bezsennością, czy znużony tym spokojnym żywotem domowym, do którego od młodości nie nawykął — ledwie usiadł, podparł się na łokciu, nie patrząc już na to, co się dziać miało i zadumał się, czy zdrzemnął może. Siedział posągiem bez ruchu.

U stóp jego leżały rozesłane sukna, na których dań składano, tak, że na jednym futra i skóry, na drugim złoto i srebro kładziono.

Jechali naprzód bogatsi ziemianie, żupanowie z grodów znaczniejszych, potem władcy inne, bogaci kmiecie i rycerstwo.

Za innych królów bywało zwyczajem, iż przy takich zjazdach, król nie tylko ugaszcział przybyłych, ale ich rozpytywał, rozmawiał i zabawiał się z nimi, żalów słuchał, rady dawał, często żartów dopuszczał i rad był, gdy śmiejące się widział twarze.

Bolko nie miał ochoty spojrzeć nawet na swych ziemian i rycerzy, z którymi od powrotu z Kijowa srodze się zadarł i powaśnił. I teraz, choć mu pokłony bito, nie skinął nawet, ani dał poznać, że je przyjmował. Jeśli się ozwał słowem, to do swoich młodych ulubieńców i orszaku. W milczeniu więc składał każdy, co przywiózł, a podkomorzowie pańscy zapraszali do namiotów, pod którymi na przybranych stołach przygotowane były mięsiwa, jadła różne, miód i piwo w beczkach i kadziach.

Kto chciał i jako chciał, jadł i pił; lecz, jak król nie widział swych gości, tak oni stołu pańskiego znać nie chcieli. Znaczniejsza część przesunęła się tylko przed namiotami, i chleba w nich nie rozłamawszy, na swe miejsca powracała.

Z twarzy przybywających nie tyle obawę, co niechęć i gniew widać było. Szli wszyscy jak z obowiązku, niektórzy młodszym krewnym zastępować się nakazując, aby pokłonu nie bić i czoła nie uchylić. Dań jednak była obfita i wspaniała, i na kupach gromadziło się srebro, złoto, pieniądze różne, kawały kruszcu porąbane.

Bolko prawie nie patrzył na to, niewiele się zdając cenić, co mu przynoszono. Więcej oczyma śledził tych, co nieśli, niż to, co mu oddawano. Brzęk go czasem obudził z zamyślenia, w które znowu wpadał, mrużąc oczy i jakby do snu się zabierając.

Skarbny głosem znużonym wywoływał ziemie

i imiona, przez otwarte wrota wchodzili powołani, za nimi niesiono dań; złożyłwszy pokłon, ustępowali ku namiotom.

Dziwny szmer przebiegł w tłumie i dworze, zwróciły się oczy wszystkich ku wnijściu, i ujrzano stojącego na koniu, w odzieży oszarpanej, ubranego nędznie, z potarganym na głowie włosem, — Mścislawa z Bużenina. Oczekiwać się zdawał na kolej swą, ale mu tak z oczów patrzało, jakby tu z czem innem przybył, i króla chciał wobec mnogich świadków o krzywdę swą pozwać.

Bolesław, siedzący z głową zwieszoną, nie widział go jeszcze; drudzy niespokojnie poruszali się, przez tłum ku niemu przedzierając, aby mu wystąpienie zuchwale odradzić. Mścislaw stał, nie chcąc się dać z miejsca swojego poruszyć.

Nadbiegł doń Dryja, który zdala go zobaczył i za cugle konie pochwycił.

— Czego stoisz! co ty tu robisz? — zapytał.

— Albo mi to stać i patrzeć nie wolno? — z uśmiechem gniewnym odparł Mścislaw.

— Cóżes to o wszystkim zabył i chcesz z nim zdrzeć, aby ci prędzej głowę zdjęto? — rzekł Dryja.

— Jako żywo — odpowiedział Mścislaw — nic nie chcę więcej, tylko, aby mnie odartemu napatrzył dosyta, aby mnie miał przed oczyma, aby przeczytał z moich oczu, że mu zemstę poprzysiągłem. Wiem, że mu tym widokiem dzień struję... Chcę mu struć choć godzinę...

I nie dał się odwieść Mścislaw; owszem, przybliżył się do szranków tak, aby król widzieć go musiał.

Stało się, jak życzył, bo głowę podniósłszy, Bolesław zobaczył męża Krysty i wlepił weń oczy gniewne. Oba wyzywająco patrzyli na siebie, król wzrok odwrócił, lecz niepokoilo go to zjawisko, i coraz w tę stronę spoglądał. Mścislaw, odarty, stał nieruchomie.

Wszyscy na niego i na króla patrzali naprzemiany, drżąc z obawy, jak się ta sprawa skończy.

Lecz wkrótce Bolesław, jakby chciał okazać, iż go

Mścisław nie obchodzi wcale, wejrzenie wrócił; począł się wpatrywać w kleryka, którego Skarbnny wziął z sobą do wywoływania i liczby.

Był to biedny wyrostek, żółty, chudy, wynędzniały, z twarzą wydłużoną, oczyma niespokojnymi, rękami długimi, które z pod szaty nazbyt obcisłej wystawały, niepozorny i wylekły. Pełnił swoją powinność, poddając Skarbnemu nazwiska ziem i powiatów, ale oczy jego, co nigdy tyle złota nie widziały, chciwie biegały po kupach tych bogactw, coraz się powiększających. Widok skarbów, które u stóp jego leżały zrzucone jak drzewo, mieszał go widocznie. Śmiał się do nich, poruszał, ciekawie wpatrując, zapominał się i ręce ku nim wyciągał, to za głowę się chwycił z podziwu i szału; słowem, widok bogactw królewskich przytomność mu odbierał.

Skarbnny, widząc go tak rozgorączkowanym, parę razy pociągnął go za suknię, aby się opamiętał, że przed obliczem króla stał. Nic to jednak nie pomagało.

Bolesława śmieszył ten kleryk biedny, jakby dla zabawienia go był tu ściągnięty. Oczów już z niego nie spuszczał, usta mu się do śmiechu krzywiły, a ramiona drgały, jakby go tłumił w sobie. Nagle z siedzenia zagrzmiał straszny głos pański.

— Klecho, co ci jest?

Wszyscy się ruszyli; król wskazał ręką na kleryka.

Strwożył się człek biedny, ale nie wierzył, aby o niego chodziło. Skarbnny, za ramię go pochwyciwszy, dał mu znak, iż król go pyta.

Naówczas wyrostek ów, z trwogi prawie tracąc przytomność, padł na kolana drżący i rzekł, składając ręce, zwrócony ku panu:

— Paniel nie jestem winien!

Rozśmiał się król i zapytał powtórnie:

— Co ci jest, iż tak niespokojnym się stałeś?

— Miłościwy panie — począł, zawaławszy się kleryk, który i teraz oczów nie spuszczał z kup złota. — Przebacz mi, miłościwy panie, widok tych skarbów i twojego majestatu omamił mnie, iż przytomność utra-



ciem... Porównywałem je z moją nędzą i ubóstwem, myślałem, jakby z tem złotem szczęśliwym być można.

Bolesław rozśmiał się szydersko; sparty na rękę, patrzył ciągle na wylekłego, klęczącego przed sobą klechę. Wszyscy milczeli, czekając, jak się to zakończy.

— Cóż, klecho? chciałbyś mieć dużo tego złota? — zapytał król.

Uśmiechem rajskiego wesela rozjaśniła się twarz kleryka. Odpowiadać nie śmiał, oczy tylko chciwie, żarzące się pragnieniem, wlepił w stos kruszcu, nagromadzony u nóg pana.

— No, chcesz złota? mów! — zagrzemiał głos królewski.

— Cóż po chęci, królu wielki! — odparł kleryk głosem drżącym. — Co po chęci takiej, gdy posiąść nie mogę!

Rozśmiał się Bolesław.

— Bierz tego złota, ile go udźwigniesz — rzekł szydersko. — Bierz, co uniesiesz, to twoje.

Dwór i Boleszczyce, stojący poza królem, śmiechem wybuchli, potem patrzali wszyscy milczący i zdumieni; kleryk osłupiał, nie dowierzał.

— Bierz, a żywo! — zawołał król nakazująco — bierz!

Słyszając ponowiony rozkaz królewski, kleryk się rzucił jak oszalały, odgarnął naprzód poły wąskiej sukni, lecz wnet ważył, że w nie zabraćby mógł mało... Szybko więc, na nic się już nie oglądając, zdjął całą suknię, pod którą mało-co podartej i brudnej widać było bielizny, rozpostarł ją na ziemi, ukląkł i garnąc począł do niej, co leżało pod ręką.

Chwytał i cisnął chciwie, co mu się nastreczało, gromadził gorączkowo, spoglądając tylko kiedy niekiedy ukradkiem na króla, który z pośpiechu i niezgrabności się wyśmiewał.

Tłum stał w milczeniu, ziemianie, mający iść z kolei oczekiwali; król, okazując jawnie, jak mało dbał o złoto, z pogardą patrzył, jak mu je kleryk zabierał.

Na ostatek suknia uboga była już pełną wszelkiego

kruszczu i pieniążków. Kleryk, co żywiej, począł ją wiązać, schylił się i usiłował na plecy ująć to brzemie. Blady, zdyszany, oblany potem, słysząc dokoła wybuchające śmiechy szyderskie, obawiał się może, aby król nie odwołał darowizny i śpieszył z pochwycciem zdobyczy. Z wielkim wysiłkiem udało mu się ogromne brzemie owo zarzucić na plecy, ale natychmiast ugiął się wpół pod niezmierną jego wagą, i zachwiał. Kroku dalej postąpić nie mogąc, silił się daremnie. Widać było, jak się słaniał, ugiął, napręzał. Postąpił krok naprzód, twarz mu straszliwie pobladła, potem pokraśniała nagle, krew buchnęła ustami — i padł twarzą na ziemię, złamany brzemieniem.

Milczenie straszne panowało czas jakiś. Myślano, że się podniesie; drgnięcie tylko widać było, ręce mu się ścisnęły i ciało poruszać przestało.

Król wzgardliwie patrzył, nie mówiąc nic.

Dwóch z czeladzi pobiegło na dany znak ku leżącemu, jeden z nich ujął go za głowę, drugi za nogi i podnieśli kleryka... Oczy stały mu słupem, martwy był i wybladły, twarz miał trupią, nie żył.

— Miłościwy królu — odezwał się Skarbny — człek ten nie żyje, co czynić z nim?

— Ukarany jest za chciwość! — rozśmiał się Bółko z tronu. — Bogdaj, jak on, wszyscy chciwi przepadli! Cisnąć trupa do Wisły, razem z tem złotem, co go zabiło! Pogrzebu niewarte ciało, — a co król raz dał, tego nie odbiera. Precz ze ścierwem <sup>1)</sup>.

Doniosły, namiętny głos króla daleko słyhać było; w milczeniu, ze zgrozą słuchano wyroku.

Czterech pacholków podeszło natychmiast spełnić rozkaz, zabierając zwłoki i węzeł, co je przydusił. Wśród milczenia z tłumu podniósł się głos jakiś:

— Królu, niesprawiedliwe są sądy twoje, — nie chciwość go zabiła, ale miłość; albowiem rodziców ma w nędzy, dwóch braci czeka okupu w niewoli; biedak

---

<sup>1)</sup> Gallus.

nie dla siebie skarbów tych pragnął, ale dla tych, których miłował więcej, niż siebie...

Czy król posłyszał i zrozumiał te wyrazy, wiedzieć było trudno, gdyż w rogi zatrąbiono i znowu dalej powiaty wywoływać zaczęto, a Bolko nawet nie odwrócił głowy...

Trup, któremu do szyi przywiązano złoto, poszedł z niem na dno Wisły.

Wypadek ten, który na chwilę przerwał uroczystość, uczynił na tłumach wrażenie wielkie. Wspaniałość króla, nieopatrzna chciwość biednego człowieka, sprawiedliwość Bożą, nielitościwy wyrok pana, ów głos sądzący sędziego, wszyscy brali do serca, zdumiewali się i trwożyli. Twarze oblokła powaga, smutek, bojaźń, tylko król obojętności swej nie zmienił. Spojrzał ku miejscu, gdzie stał Mścisław i znalazł go tam nieruchomego, z oczyma w siebie wlepionemi.

W chwilę potem Mścisław znikł z tłumy...

Drogą do zamku wiodącą, która teraz pustą była, bo nawet strażę od bram poszły się przypatrywać złotemu widowisku, szedł wkrótce potem mężczyzna, prostą odziany sukmaną, w czapce chłopskiej z kijem w rękę. Na czoło miał nasunięte włosy ciemne i czapkę, a kołnierz odłożony tak, iż mu twarzy mało co widać było. Czarny zarost dobywał się tylko i dwoje oczu połyskujących. Szedł, oglądając się bacznie, krokiem wolnym, jakby się czegoś lękał, choć do króla małego ludowi i sukmanom zawsze przystęp był wolny, a od kijowskiej wyprawy jeszcze swobodniejszy, niż kiedy.

Ci, co widzieli Mścislawa na łące na koniu, przypatrującego się królowi uparcie, mierzącego go zuchwałemi oczyma, po sukni i postawie w tym wieśniaku domyślećby się mogli męża Krystyny. On to był w istocie. Po wyniesieniu zwłok kleryka wysunął się, konia rzucił gdzieś i pieszo starał się wkraść do zamku. Szedł ostrożnie, niekiedy głowę podnosząc, przyglądając się bacznie niewiastom, które dotąd ponad palami i ostrokołami stały gromadnie.

Tak doszedł do wrót samych, a że mu nikt nie sta-  
nął do zamku na przeszkodzie, wkroczył przez bramę,  
wciąż rozpatrując i zazierając we wszystkie kąty.

Nikogo tu prawie nie było; okna poodsuwane stały  
otworem, drzwi naościę były poodmykane. Dwoje  
czy troje sieni minawszy, od mieszkań, których ludność  
wybiegła była na wały przypatrywać się królewskiej  
uroczystości, Mścisław zatrzymał się nagle i drgnął.

Tu przez okno widać było wywieszoną odzież nie-  
wieścią, którą chciwemi zmierzyszy oczyma, dokoła  
się obejrzał i wślizgnawszy w ciemne przedsienie,  
zniknął.

Nikt nań nie zważał, nikt nie widział, jak się gdzieś  
ukrył w kącie.

W chwilę potem niewiasty, czy znużone widokiem  
jednostajnym, czy dla słońca i wiatru, który się zry-  
wał, poczęły z wałów schodzić i po jednej, po dwie do  
dworców powracać.

Ukazała się wśród nich i pańska Krysta, cała bia-  
łą zasłoną obwinięta, biegnąc właśnie ku tej sieni,  
w której się mąż jej ukrywał. Była samą jedną, a choć  
ją od stóp do głowy okrywały cienkie rąbki, poznać ją  
mógł każdy po kibici zręcznej i ruchach pieszczonych...  
Żadna inna, ani tak biegać, ni tak stanąć, ni się tak  
wdzięcznie przegiąć i główki pochylić nie umiała.

Z wałów, szepecąc coś między sobą, odwróciły się,  
patrzając na nią wszystkie niewiasty i ścigały ciągle  
oczyma. Śmiały się, ruszały ramionami, palcami ją  
sobie ukazywały, a zazdrość i gniewy wybuchały w ich  
głosach.

Zaledwie Krysta wbiegła do dworca, po chwili  
krzyk się dał słyszeć, krótki, urwany, ale pełen trwogi  
i przerażenia. Za tem nagle ucichło.

Nikt tego rozpaczliwego nie pochwycił głosu. Izba  
Krysty, w której teraz nikogo nie było, bo się służba  
rozbiegła, tak złocisto i bogato przybrana świeciła, jak  
wszystko, co króla otaczało i co mu służyło.

Krysta blada, z rękami załamanemi, z głową spu-  
szczoną, stała w pośrodku. Opadła z niej na ziemię

biała zasłona, pozostała w sukience opiętej, jakby do ciała przylegającej, która śliczną jej kibić obejmowała i do stóp spadała fałdami gęstemi.

Przed nią w-prógu stał Mścisław w brudnej sukmanie, czapkę trzymając w rękę i oczyma gorącemi, załzawionemi pożerał żonę. Patrzał na nią, drzał, mówić nie mógł, płakał, jak nie mężczyzna, jak matka, co dziecko straciwszy, nagle je odzyskuje.

Kryście widok męża, od którego król ją porwał, odjął na chwilę przytomność, lękała się, aby ją nie zabił.

A Mścisław stał oczarowany nią, oniemiały, bezsilny, tak, że choć tu życia swojego nie był pewnym, gdyby go pochwyciono, choć rozmówić się z żoną pilno mu było, zapomniał o wszystkim... patrzył tylko... Spoglądali tak na siebie, czytając w swych twarzach; ona szukała w nim, co przyniósł z sobą — zemstę czy przebaczenie; on patrzył, czy w niej znajdzie jeszcze tę miłość, dla której życie ważył.

Niewiasta prędej zrozumiała go i ochłoneła z przestachu. Swawolna była jak dziecko, ale bystra i pojętna; przez czarne jej źrenice błysk jakiś przeleciał.

— Krysto moja! Krysto! — zawołał mąż, ręce ku niej wyciągając. — Nie! tyś o mnie zapomnieć nie mogła, ty tak tęsknisz za mną... ty do mnie powrócisz. Mów, Krysto moja...

Niewiasta spuściła oczy i usta się jej zacięły; z pod brwi rzuciła oczyma wylekłemi, jakby go chciała badać jeszcze i żywo rzekła.

— A! tak! tak! Zrobię, co chcesz, pójdę, ale teraz... gdyby cię tu kto zastał, gdyby sługi nadeszły... A! nie-szczęścieby się stało! Król tak zazdrosny, ludzie tacy źli... Schowaj się, ukryj gdzie do nocy...

— A nocą uciekniemy! — krzyknął Mścisław, ręce ku niej wyciągając.

— A, tak! uciekniemy! — prędko powtórzyła Krysta.

— Gdzież się mam skryć? mów, pokaż! — wołał Mścisław.

— Gdzie? albo ja wiem! — odpowiedziała kobieta, poruszając się niespokojnie i głowę zwracając to ku oknu, to na drzwi komory.

— Skryć się, trzeba się skryć gdziekolwiek! Gdy nadejdą dziewczki moje, domyślą się, pobiegną, wydadzą! Schowaj się, co prędzej, gdzie chcesz, ale prędzej! a! prędzej!

To mówiąc, Krysta zaczęła biegać po izbie, parę razy znów oknem wyjrzała, chwyciła się za serce, za głowę... nie wiedziała, co robić z sobą!

Gdyby Mścisław nie miłował jej tak bardzo, możeby był mógł poznać, iż więcej było trwogi w niej, gniewu i niepokoju o siebie, niż obawy o niego.

— Idź na wyżki! w sieniach stoi drabina, nikt tam prawie nie chodzi, nie znajduj cię tam.

Mścisław chciał natychmiast usłuchać, lecz porzucić ją żał mu się zrobiło. Stał krok i zawahał się.

— Mów jeszcze, — zawołał — powiedz, kiedy mam przyjść do ciebie... Wymknę się z zamku i powrócę...

Krysta nogą uderzyła w ziemię z niecierpliwości.

— Uciekaj — zawołała. — Ja nie wiem nic, ja ze strachu szaleję! jam biedna i nieszczęśliwa!

Zakryła oczy i płakać zaczęła.

Potem nagle, widząc, że to nie skutkuje, jakby oczy jej oschły, odsłoniła je i zaczęła mówić pośpiesznie, na drzwi ręką wskazując:

— Powracaj, ja nie wiem, o mroku. Stanę w progu, odzieję się w chusty proste; gdy będzie można, ujdziemy...

Chciał Mścisław pytać jeszcze, gdy Krysta pobiegła do okna, wychyliła się niem, sparła i wyjrzawszy daleko, wołać poczęła żywo.

— Uchodźże, a to ci życie niemiłe! Uciekaj! z wałów wracają dziewczki moje! a! uchodź co prędzej, póki czas!

— Więc o mroku! dziś! — zawołał Mścisław.

— A tak! tak! dziś! — zawołała Krysta.

I rękami białemi, na drzwi ukazując, miotając się, nagliła, aby wychodził co prędzej.



Mściśław ociągał się, patrząc jej w oczy, wyszedł nareszcie.

Ujrawszy drzwi, zamykające się za nim, Krysta pędem wpadła do sąsiedniej komory i drzwi ogromną zasuwą zaryglowała za sobą.

Mściśław, jak pijany, z izby się wytoczył, zachwiał, o ścianę sparł, musiał stać tak dobrą chwilę, dopóki nie oprzytomniał i nie przyszedł do siebie, bo drogi zapomniał, drzwi nie widział i nierychło ostygłszy, czapkę na oczy nacisnął, kołnierz podniósł i wytoczył się zwolna na podwórze.

Co się w komorze działo? Słyszać tam było oddech ciężki, potem chód szybki, jęczenie, płacz... i wszystko zamilkło.

Odsunęła się zasuwa ostrożnie, powoli, przez szparę wyrzała Krysta czarnemi oczyma.

Nikogo w izbie nie było, — odetchnęła, wsuwając się do niej ostrożnie, na palcach.

Podeszła cicho ku drzwiom od sieni, uchyliła je bacznie, rzuciła wejrzenie w ciemną głąb, ku drabinie, nic się nie poruszało nigdzie, nie było nikogo. Odetchnęła nieco z przerażenia.

Zdała widać było krocącego wolno ku wrotom Mściśława, więcej nikogo, mógł ujść bezpieczny, jak przyszedł. Lżej się Kryście zrobiło. Na bladą jej twarz wróciło trochę rumieńca.

Lecz stała w progu niespokojna jeszcze, zadumana, z palcem na ustach. Oczy jej biegały, zdając się ścian pytać i stropu: co pocniemy?

Pobiegła wewnątrz, zarzuciła białą płachtę na siebie, wyszła szybko z dworca ku wałom i rozmyśliła się inaczej. Wróciła niespokojna do izby, zrzuciła zasłonnę, stanęła, ręce łamiąc, kręcąc się, przysiadając, podrażniona, prawie gniewna.

Brwi się jej ściągnęły, usta ścięły i oczy ciskały pioruny, piękna niewiasta stała się straszną! Nogą biła o podłogę, ręce wyciągała ku drzwiom, kręciła się, jakby w skocznem wirując kole, potem stawiała skamieniona, a wzrok topiła w ziemię.

Gniew w niej wzbierał; gniewała się na niego, na siebie, na króla, na swą dolę, a najwięcej pono na upartego, co ją tak kochał, że gotów był swoje i jej życie poświęcić.

Pobiegła ku drzwiom; u drzwi stała srebrna konew z wodą i kubek wisiał przy niej. Napila się wody aby orzeźwić; paliły się usta, serce biło, w oczach latały czarne płatki.

— A! wodo moja! wodo! — wołała. — Wodo, powiedz mi, co czynić mam nieszczęśliwa! Czy iść się utopić w tobie? czy za tym iść, któremu przysięgała, czy za tamtym, co mi jak słońko świecił jak słońko pali? To król, to pan, a ja jego królowa, ja tu pani, nie ta stara, co w kącie płacze! I wszystko porzucić, a iść gdzie smutek, gdzie żałoba. Dogonia, krew się poleje! krew! A! ja widoku jej znieść nie mogę! Mnie zabić mogą. Jego przeze mnie! krew na głowę mi spadnie! krew!

Pomyślała nieco.

— Powiem wszystko, powiem lepiej. Cóż mu się stanie? Ja mu życie wyproszę, oczy mu wyproszę... posiedzi w ciemnicy. Pocałuję, to wypuścić go każe... Uciekać? a nie, nie. Nie chcę! nie mogę!

Rozmyślała tak, po izbie biegając, gdy za drzwiami ktoś chrząknął; nastawiła ucha i pobladła, stała milcząca, potem na palcach biegła ku komorze, — kaszlnął ktoś raz drugi.

Na drzwi komory patrzała Krysta, jakby sobie dając do wyboru — uciekać, czy czekać, zostać, czy uchodzić; palec przycisnęła do ust, jakby z niego wyssać chciała, jak sobie radzić?

Już wchodziła pocichu do komory, stanęła w progu i zawróciła się niepewna.

Wtem i drzwi się uchyliły od sieni, w szparze ich widać było Borzywoja Boleszczyca, który śmiał się i mrugał ku pięknej niewieście. Krysta się zarumieniła.

Wszedł, obejrzał się dokoła; ona do okna pobiegła i wychyliła się niem, rozglądając po podwórzu, a podniósłszy się, pogroziła zuchwałemu. Niby mówiła, jak

śmiały przychodzić tak poufale, ale widać było, że się wcale nie gniewała.

Borzywój dnia tego nie pojechał z braćmi w orszaku, uczynił się chorym, może umyślnie dlatego, aby, chwilę upatrzwszy bezpieczną, zejść Krystę samą jedną.

I on, i Zbilut, i wielu innych się w niej zdala rozmiłowało. A ona? — Wszystkim hołdom rada była, oczyma wabiła, ustami łajała, nie odstręczając żadnego. Była tak zalotną, że się i gołębiom na strzesze wdzięczyć była gotowa; tak ją nieszczęśliwą stworzył Bóg na własne i ludzi utrapienie. Nie czuła się winną, zdawało się jej, że nie mogło być inaczej. Była piękną, juści wszyscy się w niej kochać musieli, a jej, ot tak, biedaków żal było.

— E! ty, ty! — szepnęła niby gniewnie. — Poco bo ty tu? pocóż?

— Złoto moje, królowo moja! aby ciebie zobaczyć... Chciał się Borzywój zbliżyć trochę, furknęła.

— Stój zdaleka, a nie, to zawołam na dziewczęta...

— To co? powiem, że pańskiego dobra pilnuję! — odezwał się Borzywój wesoło. — A dziewczki żadnej też niema, bo wszystkie na wałach.

Zarumieniła się Krysta i parsknęła.

— A no! stój zdala, bo oknem zakrzyczę!

Lecz mówiąc tak groźnie, rozśmiała się dziwnie: głos jej dźwięczał pychą, dumą, zalotnością i niepokojem. Oczy to w niego topiła, to gniewnie odwracała.

Borzywój ciągle starał się przybliżyć.

— Dajże ty mi pokój, ty jakiś — wołała nań, przedstawszy się śmiać. — Doprawdy wydam cię przed panem, zobaczysz, co będzie!

Rączką na gardło pokazała.

Nie wydasz i nie powiesz, boś ty dobra i litościwa, — rzekł Borzywój — zresztą niema co i gadać przed panem. Albo to on nie wie, że się wszyscy do jego Krysty palą, jak pochodnie, a Krysta strzela oczyma i śmieje się do wszystkich.

Krysta się nieco obraziła; dumną minkę zrobiła.

— Albo co? — pochwyciła — strzelam oczyma? Na to je mam, abym niemi strzelała... no, i śmieję się, bo wszyscy sobie coś myślicie, a to nieprawda! nieprawda! Patrzcie go! jak!

Tej wielkiej grozy Borzywój nie uląkł się wcale.

— No, jeśli na to masz oczy, abyś niemi strzelała, to i usta na to są, abyś całowała. Dajże mi choć raz gęby.

Posunął się zuchwale; Krysta srogą, groźną, straszliwą twarz nastroiła, tupiąc nogą.

— Stój u progu, lub źle będzie!

— Ot, słuchajno — rzekła, podnosząc nań oczy. Wdziej suknie i zaraz idź — ode mnie do pana.

— Do pana? Król siedzi na tronie i króluje, to nie pora!

— Co mi tam!

— Alboś się tak za nim zatęskniła! — spytał żartobliwie Borzywój.

— Pewnie. Czy niema za kim? — odparła Krysta dumnie.

— Z czymże mam iść do niego?

Na to pytanie odpowiedź była trudną; Krysta zawijała i rozwijała na palcu chustynkę.

— Powiesz mu — rzekła — tylko tyle, że Krysta chce, aby do niej co najprędzej powracał, bo, bo jej pilno, bo ma wielkie słowo na ustach, straszne słowo, a słowa tego przez nikogo mu posłać nie może, tylko mu je sama musi powiedzieć do ucha.

Mieszała się i jąkała, mówiąc, a Borzywój głową potrząsał, żartobliwie się uśmiechając ze straszego słowa, jakgdyby w nie wierzyć nie chciał.

— Gdybyście mnie do ucha dali to straszne słowo, wierniebym mu je zaniósł i nie zgubił po drodze.

— O nie! nie! To słowo ja sama mu powiedzieć muszę!

— Abyś się mnie pozbyła, bo może czekasz na innego! — szepnął Borzywój.

Krysta oburzyła się naprawdę.

— Brzydki człowiecze! — rzekła. — Kiedy się kłnę

na matusię moją, że w tem słowie śmierć lub życie być może.

— Oho! — przerwał Borzywój.

— A tak! potwierdziła Krysta. — Śmierć lub życie!

— Czyje? — spytał dworak.

— I czyjeś i mój! — odparła Krysta, brwi marszcząc.

Borzywój u drzwi stał, nie ruszając się jeszcze; ciężko mu było odejść.

— No, to pójdę — rzekł — ale mi choć co daj na drogę; jak mam iść za waszą sprawą bez gościńca? Nie pójdę!

Krysta się rozśmiała zimnym śmiechem zalotnicy, która rozumieć niby nie chce tego, o czem wie doskonale, i główką pokręciła.

— Jeszcze czego!!

Ale stała w miejscu i choć niby pierzchnąć się zabierała, nie uciekała. Dopiero, gdy Borzywój przyskoczył, chcąc ją pocałować, popchnęła go silnie od siebie, pędem wpadłszy do komory, nim ją zaryglowała za sobą, główkę mu jeszcze pokazując, krzyknęła:

— Idźże mi zaraz... wszakżeś zapłacony! idź!

Borzywój odetchnął ciężko, popatrzał groźnie, wrócił się niechętnie i wyszedł nareszcie.

Zamkniętej w komorze niesposób było usiedzieć długo; odsunęła zasuwę, wysadziła głowę, obejrzała się i wyszła. Sama się sobie uśmiechała, ale jej było bardzo smutno. Siadła na ławie, sparła się na rękę i dumiała, potrząsając głową.

Wtem dwoje dziewcząt wpadło, śpiewając, do sieni; śpiew ich ustał na progu i wsunęły się do izby, sznurując usta.

Były to pani dziewczki służebne. Spojrzały na nią, ona na nie. Złękły się może brwi zmarszczonej, ust groźnie wydętych i cicho przesunęły się do komory. Tam znów słyhać było chichotanie i szepty.

Namyśliła się Krysta, popatrzywszy na suknię swoją.

— Ciarka! — zawołała.

Starsza z dziewcząt stawiała się z uśmiechem przed panią.

— Mów, cobym ja włożyła, abym piękną była?

— A! — ręką usta zatulając, rzekło dziewczę — a! choćbyście i gźła nie mieli, toby wam było chyba piękniej jeszcze.

I z za dłoni, którą się zasłaniała, śmiała się figlar-  
nie poufała dziewczyna.

— Mów, jaką suknię ja mam wdziąć? — poczęła Krysta. — Czy niebieską, czy kraśną, czy złotą? Mój pan przyjdzie do mnie... Popraw mi włosy, zasłona mi je popsuka...

Ciarka się zbliżyła i pani a sługa poufałe z sobą gwarzyć i śmiać się zaczęły. Niesiono suknię jedną i drugą i trzecią, aż Krysta, rzucając i przebierając, na szkarłat się namyśliła: czarnobrewie było w nim naj-  
kraśniej, — wyglądała, jak królowa.

— Będę, jak królowa! — szepnęła do Ciarki.

— Boś ty królowa! — przypochlebiając się, mówiło  
dziewczę.

We dwie aż przyszły wdziawać i opinać na niej suknię obcisłą, gdy w podwórzu powstała wielka wrza-  
wa, tętent koni, rogów granie.

Król powracał!

Krysta biegła do okna, wychyliła się ku niemu i zdala zobaczywszy, ręką znak mu dawała.

— Bywaj do mnie!

— Dostrzegł król znak, czy nie, lecz nagle stanął wśród podwórza i z konia zsiadł. Siwą klacz jego wiedli do stajni uroczyście, a król naprzód poszedł za nią.

Dwór rozpełzł się po podwórцу; kilku tylko na za-  
wołanie przy panu zostało; a i ci, zobaczywszy, że ze stajni do Krysty idzie, powoli, ociągając się, zostali w podwórzu i przedsieniach.

Król wszedł, zasepiony, zmęczony, taki, którego długo trzeba było znosić, jak ptaka łowami podrażnio-  
nego, ażby oczy przymknął i usnął na rękę.

Krysta strojna, z włosami na ramiona spuszczone-



mi, siedziała z chustynką w rękę, jakby się jej na łyż zbierało.

— Spojrzał Bolesław na nią.

— A co ci to, czarnobrewu, co się jak księżyc mienisz? Trzpiotałaś się, jak wróbel rano, już ci pod wieczór łyż przyszły.

Krysta jakby nie słyszała, nie spojrzawszy nań, siedziała nadąsana, chmurna, milcząca; głowy nawet nie zwróciła ku niemu, głos usłyszawszy.

Król zbliżył się i uderzył ją z wolna ręką po białych ramionach, aż zadrgnęła.

— Co tobie, mów? — rzekł rubasznie. — Ty wiesz, Krysto, że ja ni łoż, ni zagadek nie lubię.

Wtem nagle, oczy odsłoniwszy, ręce rozpostarłszy, Krysta powstała i do nóg mu upadła.

— Panie miłościwy, panie mój, jeśli mnie nie poratujesz, jestem zgubioną.

Król się zmarszczył i rozgniewał, nogą tupnął, aż ostroga brzękła złota.

Wstała z ziemi Krysta, uwiesiła się królowi na szyi i szeptać poczęła.

— Królu i panie! daj mi słowo, że mu nie weźmiesz życia.

— Komu? — krzyknął Bolesław.

— Daj mi słowo.

Bolesław zlekka ją od siebie odtrącił.

— Mów, komu! mów, co zawinił?

— Daj słowo!

Rozgniewał się pan, ale mu pilno było.

— Żyć będzie. Mów, co dalej?

Krysta wróciła do królewskiego ucha.

— Mścisław tu był, tu...

Bolesław aż się cofnął i za mieczyk pochwycił.

— On? tu? gdzie i jak? kiedy?

Skinęła nań Krysta, aby siadł przy niej na ławie, objęła go ręką za szyję, czoło położyła na ramieniu i poczęła cicho szeptać mu coś do ucha.

Po twarzy króla przelatywały burze i pioruny. Nie mówił nic, tylko mu białka w oczach krwią zapływały,

usta zbladły i zęby się ścięły. Słuchał tego ust jej szmeru długo, zadumany, potem wstał, nie mówiąc nic i przechadzać się począł.

Krysta biegła za nim niespokojna, знаła go już, że strasznym był, gdy głos podnosił gniewny, ale straszniejszym, gdy milczał. Nie odpowiadał jej wcale, stanął w oknie, patrzył w nie długo i nierychło ku niej się obrócił.

— Bądź spokojna, jam nie żadny dusić robaka, choć sam mi lezie pod stopy! Życia nie wezmę, ale rozumu uczyć go potrzeba! Mściśław chce się z królem mierzyć, ze mną!

Bolko rozśmiał się, a w śmiechu zębami zgrzytał i straszny był. Krysta, przestraszona, spoglądała nań jeszcze, gdy gwałtownie cisnąwszy drzwiami, król wyszedł od niej i na dworcu swoje pociągnął.

O kroków kilkanaście spotkali go i otoczyli Boleszczyce; on im mimochodem kilka słów rzucił i szedł dalej. Widać było, że im dał jakieś rozkazy.

Kupką stanęła drużyna naradzać się z sobą. Było ich kilkunastu: żwawo, pochylając się ku sobie, rozprawiając, szepcąc, poczęli się umawiać o coś Boleszczyce. Z ruchów i twarzy znać było sprawę ważną i pilną, której wykonanie gorąco ich obchodziło. Jedni się wyrywali, wstrzymywali drudzy, sprzecali.

Tajemnicą musiało być, co im powierzył król, bo gdy się kto z dworzan do nich przybliżał, milkli, pozbywali go się, odsyłali, sami potem znowu wracając do narad i cichych szeptów między sobą. Niektórzy rozglądali się dokoła, w podwórcach, wskazując miejsca, jakby stanowiska sobie wyznaczali.

Wtem we wrotach ukazał się orszak jakiś, powoli wjeżdżający. Na przedzie widać było konno, pomiędzy kilku duchownymi, jadącego biskupa Stanisława ze Szczepanowa; za nim czeladź jego i domowników, skromny dwór składających. Od wrót wszyscy się skierowali ku dworcowi królewskiemu, gdzie u wnijścia głównego zsiadł biskup, a jeden z kapelanów poszedł o nim podkomorzym króla oznajmić.

#### IV.

Król Bolesław, gdy zmęczony był, spoczywał zwykle na posłaniu niskiem, miękkimi skórami wyłożonem. Ulubione mu psy myśliwskie, które rzadko go odstępowały, w izbie tej z nim i przy nim legiwać miały prawo. Tak samo, jak konie swe, które król nad miarę miłował, często je przenosząc, nad ludzi, kochał też psy swoje, dając im swobodę wielką; lubował się też sokołami, rarogami, białozorami, których izby pełne były. Wojak był mężny i zapamiętały, i niemniej namiętnie myślistwo lubił, co najczęściej z sobą w parze chodzi.

Gdy brakło wojny, łowy ją zastępowały, a z nich najmilsze mu były te, w których walka najsroźszą i najniebezpieczniejszą była. Najchętniej jeździł na jelenie, łosie, wieprze dzikie, żubry i tury, co nieraz jeźdźca z koniem na rogi wzięwszy, w powietrze go wyrzucały, racicami i nogami mordując mściwie.

Ogromne psy królewskie, stróże najwierniejsze, niebardzo się komu do sypialni zbliżyć dawały, a na skinienie jego człekaby rozszarpać były gotowe. Miał z nich straż czujną i straszną, we dnie i w nocy, lepszą od tych, jaką ludzie sprawiali. Byle się co w przyległej ruszyło komorze, podnosiły głowy i warczały, na drzwi patrząc, jakby poskoczyć chciały, aż je król głosem groźnym hamować musiał.

Dnia tego król i zmęczony był i gniewny, patrzył w powalę, brwi marszczył, pięścią bił o posłanie i psy się doń nawet zbliżać nie śmiały, bo je bił i odpędzał. Wtem zaskrobano do drzwi.

Zawarczała psów gromada, zrywając się i nasłuchując, król patrzył, milcząc. Ukazała się siwa głowa starego podkomorzego królewskiego, Janka Huźli.

— Miłościwy panie! — rzekł.

— Czego się ciśniesz! widzisz, że spoczywam! — zawołał król.

— Miłościwy panie! — dodał niezmieszany tem sta-

rzec. — Jego miłość, ksiądz Stanko, biskup, czeka na miłość waszą i domaga się posłuchania.

Usłyszawszy to imię, król się zerwał na równe nogi tak nagle, że psy przelekłe pozrywały się też i skoczyły.

— On, tutaj? — zakrzyczał król.

— Tak, miłościwy panie; doprasza się rozmowy z miłością waszą.

— A no! w sam czas — rozśmiał się król — w sam czas, bom i ja rad się rozmówić z tym klechą. Dobrze przeczuł godzinę! Idź mu powiedz, iż króla widzieć będzie. Niech czeka. Prowadź go do izby królewskiej...

Podkomorzy drzwi przymknął powoli i cofnął się zaraz, a Bolesław stanął, w myślach zatopiony.

Rzekł, że chciał widzieć biskupa, ale z twarzy patrzyło, jakby się iść wahał, niebardzo rad spotkaniu, któreby chętnie na czas inny odłożył.

Podszedł raz ku drzwiom już samym i zawrócił się od nich; postąpił ku nim raz drugi i, zasuwę ująwszy, cofnął się jeszcze, szedł raz trzeci, zmusiwszy się, dumnie głowę podniósł, i jak stał, napół odziany, pośpieszył do izby królewskiej.

Komnata to była niewielka, ale wielce ozdobna i na to przeznaczona, aby w niej król niewielu dostojniejszych gości mógł przyjmować.

Było w niej siedzenie pańskie, ponad którem tarcze i miecze wisiały i stały ławy dokoła z poduszkami sukienkami i oparciem; podłoga kobiercami wysłana, okno rybiemi błonami zaciągnięto, przez które żółtawy blask dnia przechodził.

Tu rozmowa była bezpieczną, gdyż dwie puste izby dzieliły ją od tych, w których dwór, Boleszczyce i komornicy stawali.

Król wszedłszy krokiem szybkim, zastał już tu biskupa, stojącego w pośrodku. Dwu swych towarzyszków duchownych zostawiwszy w pierwszych izbach, ks. Stanisław ze Szczepanowa sam był tylko. Stał poważny, surowy, z twarzą posępną kapłan, odziany jak do chóru, z pierścieniem na palcu i krzyżem na szyi.

Król i on zmierzyli się oczyma, jakby niemi sił swoich próbowali, ale biskup nie strwożył się królewskim wejrzeniem, a król nie wytrzymał jego wzroku i zasepiony szedł dalej.

Skłonił się biskup.

Nie mówiąc słowa, nie oddawszy pozdrowienia, Bolesław zajął swe siedzenie królewskie i nie wskazując biskupowi ławy obok siebie, jak należało, zapytał go szorstko:

— Czego chcecie ode mnie?

Biskup długo wprzód oczyma króla mierzył, jakby się namyślał, albo modlił w duchu, poczem postąpił krok naprzód i począł zwolna, a spokojnie:

— Miłościwy panie! Nie ja do ciebie przychodzę, ale we mnie i ze mną kościół, matka nasza. Nie zważajcie na mnie, pomnijcie, że ja nie z siebie mówię, ale z jej rozkazania, nie po mej, ale po jej woli...

Tu czekał trochę, a gdy król milczał, gryząc usta, po chwili mówił dalej:

— Miłościwy królu! Milczała długo matka ta i płakała, dziś przez usta moje do dziecka przemówić musi, nadszedł czas. Płacze ta matka, płaczą bracia twoi, królu, patrząc na to, co się dzieje.

— A cóż się dzieje? — zapytał król szydersko i wyzywająco.

— Dzieje się źle, — ciągnął biskup dalej — jeżeli wy, królu, nie wiecie nawet, iż się źle dzieje. Przecież z wysokości tronu waszego jęki kraju dosłyszećbyście powinni; staliście się mu katem, gdy ojcem być powinniście.

Król poruszył się i rzucił na siedzeniu, lecz nie rzekł nic jeszcze.

— Ziemianie, rycerstwo, starszyzna, wszystko cię odstępuje — mówił biskup, głos podnosząc — boś srogi dla nich i bez miłosierdzia.

Król wybuchnął nagle, uderzając pięścią w poręcz siedzenia.

— Na to władzę mam; a jak ją sprawiam, za to odpowiem Bogu, nikomu więcej. Ziemianie są krnąbrni,

rycerstwo zdrajcy, bo mnie odbieżało w Kijowie samowolnie, a do domów przybywszy, znęcało się nad ludem okrutnie. Ja nie samych ziemian i rycerstwa królem jestem postanowiony, ale ludu całego... Nad narodem ubogim mścić się i tępić go nie dam! Króla niema bez ludu, a z gminu rycerstwo i ziemian zrobić łatwo... Karzę samowolę, bo tu nikt nie ma władzy i sądu, tylko ja!

— Lud ten — rzekł biskup — podniósł się przeciw panom swoim, lud ten gwałty popełniał, domy bezcześcił, własność zagrabił, lud to wespół jeszcze pogański, którego przeciw chrześcijanom bronić się nie godzi...

— Oskarżacie lud! — zakrzyczał król. — Co sługi winne, że niewiasty rozpustne! Ziemianki to wasze, żony własne rycerzy pociągnęły do łóżnic sługi i pokalały domy. Dla nich niema litości, i niema jej dla zdrajców a zbiegów.

Król mówił w uniesieniu wielkiem, powstając i padając na siedzenie, rzucając oczyma rozpalonemi na biskupa, jakby się nań miał porwać.

Stanisław ze Szczepanowa stał, słuchał i milczał nieporuszony. Dawszy dopiero ochłonać nieco królowi, począł głosem tym samym, jak wprzód.

— Pomnijcie, miłościwy panie, że gdy za Mieszka opuścili go zrażeni ziemianie i władcy, gdy królowa Ryksa zniechęciła ich ku sobie, wkrótce i całej krwi, a rodowi pańskiemu uchodzić było potrzeba i zrzec się panowania... Pomnijcie, że bez nich ostać się nie możecie.

— O! to opuszczenie i wygnanie ojcowskie pomnę ja im po dziś dzień! przerwał król. — Pomnę i nie zabędę i nie przebaczę go nigdy! Dlatego głowy ich krnąbrne spadają i spadać będą, aż ich nie stanie. Nowych sobie uczynię ziemian i rycerstwo, które mi będzie posłuszne. Królem jestem i panem, a nie słomianym strachem, który na wróble wstawiają; dzierżę władzę i nie puszczę jej. Ani władzyki, ani wy biskupi,



i duchowni sprzeciwiać mi się nie śmieście, bo miecz mam i prawo w rękę!

Biskup z wolna o krok się cofnął.

— Miłościwy panie — rzekł z dumą. — My biskupi nie stoimy pod twą władzą królewską, my mamy jednego króla a pana w niebiesiech, a drugiego zastępcę Jego w Rzymie, więcej nikogo nad sobą! Nikogo! Nie my wam, wy nam jesteście podlegli, bo podlegacie kościołowi... i posłuszni mu być musicie!

— Ja, wam podlegać? — wykrzyknął król, zrywając się i podnosząc pięście do góry. — Ja! Ja nie znam ani cesarza, ani papieża, nikogo, krom Boga nad sobą. Słyszycie! Nie myślcie, że jak ów cesarz pójdę głowę moją położyć pod nogi papieża, czy biskupa; rychlej stracę ją i koronę!

— Baczcież królu, abyście nie stracili obojga — rzekł biskup spokojnie. — Słów waszych w gorącości wyrzeczonych nie biorę do serca, ani ich ważę, ale powtarzam wam, miłościwy panie, kościołowi jesteście podlegli, a kościół więcej siły ma, niż wszyscy ziemscy mocarze.

Śmiejąc się dziko, król po rękojeści miecza uderzył.

— Zobaczmy, kto silniejszy, gdy się z wami lub z kościołem próbować przyjdzie! — zawołał.

Biskup smutnie zwiesił głowę na piersi.

— Miłościwy panie! — rzekł cicho, głosem, w którym boleść nie trwogę czuć było — raz jeszcze mówić chcę do was jako brat <sup>1)</sup>, który czuje.

Żachnął się król, posłyszawszy, iż go śmiał bratem nazywać biskup.

— Jeszcze raz na duszy waszej zbawienie zaklinam was, upamiętajcie się, upokorcie, poprawcie! Wszystko, co czynicie, do zguby was wiedzie. Życie wasze i dworu złe i grzeszne jest, sprośne, rozpasane. Z góry przykład na naród płynie i on się psuje zepsuciem waszem. Na sumieniu nietylko własne mieć będziecie grzechy, lecz i tych, co króla naśladują!

---

<sup>1)</sup> Tym wyrazem w liście swym zowie biskupa Wratysław.

— Milcz, klecho! — krzyknął Bolesław.

— Milczeć nie będę i nie mogę — rzekł biskup poruszony — mówić mi każe wierność przykazaniom Bożym, kościołowi, — miłość dla rodu waszego. Żyjecie jawno grzesznikiem z żoną cudzą, gwałtem wziętą rycerzowi Mścisławowi z Bużenina.

— A tobie co do tego? — zakrzyczał król gwałtownie, nogami bijąc o podnózek, który roztrzaskał. Z kim ja żyję, — do tego nie nikomu! To moja sprawa! Ja grzeszę i pokutować będę. Jak wy mi to wyrzucać śmiecie! wy, wy!

— Powinienem, muszę i będę — rzekł biskup. — Nie sądzicie, miłościwy panie, abym się was miał ułęknać. Ja także, jak wy, nie lękam się nikogo, prócz Boga, nie boję się śmierci i nie trwożę gniewu twojego. Czynię, co sumienie każe... — Żonę Mścisławowi powrócić powinniście, a za zgorszenie publiczną odbyć pokutę! Tak! Świat patrzył na grzech, musi widzieć kajanie się...

Wrzał król, słuchając i oburącz cisnął poręczę z gniewu.

— Klecho! — zawołał. — Dawałeś mi przestrogi, i ja ci dać muszę jedną. Strzeż ty się mnie i gniewu mojego, bo straszny jest, jak piorun i jak on bije w kościoły. Spaść może głowa twoja, choć namaszczona, a w Rzymie, gdy będzie potrzeba, dam okup za nią. Zamknę ci te usta, gdy zanadto mówić się ważą.

— Miłościwy panie — odparł biskup — uczynić możecie, co chcecie, ale ustraszyć mnie nie potraficie. Widzicie, oto stoję przed wami bezbronny, jakem już nie raz stał, mówię a błagam, czyńcie pokutę i wynijdźcie z grzechu. Ilekroć przypuszczonym będę, tylekroć powtórzę ci to, błagać będę i karcić. Kajaj się! grzechów twych...

Biskup podniósł głos uroczyście, a król bijąc w siedzenie, zawołał z przeraźliwym krzykiem:

— Milcz, klecho!! Nadto rachujesz na swój Rzym i do zbytku język rozpuszczasz. Milcz...

Westchnął biskup z politowaniem. Nie widać było

na nim gniewu, ni poruszenia, znękany, pot tylko otarł z czoła.

— Kościół, królu, ma przeciw krnąbrnym dzieciom siłę. On cię namaścił na panowanie, on ci namaszczenie twoje odjąć może. Nie zmuszaj go, aby ci drzwi swe zamknął i od społeczności swej, jako owcę parszywą, odłączył. Naówczas na nic ci się nie przyda ani krew twoja, ani twoje imię, ani władza; opuszczą cię wszyscy i wypowiedzą posłuszeństwo. Siła twoja skruszy się w twojej dłoni. Ulituj się sobie, ulituj królowej i jednemu dziecku twojemu. Upamiętaj się! Kościół zna ludzkie słabości i rozgrzesza je, gdy skruchę widzi, ale zuchwałym i krnąbrnym przebaczyć nie może.

Słuchał król, burząc się zrazu, potem naigrawając i próbując się śmiać z biskupa, który równie gniewem, jak szyderstwem nieporuszony, nieulekły, mówił z powagą, głosem boleścią przejętym... Zrywał się kilkakroć, jakby chciał przerwać i wkońcu obojętnego udawał, choć złość w nim coraz większa wrzała.

Stanisław ze Szczepanowa ciągnął dalej, nie zważając na królewskie gniewy.

— Potom przyszedł tu — rzekł — abym dwojga żądał od was; oddania żony Mściśławowi i ojcowskiego serca dla ziemian i rycerstwa. Zaklinam was, usłuchajcie mnie, a nie zmuszajcie, abym w obronie przykazań Boskich dobył miecza, jaki mi kościół daje...

Bolesław nie mogąc już dłużej utrzymać gniewu, czerwony od złości, trzęsący się powstał i rękę wyciągając ku drzwiom, wołać począł:

— Idź stąd! idź! uchodź! ręce mi drżą, nie pohamuję się, targnę! Uchodź, klecho! Nikt jeszcze nie śmiał stanąć jak ty przeciwko mnie, ażeby życiem nie przypłacił, uchodź!

Powtarzał to coraz żywszym i sroższym głosem, ręka mu dygotała.

Biskup popatrzał nań, podniósł prawicę i przeżegnawszy nią króla, jakby odżegnywał złego ducha, krokiem umyślnie zwolnionym, ustąpił, nie oglądając się już za siebie.

Gdy mu znikł z oczów, król, na siedzenie padłszy, długo uspokoić się nie mógł; podparty na rękę, zgrzytając zębami, rzucając się, półsłowy klnąc pogańskimi, przesiadzał tu sam jeden do zmroku.

— Dwór, który zdala słyszał podniesione głosy, a poznał, iż król w gniewie był strasznym, nie śmiał do niego się zbliżyć. Nie wchodził nikt, czekano, aż, uspokoiwszy się, sam zawoła, albo wynijdzie.

Mrok już był, gdy nareszcie wstał Bolesław z siedzenia i szybko biegnąc, nasrożony wypadł z izby. Czekali nań w zwykłym miejscu stojący Boleszczyce.

Król podbiegł ku Borzywojowi.

— Ujęto Mścislawa? — zapytał.

— Czatuja nasi, dotąd się nie ukazał pono.

Król nie mówiąc więcej, poszedł do izby swojej i psów, które, skomląc i wyścigając się, witały go.

Na Mścislawa czatowano, lecz Krysta, co go wydała sama, choć miała poręczenie, że mu nie wezmą życia, ulękła się już własnej zdrady.

— A jeśli go zamordują, ja krew jego mieć będę na duszy mojej. On mnie przeklnie, konając. Bronić się będzie, gdy go pochwycą, i zabiją go, zabiją. Com ja uczyniła! com uczyniła!

Już chciała biec do króla, rzucić mu się do nóg, prosić za nim; wybiegła do progu sieni: zawstydzila się i zawahała. Chciała Bolesława do siebie zwać, — ogarnął ją strach, by nie myślał, iż męża kocha i żałuje. Płakała i ręce łamała.

Niewiasta płocha jednej godziny złą i dobrą, kochającą i niewierną, skruszoną i występłą być mogła, tak zmienne w niej wszystko było. Żyła na świecie jak jakieś stworzonko biedne, co po kwiatach lata, samo nie wiedząc, co robi; tem samem żądłem miód dobywa i kasa jadowito, a gdzie przysiądzie tam mu na chwilę dobrze, choć drugi raz nie wróci, a nie zatęskni.

Żal jej się zrobiło Mścislawa, własnej zdrady strach. Choć sama wydała, ratować już chciała. A jakże wydać go nie miała, gdy od króla wydrzeć ją pragnęła, z królowej czyniąc biedną wygnankę.

Na dworze było tak wesoło, tak huczno i codzień inaczej; za dworem, w lasach, na pustyni, zdawało się jej, że umieraćby musiała, a śmierci bała się strasznie! Broniła się więc biedna. Tak mówiła jej płochość, a za-bobonny strach szeptał z drugiej strony:

— Zabiją go, on, umierając, cię przeklnie i rzuci swą krew na głowę twoją! Krew straszną, krew zmarłego, której niczem zmyć nie można.

Wylękła Krysta biegła szukać ratunku u swej ulubienicy, Ciarki.

— Słuchaj, Ciarko, słuchaj dobra moja, oto masz bursztynu sznur! Co ci powiem uczynić, proszę! Dam, co zechcesz sama. Uczynić, a zbawisz duszę moją!

— A uczynię wszystko, co każecie — odezwała się zdziwiona i uradowana dziewczyna, przypatrując się świecącym bursztynom. — Czegóżby dla takiego sznura biedne dziewczę nie uczyniło.

— Nim mrok zapadnie — idź w bramę — mówiła Krysta. — Uważaj dobrze. Wnijdzie tam człowiek w prostej sukmanie, z czapką na oczy nasuniętą, czarny, duży, straszny! Al to ten mój stary mąż, który się za mną rozbija i zakrada się do mnie.

Ciarka zdziwiona w ręce uderzyła.

— Mąż! o Boże miły! mąż!

— Ale ja męża tego nie chcę! nie chcę! a żal mi, żeby go nie zabito, bo tam czatują na niego... Powiedz mu, szepnij, że król o nim wie, a jak go ujmą, nic nie pomoże, głowę da. Niech ucieka! Powiedz mu, żem ja ciebie przysłała, żem ja tobie kazała, niech ucieka i mnie nie przeklina. Ludzie podsłuchali, wygadali, zdradzili... niech ucieka... Ciarko, ty to zrobisz dla mnie?

Ciarka, która w ręku sznur bursztynów trzymała, zawołała żywo:

— A no, jeśli go poznam, klnę się, że uczynię, jak każecie... powiem mu wszystko... Niech uchodzi, pójdę nawet za wrota...

Krysta ją ku drzwiom popchnęła.

— A idź, a prędzej!

Ledwie czas mając sznur swój do serca przytulić, dziewczę się chustą okryło białą i pobiegło w podwórze ku bramie.

Wieczór już był, a ludzi mnóstwo jeszcze w zamku i do zamku przybywało. Król ze swą drużyną wieczerzać miał na grodzie we dworcu. Na łące pod Wawelem dla gości stały stoły, ale do nich oprócz ubogiego gminu, nikt z ziemian się nie zbliżył nawet: złożywszy dań, natychmiast precz odjeżdżali wszyscy, nie chcąc tknąć ni jadła, ni napitku królewskiego.

Ciarka wysłana ku bramie, spotykała jadących na to widowisko i powracających z niego. Starala się oczyma bystremi pochwycić opisanego jej człowieka, długo napróżno. Nareszcie ukazała się postać całkiem podobna do tej, o której pani mówiła.

Już biegła, aby zbliżającemu się zanieść przestrożę, gdy czterej jezdni, kręcący się około wrót, opadli nagle wchodzącego i dwu z nich ręce mu położyło na ramionach. Nim Ciarka dobiec czas miała, pochwycono wchodzącego i pomiędzy konie wzięwszy, szybko ku zamkowi pociągnięto go.

Mścisław — on to był bowiem — nie miał nawet czasu bronić się, ani próbował sił wyrywać, — dał się wziąć i poprowadzić milczący.

Wnet jeden pobiegł o nim znać dać królowi i z rozkazu pańskiego poprowadzono go zaraz do ciemnych izb, w których więźniów trzymano. Stały one nieopodal za dworcem, a teraz puste były.

Król więzić nie lubił, wolał wieszać i ścinać.

Izby, zbudowane z ogromnych kłoców drzewa, obitych jeszcze wewnątrz deskami grubemi, nie miały światła żadnego, jedne drzwi tylko okute przystęp do nich dawały. We drzwiach tylko okienko z zasuwą drewnianą, służyło do podawania jadła więźniom wewnątrz zamkniętym.

Borzywój, któremu zlecono zamknąć Mścislawa, sam go tu odprowadził. Miał widać jakieś królewskie zlecenie, bo zamiast odejść, odstawiwszy go do ciemni-



cy, zatrzymał się, pacholłkowi nakazując zdala przyświecać pochodnią.

Wnętrze izby nad wszelki wyraz było okropne: śmiecie, brudy i słoma zgniła zalegały ją całą, jednym była obrzydłym barłogiem, a powietrzem jej wilgotnem i skażonem zaledwie oddychać było można.

Mścisław, którego pacholłkowie za barki ujawszy, wtrącili do wnętrza, dał się cisnąć na przegniłą słomę, słowa nie rzekłszy; obejrzał się ledwie i padłszy, leżał, jak martwy, nie patrząc nawet na stojącego u drzwi Borzywoja.

Ten nie odchodził i mierzył go oczyma.

— Mścisławie, słuchaj — rzekł — żal mi cię!

— A mnie ciebie żal — odparł pan z Bużenina. — Ja jestem więzien, tyś — niewolnik.

Boleszczyc jakby nie słyszał tego, ciągnął dalej:

— Żal mi cię, Mścisławie; aleś ty sobie winien sam.

Śmiechem ostrym i dzikim odpowiedział na to Mścisław.

— Tom ja winien! prawda! — syknął.

— Albo to jednemu żona się sprzeniewierzyła! Czy dlatego się ma każdy obwiesić! — ciągnął Borzywój dalej. — Czy ty masz dla niej ginąć, kiedy ona ciebie nie chce? Sama przecież o tobie znać królowi dała.

Mścisław się odwrócił gniewny.

— Kłamiesz! — zawołał — Kłamiesz... Ona! to nie może być!

Borzywój się teraz śmiać począł.

— Ja ją codzień widuję — mówił — my z nią dobrzy druhowie, ona króla kocha, a ciebie się boi, wzdyga się na samo wspomnienie twoje. Co ty się będziesz dla niej marnował! Czy to ona jedna na świecie!

Mścisław, leżąc, burczał coś tylko niewyraźnie.

— Słyszysz ty, drąbie jakiś! — rzekł — czy ona mnie kocha, czy nienawidzi, wszystko jedno mi, co mi tam! a no ja ją chcę mieć, bom ją wziął, bo moja, a ja ją miłuję, to dość...

— Szalejesz, Mściśławie — ciągnął spokojnie Borzywój. — On pan, on król, ty ziemianin prosty! Ja ci rzeknę jedno, daj ino klątwę, że się nie pokażesz więcej, a Krysty się wyrzekasz, pójdę do króla, da ci wolność i jeszcze co w dodatku. Co ci po babiel!

— Ja? jej się wyrzekać, ja? o nigdy w świecie — krzyknął więzień. — Puściecie mnie, — będę szukał sposobu, aby wam ją odebrać. Na to wam słowo daję. Przyjdę sam, zbiorę ludzi, ściągnę kupy, podburzę wrogów jego, pójdę do Czech, do Niemiec, podpale zamek... nie dam spokoju... Zamknijcież mnie, niechaj wszyscy wiedzą, co u króla ziemianin wart, któremu i żonę wziąć i majątność i głowę wolno... Nie macie mnie co puszczać!

Borzywój nie wiedział już co mówić, uczynił krok, jakby odchodzić miał.

— E! żal bo mi cię! — powtórzył.

— A mnie żal ciebie i twej braci — odparł jak wprzód Mściśław. — Służycie panu, który źle czyni, którego Bóg skarże, a was razem z nim. Co mi tam, że ja zginę w ciemnicy? zginę albo nie, to Bóg wie, ale że wy z nim szczeniście marnie, prędzej, później, — to wiem pewno...

— Będziecie tułaczami, żebrakami bez czci i wiary... aż Bóg się ulituje nędzy waszej...

Odwrócił się Mściśław ku ścianie i, zamykając rozmowę, połą okrył głowę.

— Borzywój, postawszy nad nim chwilę, widząc, że już nic nie zyszcze, odszedł.

Pochodnię wyniesiono, zasunięto i założono drzwi drągiem, zaduchy smrodliwe i ciemność objęły więźnia.

Gdy się to działo, dziewczyna zadyszana powracała do pani, wołając od progu:

— Pojmali go! pojмали! nieszczęsna dola moja!

I z płaczem dobyła sznur bursztynów, trzymając go w rękach, patrząc nań smutnie, strapiona, że jej pani odbierze niezasłużoną nagrodę.

Kryście bursztyny nie były w głowie, krzycząc, ręce załamała.

— A! ja nieszczęsna! a! ja przeklęta! co ja pocznę! gdzie się skryję! krew jego padnie na mnie!

Rzuciła się na ławę, głowę w rękach tuląc i płacząc!

Wśród tego jęku i płaczu drzwi się otwarły, wszedł król.

Dziewczę z bursztynami w ręku, zobaczywszy go, uciekło skryć się do komory, a Krysta, posłyszawszy kroki, zwróciła głowę i blada podbiegła ku niemu.

— A! panie mój, królu mój — zawołała, obejmując mu nogi — życia mu nie każcie brać! bom ja go wydała i krew jego spadnie na mnie, krew! krew!

Chmurno król popatrzał na nią.

— Ej ty! — rzekł — nie cięto go, ani zadławiono! oczów mu nawet nie kazałem wyłupić — mnie go żal! Człek szalony, co się ze mną, z panem swym, chce porywać do walki! On, ze mną! Robak ten mizerny, którego zdusić mogę. Tak, jak ten klecha, co się za jego sprawę bierze! Ej! Krysta, czarne oczy twoje drogo króla kosztują.

Ona, stojąc, płakała, chustką ocierała oczy, a westchnienia z piersi się jej wyrывały.

— Króleczku mój, paneczku mój! Krysta cię będzie kochała, tylko życia mu nie bierz. Kłatwę rzuci na moją głowę, — krwi się boję!

— Wyprosisz mu życie, niech tylko w ciemnicy posiedzi, rozumu się nauczy. Biskupabym z nim wsadził razem, a no! poczekawszy, wpadnie mi on w ręce.

Z oczyma w ziemię utopionemi, spokojniejsza nieco, słuchała, nie rozumiejąc Krysta, łzy ciągle z oczów jej płynęły.

Król zbliżył się do niej i pogładził po twarzy, kazał jej sięść, kazał śpiewać sobie; ale Krysta łzy miała w głosie, a i on rozchmurzyć się nie mógł. Ciężyla na nim rozmowa z biskupem. Chciał ją zapomnieć, a nie mógł.

Przesiedziawszy chwilę z Krystą, król wstał i zostawił ją samą.

W królewskich izbach wieczerały drużyny, szedł

do nich gwar ten, chcąc wśród drużyny swej, na rozkazy i skinienia gotowej, otoczony siłą zapomnieć biskupa.

Miejsce jego stało opróżnione...

Drużyna pańska, wszyscy ci Boleszczyce, dwór i goście, których teraz rzadko gród oglądał, jak za Chrobrego mieli na zamku zastawione dla siebie stoły. Po kijowskiej wyprawie i rozbiegnięciu się rycerstwa, często też król na srom zbiegom tym, których karał, najprostszy gmin do swych stołów przypuszczał. Szedł do nich, kto chciał, bo hojność króla miary nie miała.

Dnia tego liczniejszych spodziewano się gości, ale jak do stołów pod namiotami, tak i tu nikt się prawie nie zjawił. Znajomi i krewni ich na dworze króla będący, ciągnęli ich na próżno.

Leliwa, którego bratankowie niemal gwałtem wziąć na zamek chcieli, wiedząc, jak królowi te pustki przykre będą i do gniewu go pobudzą, odparł im, wyrwawszy się i na koń siadając:

— Niech sobie miłościwy pan z tymi je, których kocha. Pokochał czerń, niech się nią cieszy, my mu tam niepotrzebni. A no zesłoby się może tak, że u stołubym siedział z tym, którego bym rad na gałęzi posadzić.

Wielu wprost od daniny pociągnęło do biskupa, aby okazać, że z nim trzymają.

Gdy król wszedł do izby, w której już dworskich jego wielu zgromadzonych było, rzucił tylko okiem po ludziach i twarzach, a nie zobaczywszy nikogo innego, zrozumiał, co to miało znaczyć. Brwi mu się nad oczyma ściągnęły w jeden pas czarny, poszedł na swe siedzenie i nie ozwał się do nikogo.

Depiero, gdy Borzywój, który mu często i za cześnika służył, na skinienie kubek nalawszy, podał go, król, zmierzwiwszy go oczyma, spróbował żartować.

— Gości macie dużo! — rzekł.

Borzywój ruszył ramiony; król się uśmiechał.

— Tak lepiej; znajdę ja kogo chlebem karmić moim, a nie wiem, czy oni długo chleb mieć będą, i gęby

do niego! Weselcie się wy za wszystkich... Do domów pojechali? — spytał król.

— Wielu pono u biskupa gości na Skałce — rzekł zboku stojący Zbilut. — Kupa ludzi koło dworu była...

Król zaciął usta, kubek duszkiem wypił i drugi nalać kazał.

— A no! — zawołał — weselcież się, bądźcież dobrej myśli, tam też u biskupa musi być wesoło. Pewnie i niewiasty mu zaprowadzili, aby go piosenkami rozrywały. Klechy to lubią, choć drugim zakazują.

Śmiać się niektórzy zaczęli, inni widocznie zakłopotali, król, jakby chciał o czymś zapomnieć, krzyknął zaraz, aby mu pieśni śpiewano, aby zdala słychać było, że na zamku i bez gości wesoło. Usłudni zawsze młodzi, natychmiast jedną z najswawolniejszych piosenek rozpoczęli, a gdy jeden podniósł głos, wnet mu zewsząd zaczęto pomagać, wrzawa się stała ogromna. Przy każdej zwrotce wesołej śmiech i klaskanie się rozlegały, — król siedział sparty na ręku i gniewny.

Na Skałce, około domu biskupa, który czasowo mu służył za schronienie, gdyż na zamku pod strażą królewską siedzieć nie chciał, koni i czeladzi cała gromada stała tego wieczora. Ciasnych izb kilka zapełniło rycerstwo i ziemianie od króla odepchnięci, szukając tu rady i wodza ku obronie.

Po powrocie z zamku biskup przyjmował przybywających, łagodząc ich i nie dopuszczając, by zbyt szeroko skargi swe rozwodzili. W gromadzie jeden drugiemu dodaje żalu, rośnie ból, gniewy się rozpalają i niełacno je potem uśmierzyć. Biskup zamykał im usta, polecając przyszłość Boskiej Opatrzności, nadzieję kładąc mieć w łasce Bożej. Gdy który z nich wybuchnął krwawym żalem, kładł mu ręce na ramieniu i koił go chrześcijańskimi radami.

Izby, w których się gromadzili ziemianie, ciasne były, niskie, jak klasztorne, ubogo a skromnie wyglądały. Zaledwie stoły, ławy, krucyfiks na ścianie wielki i miedziane naczynia u drzwi do święconej wody ubierały je nieco. Zamiast kobierców służyły maty — złota

i srebra nikt nie zobaczył. Majętność swą biskup obra-  
cał na kościoły, na księgi, na ubogich i sieroty, które  
do szkólek gromadzić kazał. Dla siebie nie potrzebo-  
wał więcej nad to, co mnichowi prostemu starczy. Kil-  
ku duchownych stanowiło dwór biskupa, — czeladzi  
było mało.

Ziemiańskie cisnęły się dnia tego gromadnie, z kolei  
przychodzili do pocałowania ręki, wzdychając, patrzali  
w oczy, ażali nie posłyszają słowa jakiego, nadziei i po-  
ciechy. Błogosławił ich biskup, pytał i odprawiał wy-  
razy niewiele.

Gdy nareszcie tłum ten niemal cały rozszedł się,  
albo nocą jeszcze, rozjeżdżając się do domów, lub  
gospód szukając po przedmieściach, a niektórzy w nie-  
dostatku miejsca, obozem się namiotami na polach po-  
rozkładali, na Skałce nie pozostało nad trzech star-  
szych władyków; Leliwa, Mestko Kruk i Brzechwa.

Druga izba, do której ich biskup wprowadził, mniej-  
sza jeszcze od pierwszej, była domową kapliczką. Tu,  
przy ścianie, stał mały, skromny ołtarzyk, przy któ-  
rym niekiedy odprawiał ofiarę, częściej modlił się, go-  
dziny odprawując, księga na nim leżała otwarta przed  
krucyfiksem, między lichtarzami dwoma. Małe okien-  
ko czyniło ją nawet we dnie napół ciemną, lecz na ko-  
minie skałki gorzały dla światła.

Oprócz trzech ziemian i biskupa znajdował się tu  
podeszły mężczyzna w sukni duchownej, także w przy-  
ciemnionym kątku siedząc milczący.

Podano naprzód skromną strawę wieczorną na gli-  
nianych misach, do której zasiedli biskup tylko z mil-  
czącym swym towarzyszem... Leliwa, Kruk i Brzech-  
wa już wieszczęć nie potrzebowali.

Wszystkim im ciężko długo trwające milczenie po-  
sępne, którego nikt przerywać nie chciał. Trzej ziemia-  
nie zdawali się oczekiwać na to, co im powie ks. Stani-  
sław ze Szczepanowa; w ostatku Leliwa, który najbli-  
żej stał, mąż letni i poważny, odezwał się:

— Miłościwy ojcie, pocieszcie nas, bo na słowo  
wasze rodzicielskie czekamy w utrapieniu naszym. Co



czynić? czego się spodziewać? jak i czem ratować się mamy? Patrzcie, co się z nami dzieje. Ginie my znowu. Jeszcze pamięć pierwszych nieszczęść nie zatarła się, a oto burza nowa nadechodzi... Panu naszemu ani męstwa, ani sławy, ani szczęścia zaprzeczyć nie można. Wydzwignął ziemię z upadku, zdobył moc wielką i potęgę, lecz potęgą tą nas biednych gniecie i oto mało co brak, abyśmy z rodami naszymi poszli na łup czerni. Policzyć rycerstwo, które nałożyło głowę, trudno, a co się stało z Mściśławem z Bużenina, wie świat cały. Żonę mu zabrano, dziś jego samego na zamku ujęto i jakiego złodzieja do ciemnicy rzucono, za to, że się ważył wejść na podwórze.

— Panie — mówił Brzechwa — u syna mojego, który z królem do Kijowa chodził, włodarz opanował wszystko, żonę mu zabrał, dostatek sobie przywłaszczył. Syn przybiegł na głos ten, stracono go za to, że się upominał o swoje, włodarzowi żona i majątność dotąd została. W co się my obrócimy? Czerń nas wyrznie, gdy zechce. Król i słowa nie rzecze.

Aż i Kruk począł:

— Jeśli do króla skargi niema, do kogóż iść, jeśli nie do was, ojczyzno?... Radźcie, pomóżcie, ratujcie, bo oto pogany wszystko ogarną!

— Dzieci moje! — odezwał się biskup — Wiecie, iż siebie nie żałuję. Chodziłem, błagałem, napominałem go daremnie. A! poprawy po nim przestałem się spodziewać! Pijany jest siłą swą, zatwardziały w grzechach, a hałasem się otoczył, co mu pochlebia i pomaga. Namaszczony jest, porywać się nań nie godzi, a on sam się zgubi i nas pożre złością swoją.

O, nieszczęśliwe te ziemie nasze! — rzekł Leliwa. — Małośmy to przecierpeli po ucieczce Kazimierza, a co nas dziś czeka? Wszystko się rozprzega, niewolnik i parobek, czując powolność w górze, urągają nam niemił!

Wywodzili tak żale swe, coraz nowe przykłady stawiając. Biskup słuchał smutnie.

Niekiedy wśród mowy tej dawał oczyma znaki siedzącemu przy stole duchownemu, jakby chciał uwagę

jego zwrócić na znaczenie skarg ziemiańskich. Kilka razy Leliwie i Krukowi sam biskup poddał zapytania-mi zřecznoř rozszerzenia się nad klęskami kraju i nę-dzą, jaka mu groziła.

Stary mówił:

— Albořmy to tego pana kiedy u siebie widzieli, mieli czas poznać go, zbliżyć się, a on nas wysłuchać? nie miał dwudziestu lat, gdy objął rżady, a nie było potem i jednego roku, żeby u siebie doma gospodarzył, po Węgrzech i Rusi bijąc się i wojując. Z rycerstwa, co go otaczało, drudzy po lat siedem żon, dzieci, ani strzechy swej nie widzieli.

— Gdy nastała swawola — mówił Kruk — nie kto, tylko czeladź była winna... Słabe niewiasty ani mogły, ani śmiały się bronić. Król je wini, sukami je nazywa, że się mężom sprzeniewierzyły. Nieprawda jest, myřmy starzy na to patrzali. Nieszczęśliwe żony i córki, jak mogły opędzały się parobkom i czeladzi, uciekały po lasach, niejedna głodem zmarła i wołała śmierć niż sromotę. Wy, ojczce, znacie, bořcie tam niegdy proboszczem bywali, co uczyniła Małgorzata w Zębo-cinie z siostrami swemi; na wieży kořcielnej zamknięta, zmarła z głodu, nie chcąc się czerni poddać i zbe-szczęścić. A było więcej jej podobnych. Nie wszystkie wczas ratować się mogły; niewiasty słabe, przemoc straszna, gwałt okrutny. Cóż winny one!

— A jak on ma czerń karać za gwałt na cudzych żonach, ozwał się Brzechwa — kiedy sam tak czyni, nie wstydząc się Krysty trzymać na zamku podle kró-lowej.

Milczeli trochę; biskup, nie chcąc im bólu dodawać, krótkimi słowy pocieszał, a gdy trzej ziemianie żale swe i skargi opowiedzieli, pobłogosławił ich i pożegnał.

— Dzieci moje, — rzekł — Bóg się ulituje nad nami...

Pozostali sam na sam z duchownym, który czasu rozmowy niemym, a uważnym był świadkiem.

Gdy się drzwi za ziemianami zamknęły, a kroki odchodzących wdali już tylko słyhać było, biskup

zbliżył się do milczącego prałata. Siadł przy nim i ująwszy go za rękę, począł powolnie.

— Chciałem, ojcze mój, abyście sami oczyma własnymi widzieli, na własne uszy słyszeli, nie z moich ust, ale od obcych ludzi, — jak się tu u nas dzieje, abyście to odnieśli królowi Wratysławowi i królowej Światawie. O poprawie, o upamiętaniu króla, o zgodzie już pomyśleć nie można — radzić potrzeba ziemi tej, aby się nie pokalała i nie ginęła. Niech opiekę nad nami weźmie lepiej król pobratym i pokrewny, niż obcy.

— A cóż z królem uczynicie? — zapytał duchowny pocichu, mówią, w której się cheszczyszna przebijała. — Wojnę tu wytaczać — on w niej najsilniejszy, niełatwo go pożyć przyjdzie.

Sam on się zabije nieprawością swoją — odparł biskup, wzdychając. — Nie potrzeba ziemskiej siły, aby go obalić, piorun Boży spadnie na jawnogrzezownika. Kościół ścierpieć nie może tego, co się dzieje. Czekalem, byłem i jestem cierpliwy, ale miara się przebiera... Jeszcze chwila, a z czary nieprawości wyleje się ciecz za brzegi. Dziś on, mnie namaszczonego pasterzowi tej owczarni, której on jest najpierwszą owieczką, on mnie, napominającemu go władzą, od Boga mi daną, precz iść kazał, jak podwładnemu pacholcowi i precz za drzwi słowem wyrzucił.

Duchowny wzrygnął się, słuchając, i rękę załamał.

— Nie o mnie idzie — mówił biskup. — Jako człowiek zniósłbym z pokorą zniewagę; ale we mnie (uderzył się w piersi), we mnie kościół sponiewierany jest i znieważony. On chce nadeń wyższym być, a nas w służbę swe i niewolniki obrócić. Kościelnym orężem bronić się muszę.

— Cóż czynić myślicie? — zapytał duchowny z trwogą i ciekawością.

Biskup wstał i przeszedł się po izbie razy parę, stanął naprzeciw ołtarza i popatrzał nań, potem oczyma się zwrócił ku oczekującemu odpowiedzi i odparł głosem silnym, stanowczym, zmienionym, powagi pełnym:

— Wyklnę go! *Anathema sit!*

Po słowach tych zapanowało długie milczenie. Duchowny, spuściwszy oczy, zdawał się wahać, czy miał pozwolić na to, co słyszał i potwierdzić, czy starać się złagodzić słuszny gniew pasterza.

Ks. Stanisław ze Szczepanowa stał i czekał odpowiedzi, badając go oczyma.

— Ojciec mój — odezwał się głosem cichym duchowny. Nie należy do mnie, obcego tu, a nieświadomego okoliczności — ni się wstawiać, ni sądzić, ni łagodzić; zważcie jednak, błagam, na jakie sami narażacie się niebezpieczeństwo. Jeżeli człowiek ten kościołem pomiała, cóż uczynić gotów z kapłanem? Szalonym jest, pijanym siłą swą, jakoście rzekli, lecz szła taki przechodzi i pijaństwo ono się rozprasza.

Biskup stał zamyślony, spokojny, słuchając ciekawie, a gdy duchowny dokończył, rzekł:

— Nie tylko moc całego kościoła chrześcijańskiego za mną jest, ale co najprzedsniejszego w kraju, — ziemianie i rycerstwo ze mną, a przeciwko niemu. Garść ledwie służalców mieć będzie z sobą, a i ci go odstąpią, gdy nań padnie piorun z góry. Pomnijcie, czem jest kościelna kłątwa! Śmierć to jest i gorzej, niżeli ona. Wyklętego człowieka nie zna rodzina, nie zna żona i dzieci, wszystkie węzły, co go łączyły ze światem żyjących w Chrystusie, pękają. Konającemu kropli wody, umierającemu strzechy i progu musi odmówić każdy, odwrócić się odeń wszyscy, jak od zapowietrzonego i trędowatego... Nikt mu nie winien posłuszeństwa, nikt nad nim litować się nie może. Wyklęty człowiekiem być przestaje, a staje się zwierzęciem dzikim.

Duchowny słuchał w milczeniu posepnem.

— Lecz niżeli to straszne rzeczcie słowo, czyli nie pozostaje nic? nie godziż się spróbować jeszcze?

— Nic nie skutkuje! Urągowskiem odpowiada i groźbą. To ostatni, jedyny oręż; — wszystkie inne o żelazną tę duszę się skruszyły, — odtrącił, wyszy-

dził, odepchnął wszystko. Nie zna kościoła, kościół go znać nie może.

To mówiąc, biskup kilka razy przeszedł się po izdebce, głowę na piersi zwiesiwszy, westchnienie mu się ciężkie wyrwało.

— Ojcie mój — rzekł, wstając przed nim. — Nie obwiniajcie mnie w duszy waszej o brak miłosierdzia; lepiej jest, ażeby jeden zły zginął, niżby przezeń kraj ten i ziemie przepadać miały, w pogański obyczaj się zanurzyły, do dziczy wróciły przez rozkiełzaną rozpustę. Tak chce Bóg, tak chce litość nad narodem. Słyszałeś ich skargi — jam patrzył na czyny. Tarza się w rozpucie i okrucieństwach, aby okazał, iż nikomu nie jest winien posłuszeństwa, ani Bogu, ni kościołowi! Wiecie, co uczynił dziś, aby zohydzić suknię kapłańską i nasz stan?

Duchowny dał głową znak przeczący.

— Składano mu daniny — mówił biskup. — Wezwał skarbnego kleryka do pomocy, aby mu czytał ziemie i powiaty. Król z oczów biedaka widząc, że się mnogim skarbowi przypatrywał chciwie, dozwolił mu ich wziąć ile uniesie. Padł kleryk pod ciężarem złota złamany, na pośmiewisko czerni stanu duchownego. Ciało jego bez pogrzebu ohydnie do Wisły rzucić kazano. Dlaczego to uczynił? oto, aby ludziom na oczy okazał, że jesteśmy niepomiernie chciwi i łakomi, wdziercy i łupieżcy, gdy on o skarby nie dba, wspaniałym jest i dobroczynnym. W kleryku tym spoliczkował nas bezbożnik, a sąd i wyrok dał niesłuszny, gdyż ubogi człek nie dla siebie, a dla rodziny złota łaknął. — *Anathema sit!* Niech on będzie wyklęty, jeżeli niema być wyklętą pustynią bezpłodną cała ta ziemia za grzechy jego.

Trwało milczenie chwilę; biskup, uspokoiwszy się, przystąpił do duchownego, który słowa już rzec nie śmiał.

— Jedźcie, ojcie mój — rzekł — wracajcie do Pragi, opowiedzcie tam, coście tu widzieli, słyszeli, nie tajcie, co mam czynić i co postanowiłem. Uczynię to,

jakem rzekł. Nie lękajcie się... Rzym i kościół cały i duchowieństwo całego świata mam za sobą, silnym się czuję, mocen jestem! Uczynię to, bom powinien, uczynię, bo kto przebacza winnemu, — występki uznaje cnotą, a sam staje się winnym zgorszenia. Uczynię, bo mi to nakazuje sumienie kapłana, obowiązek pasterza. Rzucę nań klątwę! *Anathema sit!* Zamknę przed nim kościoły, ogłoszę go wywołańcem! Natenczas bezpańskie ziemie nasze niechaj zajmie Wratysław i panuje nam, aby nie stały otworem dla wrogów, łupieżą dla czerni; niech panuje, pomnąc, że na berle krzyż nosi, a tylko w imię kościoła i z nim razem panować może!

Umilkł. Duchowny słuchał z pewnem ukorzeniem i trwogą, nie śmiejąc mu przerywać.

— Jedźcie do Pragi — powtórzył biskup. — Nieście ode mnie te słowa: korona nasza bez głowy, berło świętego Maurycego bez ręki, tron Piastów bez króla, kraj bez ojca zostaje, czeka na Wratysława, aby go objął! Ziemianie przyjmą go, rycerstwo rade będzie... Dwa potężne królestwa się zjednoczą!

— A cóż się z wywołańcem stanie? — spytał duchowny.

Ks. Stanisław ruszył ramionami pogardliwie.

— Bóg postanowi. Piorun go może razić w polu, wilcy rozszarpać w lesie, głód zamorzyć w ucieczce, srom udusić, zgryzota pożreć, azali wiemy, co przeznaczone i jaką karą chłostać go zechce ten, co nie przebacza?

— Jedź, ojcie mój — dodał — mów, skłaniaj, aby byli wpogotowiu, tu im bramy otworzą, jakby zbawcom.

To mówiąc, uściskał duchownego, pobłogosławił, a gdy się za nim drzwi zamknęły, padł na kolana przy ołtarzyku, spartł ręce na nim, głowę skrył w dłoniach, modlił się i w psalmie Dawidowym dla uciśnionej duszy szukał pocieszenia...

— „Smutną jest dusza moja...”



Stary gródek w Jakuszowicach, który z dawnych wieków do Jastrzębców należał, za Bolesława jeszcze pozostał takim, jakim go wieki te ulepiły. Położony nad stromym brzegiem ujścia małego strumienia, który się po błotach rozlewał szeroko, stał na dosyć wysokim kopcu, tak wałami osłoniiony, iż go za niemi widać prawie nie było. Na wałach prastarych miały czas porosnąć od strony grodu drzewa i krzewy, gęstą je zielonością okrywając. Jedna tylko, stroma ścieżyna prowadziła pod górę ku wałom i bramie, a wrota osłoniione były przekopami tak, że ich zrazu nikt nie mógł dojrzeć, bo, zawróciwszy się dopiero między niemi, dochodziło się do ostrokołów i wrót szerniałych.

Nie śmiał nikt oddawna na gródek się rzucić, ani pokusić o jego zdobycie, za tak warowny uchodził. Przetrwał on największe w kraju burze, nie potrzebując się ani przerabiać, ni zmieniać. Za Ziemomysła pono starym już go zwano, a mieszkali tu zawsze ludzie z rodu Jastrzębców, jako w gnieździe swoim.

Z tego gniazda jednego potoczyło się Jastrzębich gniazd mnóstwo po wszystkich ziemiach, gdyż plemię było rozrodzone bardzo i płodne, tak, że nieraz stąd po dwunastu braci, synów jednego ojca, w świat wędrowało.

— A zwali się Jastrzębami, Kaniowami, Kudrzyna-Kobuzami, różnie, jak gdzie ptak się ów nazywał, co im miał dać miano, i od posiadłości też pobrali nazwy mnogie, choć najpospolitsze ich zawołanie, gdy na wojnę wici szły i ludzie się ściągali, było Kaniowa.

Żył tu jeszcze teraz dziad tych Boleszczyców — Jastrzębców, którecheśmy na dworze królewskim widzieli, sta lat pono dochodząc. Pamiętał on pierwszych królów, przeżył wszystko, co te ziemie widziały, i dziad oślepy z ręki sobie jeszcze władzy wydrzeć nie dawał. Synowie jego, wnuki, prawnuki, z ogródka tego rozbiegali się po świecie, szukając szczęścia, z orężem w rękę, rozsiadając się nad brzegami Wisły, Warty,

Odry, Bugu; odumierały go żony, których miał kilka, córki powyprowadził, krom jednej, owdowiałej, a bezdzietnej, co mu nazad pod dach wróciła; i tak dożywał wieku swojego, nie dając się życiu złamać, choć mu ono oczy odjęło i sił nadszarpało.

Slepego starca poza Jakuszwicami nikt nie widywał, bo za wały swe nigdy ani wyjeżdżał, ani wychodził, ale kto go raz tu zobaczył, ten pamiętał zawsze. Mąż był silny i rozrosły, a nie tak wielki i barczysty, jak tamtego wieku inni ludzie bywali, chudy, grubokościsty, z głową dużą i twarzą długą na suchej osadzoną szyi, z rękami wielkimi i silnymi, choć nogi miał małe i krzywe.

Twarz żółtą posiekały mu zmarszczki i fałdy, jakby jedną siatką powłókłszy. Duże oczy siwe, zgasłe, zbielałe, trzymał otwarte, jakby patrzył niemi, a były tak groźne i straszne, że ich wzroku, choć je wieczna noc oblokła, nikt wytrzymać nie mógł. Siwożółty włos obfity spadał mu na ramiona, a broda do pasa sięgała. Więc ją na dwa pasma rozgarniał, tak, że jedno na lewe, drugie na prawe zarzucał ramię, gdy mu zawadzały.

Gdy szedł, choć nie widział nic, głowę i straszne oczy podnosił do góry, usta mu się rozwierały mimowoli, marszczył się ciągle i postawę miał jakby z trumny wywołanego upioru.

Nosił się zprosta, latem i zimą w sukni z grubej tkaniny, z szyją obnażoną, a koszuli wedle prastarego obyczaju nie znał nigdy. Głos miał jeszcze potężny, choć piersi już wklęsłe, a słuch taki, że muchy brzęczenie chwycił zdaleka. Wzrok mu się tem opłacił, bo utraciwszy go, uszy sobie zaprawił, aby mu zań starczyły. Z pod owej sukmany starej, gdy się rozpięła, widać było ciało porośnięte, jak u niedźwiedzia, włosy grubemi, gęstemi, które i ręce i twarz nawet niemal całą okrywały.

Lękali się starca wszyscy w domu, bo gniewny był, w gniewie zapamiętały, choć pod inny czas dobrym być umiał bez miary. Gniewu zaś potrzebował jak chle-

ba, a gdy doń powodu nie miał, to i jeść nie mógł. Gdy się rozżarł, nałajał, nasrożył, wykrzyczał, dopiero mu życie wracało.

Gdy wzrok utracił, miał zawsze pod ręką, gdyby oczy drugie, chłopca lat dziesięciu, który go wodził, patrzył zań, a mówił, co mu kazano. Stary rękę wyciągnawszy, za długi spuścisty kołnierz go trzymał, w drugim rękę kij mając. Tak zamek obchodził, gdzie mu oczów chłopca nie starczyło, sam ręką macając. A palce jego, dotykając, rozpoznawały nawet twarze, tak, że człeka milczącego, dłonią mu powiódłszy po obliczu, nazywał. Pamięć miał zaś taką, że kogo raz widział, czyj głos posłyszał, zawsze go sobie przypomniał.

Cztery żony pochował stary Jastrzab (a miał imię wspólne innym wielu z tego rodu), Odolaj. Czwartą bezdzietną stracił, lat już mając siedemdziesiąt, i byłby się pewno z piątą ożenił jeszcze, gdyby go wkrótce nie razila ślepotą.

— Ślepemu się żenić — rzekł — szal jest i z czworogiem oczów baby upilnować trudno!

Naówczas to córkę już niemłodą, owdowiałą Tytę wezwał do siebie, ażeby mu gospodarstwo trzymała. A choć ta lat przeszło pięćdziesiąt miała, jak dzieckiem nią pomiałał.

Mówiono o nim, że skarby wielkie trzymał po komorach, do których i teraz nikt, prócz niego nie chodził, ale skąpy był i dzieciom mało lub nic nie dawał. Najczęściej wyprawę na drogę i oręż, aby sobie sami na życie i byt pracowali.

Ze trzech żon potomstwo Odolaja liczyło już może jakie sto głów z prawnukami i dziećmi prawnuków. Wszystko to było rozpiezchłe po świecie. Gdy na wielką jaką uroczystość zjechało z czołobitnością do starca całe rodzeństwo, pomimo dobrej pamięci, musiał mu się każdy wywodzić czyim był synem, albo wnukiem, bo tej gromady już i stary policzyć nie mógł. A że imion w rodzie dużo podobnych się znajdowało, niełacno

było dojść, którego Odolaja syn do pradziada Odolaja przybywał.

Na gródku u niego, nawet czasu największego w kraju spokoju, taka była czujność, ład, strażę, jak-gdyby wojna stała u progu. Załoga z wiosek się mie-niała, chodziły stróże, wrota na dany z rogu znak za-mykano, a rano dopiero otwierano, gdy pastusi bydło na pole wypędzać mieli. U wrót zawsze ludzie stali i czuwali z oszczepami.

A że stary już sypiać dobrze nie mógł, dniem i nocą po zamczysku się włóczył, zwłaszcza, że dla niego noc wieczną była. Swój gród znał tak, iż bez chłopca, z ki-jem tylko mógł go obejść o każdej porze, a trafił, gdzie mu było potrzeba. Kudłate psisko, ogromne, bure, z oczyma żółtymi, strasznymi, nigdy go nie opuszczało. Stary ten przyjaciel zwał się Hyż, a Odolaj już cztery ich przeżył pokolenia. Nie szczekał Hyż, ani warczał, gdy mu się co nie podobało, rzucał się odrazu, nie pu-ściwszy głosu, szarpał i dusił. Tylko, gdy niepewnym był, co ma czynić, zaburczał, aby wywoływać rozkaz starego pana. Zbliżyć się znienacka do Odolaja było niepodobieństwem.

Stare dworce na zamku, lepiące i podpierane od wieków, do szop były podobniejsze, niż do ludzkich domostw. Odolaj budować się nie lubił i miał przesąd słowiański względem nowych domów, które zawsze ktoś musi życiem przypłacić, wedle podania. Stało więc, co tam niegdyś wzniesiono i trzymało się, jak mo-gło, a gdy wichur co obalił, podnoszono tylko zwaliska i klecono na nowo. Oprócz jednego kawała z bier-wion grubych, mocno pobudowanego przed laty, który się zwał izbicą, reszta komor z gliny i chróstu połata-na, niska była i licha. Dużo też dla starości w ziemię wsiadło, i zdawały wyglądały zabudowania, jak kupa grzybów, co po deszczu wyrośnie, bo wysokie, omszone dachy z dranic i słomy, do grzybowych czapek były podobne.

Nawet do izbicy wchodzić było potrzeba, jak do ja-my, w głąb, tak i ona zapadła się w ziemię.

Odolaj był już chrześcijaninem, a nawet bardzo gorliwym i surowym, posty obchodził ściśle, duchownych szanował i obdarzał, ale z młodych czasów pozostało mu dużo pogańskich wspomnień i zwyczajów, których on od nowych nauk rozróżnić nie umiejąc, dziwacznie mieszał z niemi. Wiara więc jego z dwojga niemal wiar połączonych się składała, szczególnie czarów i złych duchów obawiał się mocno, czego mu nie broniono, wierzył też w zamawianie i uroki. Bajek o czarownikach i wiedźmach, latawicach, wilkołakach, lichu, psocie, plusze słuchać lubił i sam miał ich zapas uzbierany wielki. Znał się nawet na tem, jak czar bywał rzucony i jak mógł być zdjęty. Stare baby posądzane o uroki niemiłosiernie chłostać kazał, szczególnie, gdy krowy mleko traciły, poczem zawsze udoje wracały obfite.

Właśnie wiosennego poranku Odolaj z chłopcem i Hyżem obchodził wedle zwyczaju swój gród, a słońce przygrzewać poczynало, gdy, zatrzymawszy się na wałach, stary ucha nadstawił.

Wiatr wiał od dalekich borów, nic, prócz niego słyhać nie było, ale starego uszy dalej jakoś sięgały, bo ręką, wskazując chłopcu stronę, w którą się gościńiec daleko ciągnął przez pola, kręcąc między łączkami i rolami, zapytał:

— Ty, słysz! co tam widać?

— Nic, miłościwy panie — rzekł chłopak.

— Ślepyś i ty, czy co! patrz na gościńiec, trutniu, wyrab oczy!

Chłopak podniósł się na palcach, oczy szeroko otworzył i dojrzał kłabka kurzawy.

— Nie widać nic, miły panie, ino się pył zwija po gościńcu od wiatru, albo bydło lub owce pędzą.

— Głupiś — rzekł Odolaj — patrzno lepiej, zobaczysz więcej.

Hyż, jakby też mowę pańską rozumiał, stał zwrócony w tę stronę, uszy nastawił i nosem powietrze pociągał.

Nagle chłopię krzyknęło.

— Miłościwy panie, jezdni!

— Ilu ich?

Znowu milczał dzieciak, a stary, spuściwszy głowę, ucha nastawił.

— Ślepiec z ciebie — rzekł — pięciu ich być musi, trutniu jakiś, mówię pięciu! Licz!

W istocie, wdali już teraz rozeznąć było można jeźdźców, z których dwóch jechało przodem, a trzech za nimi, panowie i czeladź.

— Mów! — rzekł starzec.

Tym słowem zwykł był puszczać wodze oczom swoim i chłopak powinien był zacząć opowiadać, co widział. Chłopię poczęło.

— Przodem dwóch na koniach, w zbroiczkach i hełmach, od których się świeci, czysto poodziewani, za nimi troje czeladzi. Konie u wszystkich tęgie, kłusują szybko wprost na zamek.

Chłopak w rękę plasnął.

— A panie! — dodał — jeden z czeladzi na rękę sokoła trzyma.

— To nasi — mruknął stary. — Jastrzęby jechać muszą.

W istocie garstka ta zbliżała się ku staremu zamczysku i coraz ją lepiej rozeznąć było można. Na dwu jadących przodem błyszczały zbroje, na koniach też widać było świecideł dużo, wyglądali z pańska i czeladź odziana była dostatnio.

Gdy stary Odolaj przekonał się, iż na zamek zawracali, zszedł z wałów i pośpiesznie do izbicy powrócił, nie chcąc w podwórku gościom zabiegać drogi.

Izba, w której siadywał, mało się różniła od wieśniaczej, choć od zwykłej świetlicy była większą. Od dymu ściany jej drewniane całe się oblokły świecąca, brunatną powłoką. W górze, na belkach wisały zioła różne, odpędzające uroki, służące dla zdrowia, lub przyniesione dla woni. Bystrzejsze oko mogłoby było w ciemnych zakątkach za belkami dostrzec pochowanych bałwanków, niezgrabnych, drewnianych, których wyrzucić precz nie miano odwagi.



Wokół, przy ścianach, biegły wąskie i twarde ławy, a tuż przy drzwiach stało wiadro z wodą świeżą i czerpakiem. Półki grube ponad ławami czepione u góry, zastawione były całe naczyniem różnem, w większej części glinianem i drobnym sprzętem, tak, aby stary mógł, ręką sięgnawszy, dostać, czego mu było potrzeba.

W jednym rogu izby, gdzie ława nie sięgała, miał swój barłóg Hyż, u samych drzwi sypialni pańskiej. Pies spał po jednej ich stronie, a z drugiej chłopiec, którego we dworze nazywano „Okciem“.

Podłogi w izbie nie było, tylko tok, gdzie niegdzie matą słomianą okryty.

Gdy stary usiadł na ławie za stołem, weszła za nim córka jego, ubrana w sukno sine, z białym namitem na głowie, niewiasta krzepka jeszcze, ale raczej na służbę, niż na panią wyglądająca i pokorna bardzo...

— Goście słyszę jadą — odezwał się, posłyszawszy ją, idącą i po chodzie poznając stary. — U nas strawa codzienna jaka tam?

— Kluska, kasza, kawał mięsa dla was, dla gości, by co przyrzucić? — spytała Tyta.

— A oni co lepszego od nas! — zawołał stary. — Mogą jeść, co i my, albo i nie jeść.

— Ha, no! — stęknęła niewiasta — powiedzą, że nie mamy nic, dom obrzydzą...

— A! niech sobie gadają, co chcą! — rzekł stary nakazująco — dla ludzi ja wolę być ubogim, niż bogatym, dla krewnych jeszcze bardziej. Każdyby darł z cudzego...

Tyta, nic już nie mówiąc, starła stół, obejrzała się dokoła i wyszła powoli; z Odolajem nie można się było sprzeczać. Gdy rozkazał, sprzeciwienia się nie cierpiał.

Nastawił bacznie ucha Odolaj, twarz mu się stała posępną, widocznie gościom, a swoim niezbyt był rad, bo posądzał zawsze synów i wnuki, że od niego pożądać czegoś mogli.

— Przywieźć żaden nie przywiezie — mówił zawsze — a wziąć od starego radby każdy.

Od wrót, z koni zsiadłszy, przybywali właśnie dwaj młodzi Boleszczyce, wnuki Odolajowe, Dobrogost i Ziemia. Obaj postroili się w odwiedziny, jak bywało we zwyczaju na dworze i rozglądali się ciekawie po gnieździe starym. Tyta czekała na nich u drzwi, przed izbicą.

Pokłonili się jej, bo choć dobrze nie pamiętali, wiedzieli o niej i domyślali się, kto była, zapytali, czy wolno dziadowi do nóg się pokłonić, oznajmując, że byli Mszczuja synowie, któremu ojcem był Mieszko, syn Odolaja.

Popatrzywszy na pięknych chłopaków z ciekawością i radością, która się na jej licu malowała, stara Tyta dała im znak głową, aby szli za nią.

Odolaj już kroki ich usłyszał, zawczasu Hyża na barłóg wyprawił leżeć i nie ruszać się, sam czekał.

Weszli tedy na próg, chrześcijańskim obyczajem, chwając Chrystusa. Stary im odpowiedział, jak należało. Po chwili zapytał:

— Któż tam?

Tyta wzięła na siebie, aby ich wyreczyć w odpowiedzi.

— Dobrogost i Ziemia.

— A którzy?

— Synowie Mszczuja.

— Którego?

— Mieszkowego — rzekł Dobrogost.

— No, Bóg z wami! — odezwał się stary chmurno i na rękę się podparł.

Przystąpili więc do nóg mu się skłonić i pocałować go w kolana.

— Jedziemy za rozkazaniem pańskim mimo Jakuszowic — odezwał się Dobrogost. — Chcielibyśmy miłości waszej też przypomnieć się i pokłonić. Rzadko służba pozwoli wczasu.

Staremu na wspomnienie króla czoło się namarzczyło straszliwie, a brwi siwe aż nawisły, drgnął

i mruknął, jakby łajał, ale nie można było zrozumieć, co rzekł:

Młodzi przed nim stali.

— Was tam słyszę lik duży na dworze przy panu — rzekł. — Sześciu czy dziewięciu, czy więcej Jastrzębi. Was tam, jak niewolników zwą Boleszczycami. Cóżście się to mu z kośćmi i mięsem zaprzędali!

Spoglądając po sobie, milczeli przybyli. Ziemia, jako młodszy, nie myślał nawet odpowiadać.

— Jest nas na dworze pańskim — rzekł Dobrogost — naszego zawołania i rodu kilkunastu. A cośmy winni, że nas przezwano Boleszczycami! Nie jednych nas tak zwą: jest i Śreniawów dosyć i Družynów kilku. Ludzie zazdrośni zwą nas tak, bo wiernie panu służymy i miłość królewską mamy. Nie przetośmy niewolnikami.

Stary znowu coś mruknął, jakby sam do siebie, gniewnie sparł się na rękę, siedział i usta mu się ruszały.

Podniósł potem rękę zwolna, grożąc i począł:

— Ej, źle z wami młokosy, ej! źle! Do wojny królowi służyć, to powinność ziemiańska, ale koło mis i kubków nie nasza sprawa!

Mruczał sam do siebie niewyraźnie, a ze szmeru tego zwolna dobywały się wyrazy i głośniej już ciągnął dalej, jakby zapomniawszy, że ich miał przed sobą.

— He! co! Boleszczycami was zwą! Boleszczycami! Wiernie panu służycie, ha? nawet gdy waszym braciom łby ucina? he? Jak nie ma kochać i odziewać i karmić! A co będzie, jak tego pana nie stanie i do swoich przyjdzie powracać? he? co poczniecie, Boleszczyce?

Znowu mowa zmieniła się w szeptanie gniewne, do którego stary w samotności był nawykłym.

— Przystąpić tu! — zawołał do nich.

Zbliżył się starszy Dobrogost.

Stary podniósł do góry ręce obie i zwolna powiódł niemi naprzód po twarzy, potem po zbroi, po pasie, aż do nóg, naostatek dość silnie popchnął go precz od siebie.

— E! zgagił — zawołał. — A skądże to wam, ubogim, te drogie zbroje, te sadzone pasy i te suknie miękkie i łańcuchy? Ojciec w siermiędze chodzi, z domu wam nie dał nic, chyba kawał zardzewiałej blachy i mieczyk lichy, na wojnę małościę chodzili, — skądże te ubiory?

Dobrogost się namyślał trochę, lecz rzekł odważnie:

— Król pan nasz miłościwy darzy nas, od pana przyjąć ani grzech, ani wstyd.

Starzec się rozśmiał szydersko i splunął.

— Bo wy do rozpusty służycie, trutnie jakieś! — krzyknął. — Służycie mu, jak psy, to wam obroże sprawia.

Zmieszali się obaj młodzi Boleszczyce, a Odolaj siedział, mrużąc po swojemu, ręką w stół czasem uderzając. Za każdym razem Hyż głowę podnosił.

— Ej! wy! — rzekł nagle. — Śmierdźcie mi! zdala ode mnie stać!

Oba się tedy do progu musieli oddalić posłuszni, ale krew się w nich burzyła; patrzali na się, pytając oczyma, poco się im do Jakuszowic zachciało. Preczby byli szli i jechali zaraz nazad, ale, szanując głowę rodu, oddalić się nie mogli bez rozkazania.

Stary wyczekawszy, z mrużenia do siebie począł znów głośniej:

— Cóż tam ten miłościwy pan? co? króluje, panuje nad żonkami cudzemi! z rycerstwem się zadarł, ziemiany gardzi, biskupem pomiata, a z hołotą i czernią w wielkiej miłości żyje! Miłościwy pan... a komu miłościwy? nie nam!

Dobrogost zebrał się znów na odwagę, by króla swego bronić, choć dobrze wiedział, iż stary się zagniewa.

— Miłościwy panie, a ojciec — rzekł. — Ja tam nie znam wiele, ale z rycerstwem tem inaczej nie mogło być, gdy ono, posłuszeństwo mu wypowiedziawszy, zbiegło z Kijowa, samego pana niemal zostawiając. Ziemianie też mu nie życzliwsi, jak byli Mieszkowi i Kaźmierzowi, którego wygnali. Król na nich za dzia-  
da się mści i za ojca. Biskup z nimi trzyma. Ludu ubo-

giego król miłościwy broni, bo bez niego by panować komu nie miał, a głódby nastał na tę ziemię.

— A milczże ty, gołowasio jakiś! — krzyknął stary Odolaj, kijem bijąc o ziemię — a milczże! Ty mnie tu będziesz uczył rozumu! Dobry pan, a żonę Mścisławowi jak wziął? Mało mu swojej?

Oba, stojąc u drzwi, zamilkli.

— Nie nam go sądzić! — rzekł Dobrogost.

— Ale ja stary sądzić go mam prawo! — zawołał Odolaj. — Ja i Mieszka pierwszego i Bolka Wielkiego, co, jak słońce jasny był, i wszystkich ich pomnę. Żadnego takiego nie było, jak ten. Jeszcze mu z dziewcząt i żon naszych daninę przyjdzie słać, jak smokowi pod Wawelem? a wy mu do tego służycie sromotnicy!!

Warczał starzec tak długo, młodzi stali, słuchając i nie wiedząc, co z sobą poczynać mieli. Tyta się dawno wysunęła, widząc, na co się zanosi. Widać ją było, jak poza drzwiami przysłuchując się, niespokojnie chodziła. Odolaj łajał i srożył się. Nagle zamilkł, ucha nastawił, jakgdyby odpowiedzi czekał, ale już nawet Dobrogost nie śmiał się odzywać.

— Dobrze, żeście do Jakuszowle zajechali — rzekł wkońcu. — Dawnom ja, za którym z was słać chciał... Wróciwszy na dwór, powiedzcie wszystkim Jastrzębiom, ile ich tam jest, że ja ich za ród mój i krew moją znać nie chcę, póki w tym zakale zostaną. Na wojnę idźcie, — niech was i pozabijają, — jest dzieci dość, narodzi się ich jeszcze więcej, ród nie przepadnie, a po barłogach dworskich się wylegać, wara!

Potrząsł swoją siermięgą.

— Jak ja grube sukno nosić, bławatów nie tykać, gruby chleb żreć, to wasza powinność i służba. Postroili was na pośmiewisko, jak królewską kobyłę, która słyszę też w złotogłowie chodzi. Zrobili z was czeładź, nie drużynę. E! Śmierdźcie mi, śmierdźcie, Boleszcyce!

Młodzi oba, usta zawarłszy, stali.

— Mówię wam, do domu wszyscy! na cztery wiatry... ażeby was tam nie było! Nie, to ja was nie znam.

Śmierdźcie mi Boleszczyce, — Boleszczyce nie moja krew. Com rzekł, to musi być, a nie posłuchacie, toście jego — nie moi, prawi Boleszczyce — a nie Jastrzębie. — Sukmany włożyć, zbroję prostą, i na rubieżę, gdzie się tłuką, nie na zamku, gdzie z cudzemi żonkami skaczą...

Gniewał się stary, lecz gdy odpowiedzi nie było, powoli uspokajać się zaczął. Mruczenie zeszło na szept, zmarszczki zwolna się rozciągnęły; posiedział milcząco, westchnął i już głosem innym zapytał:

— Poco i dokąd was posłano?

Naturę miał taką, iż gdy mu nie odpowiadano i nie przeciwiono się, a dano wysierdzić, stawał się coraz łaskawszym i niekiedy nawet za gniew słodkiem słowem płacił.

Dobrogost i Ziemia, którym zcicha Tyta szepnęła o tem, stali teraz pokorni i niemi. Na ostatnie pytanie starszy odpowiedział, że daniny zaległe kazano im tu i owdzie nakazywać, bo ich wiele do skarbu nie poodwożono, a król obficie rzucając złotem, dużo też go potrzebował. Posługa ta nic w sobie nie miała upokarzającego. Stary też nie rzekł już nic, pomruczał coś sam do siebie i spytał:

— Głodniście może?

Dali na to odpowiedź potakującą.

— A juści was Tyta stąd nie puści nienakarmionych — rzekł łagodniej, i chłopca posłał, aby konie napasiono.

Tyta natychmiast strawę podawać kazała, prostą, taką, jaką dla wszystkich zgotowaną mieli. Przyniosły ją dziewczki na misach glinianych, z łyżkami drewnianemi i na stole postawiły.

Kazano chłopcom siadać i jeść, co też dopełnili z ochotą, radzi, że się łajania i gniewy skończyły. Stary o ten sam stół oparty, głosem już znacznie zmienionym, spokojniejszym, rozpoczął wypytywać o dwór i króla.

Dobrogost, który, jak wszyscy Boleszczyce, przywiązany doń był, źle mówić o nim nie mógł.

— Pan dla nas dobry, — odezwał się — o lepszego



trudno; dla swej drużyny nic nie żałuje, ale nieposłuszeństwa w nikim nie ścierpi, buty nie zniesie od nikogo, choćby jak on, królem był.

— Takim ci on był od początku — zawołał Odolaj. — Pamiętają, jak owemu kniaziowi, co go prosił, żeby naprzeciw niego wyjechał, za każdy krok koński płacić sobie kazał, a potem za brodę go wzięwszy, jak na urągowisko w twarz całował.

Młodzi, choć o tej przygodzie nieraz słyszeli, śmiać się zaczęli.

— Nielepiej się i z Węgrzynem obchodził — mówił Odolaj, — bo go na tronie posadziwszy, jak we własnym domu chciał się rządzić w jego królestwie.

— To nic, to nic — dodał stary. — A no mu od duchownych wara! Królowie zniosą, — oni nie!

Milczeli młodzi.

— Już się z biskupem zadziera! — mówił dalej Odolaj — z biskupem! Biskup Stanko tu u nas w Krakowskim ojczycem jest, pójdą za nim wszyscy. Człowiek to od króla pewnie mądrzejszy, umarłych z grobu wywodzi! Niechno patrzy, aby mu słowem śmierci nie zadał. Biskup to taki, co gdyby czarnej sukni nie nosił, do pancerza-by się zdał. Nie złęknie się go i nie ustąpi kroku.

Mówiąc to, starzec coraz się uspokajał, łagodniał i już nawet uśmiechać się poczynił: sierszistość mu przeszła, jeść zapragnął, chleb łamał i chciwie go pożerał, w soli maczając.

Potem miodu kubek podać sobie kazał i popijał go powoli.

Młodzi zjadłszy i pokłoniwszy się, chcieli, korzystając z dobrej chwili, do odjazdu się zbierać, gdy Tyta wbiegła do izby i dała znać Odolajowi, że kilku jakichś ziemian na zamek jechało. Ktoby był, powiedzieć nie umiała.

— Ty, młodszy, jak cię zowią! Ziemia? — zawołał stary. — Ty, służko królewski, posłuszno dziadowi, a żywo. Idź mi zobacz, co za jedni i daj wiedzieć wprzód, nim zsiądą.

Oczy masz, ludzi znać musisz, choć ci, co do mnie jeżdżą, na dworze bywać nie zwykli.

Natychmiast Ziemia, słuchając rozkazu, poskoczył ku drzwiom i zniknął. Ruchem jego zaniepokojony stary Hyż, rzucił się na barłogu, jakby chciał za nim pogonić. Stary, usłyszawszy poruszenie jego, odgadł co pies myślał, znając jego naturę, krzyknął nań i leżeć mu przykazał. Psisko z niechęcią na pościel wróciło, zakreśliło się na niej razy parę i legło, skarżąc się i stękając.

Po chwili, skoro się uwinąwszy, Ziemia wrócił, oznajmując Leliwę, Kruka i Brzechwę.

Usłyszawszy o nich, stary się pogładził po głowie i czekał. Tuż za nim i oznajmieni na próg weszli, lecz, zobaczywszy dwu Boleszczyców, których i z twarzy i po stroju poznali zaraz jako królewską drużynę, nachmurzyli się, popatrzeni na się i przystąpili z witaniami chłodno jakoś a milcząco.

Stary Jastrząb wiedział dobrze, iż do niego nikt w gościnę nie przybywał nadaremnie, dla zabawy. Przyjeżdżali tylko ci, co mieli obowiązek albo potrzebę.

Wysłuchawszy pozdrowienia, posłał po miód, gości posadził, czekając, co mu też powiedzą.

Ci, spoglądając zukosa na Dobrogosta i Ziemię, milczeli długo, prawili rzeczy obojętne, jako na łąkach trawa rosła i zboże się podnosiło, gdzie zwierza było więcej, a skąd go wypłoszyli wilki.

Stary czekał; zgadł czy nie, co im usta zamykało, dość, że po chwili Dobrogostowi rzekł, aby z bratem szedł opatrzyć stadninę i tegoroczną młodzież.

Radzi wielce, wysunęli się dwaj Boleszczyce.

Nasłuchiwał Odolaj za krokami odchodzących, aż gdy posłyszał, że odeszli za węgiel izbicy, odezwał się:

— A co was, miłościwi moi, sprowadza? Jać to wiem dobrze, że do mnie ani moje kluski proste, ani miód twardy gościa nie ściągają. Chcecie pewno czego ode mnie, a przy tych gołowasach mówić nieraźnie było, bo to królewskie służki.

— A no, tak, — rzekł Leliwa — przy młodych o to zagadnąć nie można było. Wy jesteście głową rodu, waszych tam Jastrzębi przy królu mnogo, wszyscy ci Boleszczyce u boku mu stoją, podpierają go, służą... Przez nich on silny. Przyszedł ten czas, że go wszystkim odstąpić będzie trzeba, niechajże i wasi idą precz, niech go porzuca... Macie prawo im rzec, żeby tam ich noga nie powstała. Nie trzeba wam mówić, co się dzieje; król wojuje z biskupem i kościołem, kto z nim będzie trzymał, ten ani na próg do kościoła, ani do kapłana przystępu mieć nie będzie. Czas, żeby wasze wnuki pamiętały, skąd wyszły i odstąpiły go wraz z nami...

Odolaj brodę gładził.

— Jeżeli po to jechaliście, to nie było z czem jechać — rzekł spokojnie. — Ja właśnie im głowy zmyłem i dałem rozkazanie, aby mi wszyscy natychmiast precz ze dworu szli...

— Sprawiedliwie! — pochwalił Leliwa. — Król się nam sprzeniewierzył, ani obyczaju już znać nie chce, ani miary w niczem. Dziewki i żony ziemianom porywa, a mężów i ojców do ciemnicy sadzi. Biskupom grozi, rycerstwo swe katuje, czerń mu tylko miła... Niech mu ci służą, których kocha, a my jako jeden idźmy precz!

— Idźmy! idźmy! — powtórzyli za nim drudzy.

Kruk dodał:

— Kiedy o nas nie myślą, trzeba nam myśleć o sobie.

A Brzechwa rzekł:

— Łatwiej nam będzie o pana, niż jemu o królestwo. Szanowała go Ruś i Węgry, bośmy my za nim stali; nie stanie nas, zobaczy, czy mu kto da w pomoc, by jednego człeka. Niech próbuje.

Odolaj milczał, wąsami potrząsając, gładząc głowę.

— Tylkom co jak psów łajał wnuki, że z nim trzymają. Kazałem im ze dworu precz iść. Teraz wam, miłościwi moi, pora prawdę rzec. O pana też niełacno! Z orężem rznąć, palić i lud nam wyprowadzać przyjdą. I Czechy i Rusiny i Ugry i Niemcy, jak zobaczą, że

gospodarza niema, a ziemie stoją otworem; szarpać po kawałku będą radzi! Czemu nie! O króla nowego, coby z nami wyrósł i do nas przyrósł, niełatwo! he! he! Choćby on jaki był, swój jest!

Leliwa, Brzechwa i Kruk, głowami potrząsając, milczeli; jakoś im to w smak nie szło, a nie wiedzieli, czem zbijać starego, bo to, co mówił, prawdą było. Pamiętali wszyscy wygnanie Kaźmierzowe, Masławowskie czasy i co naówczas wszystkie ucierpiały ziemie, a wiara chrześcijańska.

— Co mnie staremu grzybowi do was i do spraw waszych, — blisko mi setki! Nie widać, ino jak sowa przyleci, na dachu siądzie i zawoła: Do mogiły! do mogiły! Tymczasem moje Jakuszowice nie z brzegu, zamek się i w burzę ostoi. Mnie zawierucha nie straszna, a no innym!! Ważcie dobrze, w palce trącajcie, co lepiej.

— I to prawda — mówił Leliwa. — Uchowaj nas, Boże, od tego, byśmy bez pana pozostali! A tak, jak jest, też nie może być. Dopóki duchowieństwa nie tknął, choć nam głowę z karku zdejmował, co poczynąć było! Cierpieliśmy, milczeli. Nie dosyć mu nas, z Panem Bogiem i sługami jego wojny mu się zachciało. Biskupi mu są równi, tak namaszczeni, jak on, a Rzym nad nim, — przeciw nich się nie ostoi.

Odolaj nic nie odpowiedział; po długiej chwili oczekiwania dopiero począł, sparłszy się na dłoni, jakby sam do siebie:

— Krew ci to nasza! bujna! Wojak jest! Jak nie wojuje za domem, doma mu wojny trzeba. Gdyby się z kim miał tłuc, zarazby to wszystko ustało. Cała bieda wojny niema! Znajdźcie mu swar jaki, zadrzyjcie się na granicy, nie, to wam baby pozabiera, a biskupom czapki z głowy pozdiera. Taka krew! taka krew! I zaraz mu swawola w głowie, a no i Bolko stary na kobiety był łasy... Ten od mężów, a tamten i z klasztorów Panu Bogu odbierał! Taka krew...

— Co bo mówicie! bronicie go! — począł zgorszony Brzechwa. — Wy stary, a czy to się godzi? Patrz-

cie, co się dzieje. Mściśławowi nie dosyć, że żonkę porwał, jeszcze go do ciemnicy posadził, że się na zamku śmiał pokazać. Mówią, że go stracić mają.

— Do takich spraw — dodał Leliwa — Jastrzębiom służyć się nie godzi. Każcie im iść precz. Kto wie? Gdyby oni i drudzy, a wszyscy go rzucili, służbę mu wypowiadając, opamiętać się może.

— Albo chłopów zwoławszy, łby im poucina — rzekł stary Odolaj. — Zawsze to lepiej, niż opaskudzone nosić na karku... A! no!

Przyniesiono miód ów, o którym zapowiedź była, że twardy miał być, w istocie chmielem był mocno zaprawnym, gęsty i czarny, jak smoła; pili go jednak wszyscy, rozprawiali znowu, a stary przypomniawszy wnuki, które do stada wyprowadził, chłopcu ich do siebie pozwać kazał.

Stali już oni, czekając na to pode drzwiami i stawili się natychmiast.

Wobec Leliwy, Kruka i Brzechwy, innym już głosem, starzec im rzekł poważnie a surowo:

— Czas wam w drogę, jedźcie z Bogiem... Mówię, czego po was żądam. Precz ze dworu ustąpić macie, albo mi się w Jakuszowicach ani pokazać więcej, ani nawet na pogrzeb mój. A teraz w drogę.

Dobrogost i Ziemia przyszli do kolan i do ręki; stary ich pobłogosławił i powtórzył:

— Wszystkim Jastrzębiom to zanieście, taka wola moja!

Wyszedszy z izbicy, młodzi Boleszczyce do Tyty jeszcze się szli żegnać, która ich w milczeniu uścisnęła. Cały dwór żeński, mężczyzn też, parobków i czeladzi dużo wybiegli popatrzeć na tych wnuków starego pana, tak pięknych, młodych, ślicznie strojnych i zbrojnych. Z czeladzi, zamkniętej na smutnem zamczysku, nie-jedenby był chętnie się do nich przyłączył, bo na ich pacholkach widać było dostatek i swobodę, jakiej zażywali. Odprowadzano ich tłumnie do bramy, patrzono za nimi długo a tęsknie, gdy się oddalili.

Milcząc, jechali czas jakiś, spoglądając na się,

a głowami potrzęsając. Dopiero, gdy w las wjechali, rzekł Dobrogost:

— Cóż pocniemy? Żle się z panem naszym dzieje! Wszyscy już przeciwko niemu. Choćbyśmy ja i ty starego posłuchali, czyby nam dali wiarę: Borzywój, Zbiłut, Odolaj, Andrek, albo i drudzy? Zechce się to im iść ode dworu? Dokąd? Na ojcowiznie niema co robić, nas dużo, co my pocniemy?

Ziemia na to rzekł:

— Albo ja wiem! Co stary mówił, to im odnieść musimy, a radzić będą wszyscy, i co wszyscy zrobią. to i my...

— Pan dobry! — dokończył Ziemia.

— Dobry on dla nas, — westchnąwszy, rzekł Dobrogost — a no, dla siebie zły... Mało i tak wrogów miał, żeby ich jeszcze robić sobie? Teraz kto popędliwego pana z biskupem pogodzi? Zawre wojna w domu... zawre. Bieda jemu, bieda nam, bieda!

Posmutnieli Boleszczyce.

— E! — mówił dalej pierwszy — zażyliśmy dobrego czasu z nim, musimy i złe przetrwać. Jak tu rzucić i jemu się sprzeniewierzyć, gdy wszyscy odstępują! I pies przecie rannego na polu bitwy nie odstąpi...

Ziemia potwierdził skinieniem.

— Żle jest bardzo z nami — rzekł cicho — gorzej, niż wy myślicie. Mam na zamku starego księdza, który łaskaw jest na mnie, straszne rzeczy mówi.

— Co? — zapytał, przysuwając się Dobrogost.

Ziemia zadrżał, oczy spuścił, jakby się obawiał nawet wyjawić, co usłyszał.

— Król niedawno, rozgniewawszy się, biskupowi z zamku precz iść kazał. Z ks. Stankiem nie dobra sprawa! odgraża się nań slysze, że go w kościele kłąć będzie i na próg domu Bożego nie wpuści. Staruszek ksiądz, gdy mówi o tem, łzami się zalewa. Ściszał mnie, zaklinając, abym i ja i moi precz od króla szli, bo z nim dusze pogubimy. Gdy go wyklną, ktokolwiek z nim trzymać będzie, wyklęty zostanie, na próg go



do kościoła nie puszczą, wolno zabić, kto zechce... Za to kary niema.

Dobrogost wstrząsł się cały.

— To nie może być, aby się ważył na króla!

— Biskup? — odparł Ziemia. — Ależ on nad sobą nikogo nie ma tylko papieża w Rzymie i nie lęka się nikogo.

— Nie może być! — wołał Dobrogost.

— Gdy króla wyklną, innego na tronie posadzą — mówił Ziemia. — Pewnie go już biskup i ziemianie upatrzyli.

— Nie! nie! — gwałtownie dodał starszy. — Nie może być! Ktoś! onby śmiał porwać się na niego! Nie znają króla.

— Ale wyklętego wszyscy opuścić muszą — rzekł Ziemia — tak mi mówił ksiądz... Cóż poradzi sam?

Zadumał się Dobrogost, a młodszy ciągnął dalej:

— Gdy go wyklną, na głowie wyklętej już korony nosić nie będzie mógł, słuchać go nie zechce nikt. Wezmą Światawy syna lub męża, bo się słyszę już i na to zmagają.

Dobrogostowi brwi się ściągnęły.

— I toś już słyszał? Dobre dzieją się rzeczy, a no nasz pan nie śpi! Ale trzeba, aby o tem wiedział.

Ułakł się Ziemia i przyskoczył do brata.

— Czyń sobie, jak chcesz, ale mnie w to nie ciągnij! Ja na nikogo świadczyć nie chcę!

Ruszył na to Dobrogost ramionami.

— Prawdę rzec — dodał — nie nasza to sprawa, ja też palców między drzwi kłaść nie myślę; ale z sobą trzeba się naradzić, co poczynać, bo już nie igraszki to są. O króla idzie i o naszą skórę. Z ziemiany i rycerstwem jeszczeby się pan połagodził, — ale z biskupem trudno. Człek to jest żelazny. Wiecie, jak do Brzeźnicy raz jechał, aby tam kościół święcił, a w progu domu u Janka z Brzeźnicy co Panu Bogu wystawił kościół, znalazłszy go nie wedle prawa żyjącego z niewiastą, z którą ślubu nie brał przed księdzem, pod jego dachem nawet nocować nie chciał. W słotę, na łące,

bez namiotu całą noc spędził, aż nazajutrz Janko go musiał, w nogi całując, przepraszać, prosić o ślub i pokutę; dopiero się dał przebłagać i kościół mu poświęcił. Wszyscy oni ze Szczepanowa i ojciec jego, Wielisław, i dziad, — byli twardzi, jak on. Król też kamienny jest! Gdy się z sobą zetną, Bóg jeden wie, co będzie. A stanie kto między nimi, — najpewniej go zgniotą.

Rozmawiali tak całą drogę, aż do noclegu, oba zasmutceni i chmurni: ciążyło im dziadowskie przykazanie i groźby, a miłość dla króla łatwo się go wyrzec nie pozwalała. Ze starym Odolajem nie było żartu, króla też obraziwszy, nie można się było spodziewać przebaczenia. Sami nie wiedzieli, jak rządzić i co czynić, lecz na to był brat starszy i drudzy Boleszczyce, by coś postanowili. Nazajutrz, trapiąc się myślami całą drogę, do Krakowa się zbliżyli.

Gdy się Wisła i Wawel ukazał zdala, westchnął Dobrogost, wspominając na dobre i wesołe dni, jakie tu przeżyli i na to, co się gotowało dla grodu tego i ziemi. Wjechali na zamek smutni, a czeladzi konie zdawszy, Dobrogost, który długo nic w sobie trzymać nie lubił, pośpieszył do izb, które zajmowała drużyna, chcąc zaraz swoich zwołać i niezwłocznie radzić nad tem, co wieźli z sobą.

Zobaczywszy ich zpowrotem, bracia i bratanki, wszystek ród, którego przy królu było wiele, gdyż jeden cześnikiem, drugi przy komorze, trzeci przy skarbcu był postawiony, a w drużynie też znajdowało się niemało, poczęli się gromadzić do przybyłych, chcąc się dowiedzieć, czy gdzie u swoich nie byli i co z sobą nieśli. Było bowiem zwyczajem Jastrzębi, że na swobodę się wyrwawszy, zawsze do gniazd swych, do Jakuszowic, Zborowa i innych dworów zaglądali.

Otaczać ich wszyscy poczęli kołem i pytaniami zarzucać wesoło, ale spostrzegli wnet po Dobrogosta twarzy, iż z niedobłą jakąś wieścią powracał. Do nadchodzącego Zbiluta zawołał niecierpliwie:

— W Jakuszowicach byliśmy, u starego Odolaja,

mamy od niego nakaz i polecenie, niechaj się wszyscy nasizejdą.

Na ten głos natychmiast gromadzić się zaczęli wszyscy, aby dziadowskie usłyszeć słowo. Tymczasem napierano daremnie Ziemię i jego ludzi, — aby mówili; młodszy to na starszego zdawał, a Dobrogost póty się odzywać nie chciał, ażby wszyscy swoi nie ściągnęli.

— A cóż się ze starym dzieje? — poczęli żartować niektórzy. — Czy się jeszcze raz nie ożenił? — Zawszeli z Hyżem chodzi i Okiem, a łaje i bezczęści?

— Toć was musiał obficie obdarzyć! — zaśmiał się inny, — bo to wiadoma rzecz, iż szczodry jest wielce, gdy w skórę bić każe...

Na te żarciki młodzieży Dobrogost głosem silnym odpowiedział:

— Stulcieno gęby, nie nam na głowę domu wygadywać! Zobaczycie, jak postarzejecie, czy będziecie go warci! Milczelibyście lepiej.

Zmiarkowała młodzież, że niewczas przedrwiwać się wzięła i zamilkła wszyscy.

Gdy już izba tak pełną była, że prawie nikogo z Jastrzębi nie brakło, a na najmłodszych, co się gdzieś w kąty pozaszywali, czekać nie myślano, odezwał się Dobrogost, odwracając się do Ziemi, którego przy sobie postawił:

— Poświadczy on, co ze mną razem był i słuchał, jako prawdę mówię. Stary Odolaj nałajał nas za to, że przy królu stoimy i nakazał, aby wszystek ród jego precz szedł ze dworu, albo nie — to nas za swoich znać nie chce! Nie posłuchają — rzekł — to i na pogrzebie moim żeby ich noga postać nie śmiała!

Naprzód milczenie długie, a potem krzyk powstał i wrzawa; pierwszy Borzywój przypadł doń bliżej.

— Cóż to jest? — krzyknął. — Co się staremu stało? Jakże to może być?

— Ze starości mu się w głowie pomieszało — dodał drugi.

— Przez cóż i dlaczego precz iść mamy? — pytał trzeci.

— Toć to pono odgadnąć nietrudno — rzekł Dobrogost. — Widzicie, co się dzieje; króla wszyscy odstepują, ziemian sobie naraził. Biskupa wypchnął precz i pogroził mu, — wszyscy na niego. Chcieliby, abyśmy i my opuścili pana. Łają nas, że my mu do swawoli pomagamy.

— Myśmy nie kapelani, nie spowiednicy, abyśmy mu nauki dawali — ozwał się jeden z gromady. — Drużyna pańska — za naszą głową idziemy, to nasza powinność!

— Mybyśmy go mieli teraz rzucić? — przerwał inny. — Dobrego czasu zażywszy z nim, gdy zły nadszedł, uciekać!

— Pewnie! — zawołał gwałtownie Borzywój. — Kiedy nas w złotogłowy odziewał i sypał nam złotem, kiedy nam z nim dobrze było, umieliśmy służyć, a w złej doli do nory! A cobyśmy naówczas byli warci? Stary z Jakuszowic oczy stracił, świata nie widzi, co mu ludzie prawią — wierzy, i chce, abyśmy go słuchali!

Zamilkli wszyscy, szmer tylko słychać było w gromadce.

Odolaj, w kącie stojący, spojrzał na Borzywoja złośliwie i szepnął półgłosem do ucha sąsiadowi:

— E! e! Borzywojowi bodaj od Krysty ciężejby było precz iść, niż od króla.

Rozśmiali się niektórzy, Borzywój zdala mu tylko pięść pokazał.

— Będiesz ty mi przekąsywał gołowąsie!

— Prawcieno nie na śmiech, a co należy — przerwał Dobrogost. — Przyniosłem wam wiernie przykazanie dziadowskie. Nie posłuchamy go? wiecie, jaki człowiek z niego i co nas czeka... A cośmy wówczas warci, gdy nas od pnia, jak suche gałęzie, odetną? chyba jako susz do pieca.

— Ja mówię tak — z kąta siedzący na ławie daleko ozwał się Bohdaszko Kaniowa — ja mówię tak.

Gdym żonie przysiągł, dochowam wiary, przysięgłem panu — wiary nie złamię; gdybym wróblowi na strze-sze słowo dał, to je strzymam i koniec.

Drudzy szmerem to potwierdzali, część milczała. Zafrasowanie widać było na wszystkich twarzach.

— Kto chce, czyja wola, niech idzie od króla za parobka do Jakuszowic — rzekł Borzywój. — Ja nie pójdę! Dziada szanuję, ale gdybym dziś do niego wró-cił i garści słomy mi nie da, a trzeciego dnia i od miski odpędzi; jam tu ojca znalazł i z nim trwam. Były do-bre dni, żyło się z nim; nastaną złe, i te przeżyć trzeba; kto śmietanę zbierał, niech i kwaśne mleko wypije.

— A jak się nas wyprą swoi? — spytał Zbilut poci-chu, spoglądając ku niemu.

Nikt nie odpowiedział; wtem Bohdaszko z ławy po-czął znowu:

— Kłaniali się i prosili, aby nas do drużyny przy-jęto; król, łaskaw, przygarnął. Teraz inny wiatr za-wiał — każą iść precz. Kto w państwie gospodarz! — ja nie wiem, mnie się zdaje, że król, i jego słuchać trzeba.

Nie chcąc wszystkiego głośno wypowiedzieć, Do-brogost wziął Borzywoja do kąta i dopiero mu na ucho szepnął, co od księdza doszło, że na króla klątwę rzu-cać miano, kogo innego na tron pozywać i t. d.

Starszy choć się namarszczył, słuchając, niewiele to sobie znać ważył, bo wciąż głową, — niedowierza-jąc, potrząsał. Dał Dobrogostowi wypowiedzieć wszystko, ale go to nie tknęło.

— Albośmy mu druhami i drużyną — rzekł — albo najemniki. Gdy pan tonie, najmit siebie ratuje nie je-go, — druh rzuca się w wodę za nim, choćby sam miał utonąć. Najemnikami chcecie być? — ja nie! Moja rada, wszystko mu wyznać, nic nie taić, co on każe — uczynić. Im większa groza nań, tem na nas sromota cięższa, gdy go opuścimy ze strachu. Toć jak w bitwie! Zajęczych skórek byśmy warci byli, gdybyśmy uszli.

— Tyś tu starszy — ozwali się inni do Borzywo-

ja — ty nad nami stoisz; co rzekniesz, uczynimy. — Rozkazuj, spełnim...

— W miejscu stać! — to rozkazanie moje — rzekł Borzywój. — Pouciekali od niego z Kijowa, jedni ze strachu parobków i czeladzi, drudzy ze strachu biskupa preczby iść mieli — a no srom na nas wszystkichby padł. Nie — nie — ani ja, ani wy tego nie zrobicie!! Niech stary Odolaj burczy na nas, dobrze mu zdala rozkazywać — posłuchać nie możemy. Niechby nas byli na dwór nie oddawali.

Na tem się skończyło. Zaczęto się w kupki zbierać, gwarząc już o czem innem, szczególnie o Jakuszowice i o dziada dopytując, bo choć z niego żartowali, każdego z nich do starego gniazda coś ciągnęło.

Żyćby może z nich żaden tam nie potrafił, ale zajęć chciało się każdemu.

## VI.

Chociaż wszystko dokoła srożyło się nań i wrzało niechęcią ku niemu, król wcale się nie zdawał widzieć tego, ani zważać na to. Życia na włos nie zmieniał, obyczaju się swego powszedniego nie wyrzekł i na prawdę, czy dla oczów ludzkich, wesół się zdawał, jakby sobie lekcewazył wszystko.

Czasem mu się usta zacięły i czoło namarszczyło, gdy sam jeden pozostał; ale sam nie chciał być prawie nigdy, dwornie swą liczną i młodzież gromadząc około siebie. Tym kazał to się bić, to biegać, to konie ujeżdżać, to łuków próbować, i nagrody rozdawał. Gości obcych na zamku teraz do stołów Bolesławowskich mało się zjawiało, chyba ziemianie z odleglejszych krajów, do których jeszcze o sprawach króla słuchy nie doszły.

Miejsca gości wypełniali ludzie wojenni, a z Rusi też i Węgier dosyć napływało różnego zgiełku, takich zwłaszcza, co znając szczodroblivość królewską, więcej do skarbcza, niż do niego ciągnęli.



Najwięcej takich bywało, co mu dary niby osobliwe przynosili, konie niebywalej szerści, zwierzęta różne, oręż misterny, za który Bolesław w dziesięcioro zawsze obdarzał, choć mu się to na nic nie zdało. Dla tych przybyszów rano już zastawiano jedne stoły, a wieczorem drugie, które podczas i do późnej nocy przeciągały się, bo król szczególnie owe nocne ucztowania lubił i przy nich najlepszej był myśli.

Dnia tego, gdy Dobrogost z Ziemią wrócili, Borzywój przed wieczorem wszedł do izby królewskiej. Zastał pana ze psy swemi się zabawiającego, jakby mu wcale nic nie ciążyło na myśli.

Że pora była niezwykła, popatrzał nań król i z twarzy coś wyczytawszy, odezwał się:

— Czego ci tam brak? mów, pewnie o co prosić przyszedłeś?

— Miłościwy panie — do nóg mu się skłaniając, odparł Boleszczyc — z łaski waszej mamy dosyć wszystkiego — nie potrzeba mi nic.

— A cóż cię tu przysnęło?

— Może jakie rozkazanie mi dacie? — ozwał się Borzywój.

— Żadnego — rzekł król. — Bracia twoi powrócili?

— Wrócili, miłościwy panie.

— Co z sobą przywieźli?

Borzywój się zawahał.

— Kędyż bywali? pewnie i o jaki dwór zaczępili? co mówią?

— Albo to tam słuchać, co prawią ludzie — rzekł Boleszczyc. — Zajeżdżali do starego dziada naszego — to zgryźliwy człek!

Rzucił król okiem bystrem.

— Praw! — rzekł krótko — nie trzymaj, co masz za pazuchą.

— Nic innego tam nie mówią nad to, co po Krakowie chodzi, miłościwy panie. Ludzie stękają, burczą, nigdy temu co jest, nieradzi. Ziemianie skarżą się, że łaski u was nie mają; a co ksiądz biskup tu szeptem pocichu, tam się głośno rozlega.

— Wszystko ja to wiem — odezwał się król — i więcej może, niż wy. Pewnie już tam biskupia klątwa i odgródki poszły między ludzi, — i że Czecha na mnie chcą sprowadzić!!

— Oni już tę wojnę wkrótce zapowiadają — szepnął Borzywój. — Biskup się z klątwą nosi. A! miłościwy panie — dodał, do nóg się skłaniając — z biskupem jednym gdybyście zgodę chcieli uczynić, — reszta nam nie będzie straszna!

Król go z niechęcią odtrącił.

— Co ty rozumiesz, młokosie! — zawołał. — Patrzże na mnie, czy ja się go lękam! Biskup ten poddanym mi jest, jak inni ludzie tej ziemi. Ojciec jego, Wielisław, ziemianin był tuteczny, ojczycem jest, jak wy, a nie Włochem i Francuzem. Choć i Włochy biskupi, gdy na mej ziemi siedzą, słuchać mnie muszą. Wiem, że z pod mej władzy wybićby się chcieli i nade mną panować!! Ale nie! nie dam im tego!

— Koło biskupa i ziemian też dosyć — rzekł Borzywój nieśmiało...

Król rozśmiał się, ramionami rzuciwszy.

— Więcej mam ludu, co jest ze mną, niż tych rógów, co przeciw mnie... Żołnierzy i was stanie mi na ich poskromienie.

— Z rycerstwa dużo odpadło — odezwał się Borzywój.

— Znajdą się drudzy na ich miejsce — zawołał król dumnie.

Borzywój zamilkł, a Bolesław, którego oczy czasu rozmowy rozgorzały, popatrzał nań i śmiejąc się, po ramieniu go poklepał.

— Idź i bądź spokojny — króla twojego niełatwo kto zmoże. Niech komary brzęczą, — opędzimy się im, byleśmy chcieli.

Bolesław odwrócił się, na psy swe zaświstał i zabawiając się niemi, zdał zapominać o rozmowie.

Lecz dzień to był, w którym spoczynku mu nie dawano. Zaledwie Borzywój odszedł, gdy Rusin, stary podkomorzy królowej, wszedł z pokłonem, opowiada-

jąc, że królowa matka i królowa pani jego czołem biły panu, a prosiły go, aby im miłościwie dał widzieć swe oblicze.

Dosyć posepnie wysłuchawszy wezwania tego, król ręką tylko staremu dał znak, żeby szedł, nie dając nawet odpowiedzi. Odwrócił się od niego i z psami zabawiał znowu, aż nierychło przypomniawszy poselstwo matki i żony, z niechęcią jakąś, ociągając się ku tere-  
mom, które obie królowe zajmowały, pociągnął opieszal-  
nym krokiem.

W drugim oddzielnem podwórku stara Dobrogniewa obok żony króla, wiodła życie odosobnione i ciche. W tej części zamku na pierwszy rzut oka poznać było można różnice dwu dworów i otoczenia, gdyż sami niemal Rusini i Rusinki — służbę obu pań składali.

Obydwie królowe, z których jedna była wdową, niemal wdowie prowadziły życie. Rzadko się mogąc synem pocieszyć, bo ten się w teremach niewieścich mało ukazywał, Dobrogniewa wnukiem się cieszyła i synową, z którą Ruś swą mogła wspominać.

Królowa, żona Bolesława, ani młodą już bardzo nie była, ani piękną. Wzrostu wyniosłego, jasnych włosów, oczy zdawała się mieć, jakby wypłakane, twarz, jakby zatęsknioną. Smutek wielki wiał z całego jej oblicza. Chodziła zawsze prawie ubrana jednakowo, milcząca, w szacie jedwabiem pokrytej, z głową zawiązaną rąbkami białemi, — jakby nieprzytomna, duchem goszcząc gdzie indziej.

Całą pociechą, całym jej życiem był synek jedyny, którego od boku swojego nie opuszczała na chwilę — albo ona, albo stara Dobrogniewa były z nim ciągle otaczając go troskliwością nieustanną. Dziecię cho-  
wało się pieszczotliwie, osłaniane od wszelkiego wpły-  
wu męskiego, tak, że mu na ojcowskie zabawy, dwór,  
biesiady patrzeć prawie nie dopuszczano. Gdy się cza-  
sem Bolesław upomniął o Mieszka, stawała w obronie  
słabego wychowanka babka Dobrogniewa, padała do  
nóg panu Wielisława, błagając, aby go im jeszcze rok

tylko, jeszcze pół roku, jeszcze choć krótko zostawił, bo dziecię słabe było, bojaźliwe i nieśmiałe.

Chłopak też w istocie wobec ojca szczególnie trwożliwie się stawiał; z twarzy piękny był, blady, tęskny, od matki i babki przejętemi smutkami, a na twarzy jakaś przedwczesna dojrzałość roztropna, wczesny skon zdawała się zapowiadać w cieple macierzyńskich uścisków rozwiniętemu kwiatkowi.

Z chmurą na czole, pomarszczeniem i wejrzeniem wstrętu i odrazy wkroczył król do dworca żony, która, gdy go tylko zobaczyła idącego zdaleka w podwórcu swoim, wyszła z izby, wiodąc syna za rękę i stanęła w sieni pokornie, aby go powitać. Bolesław szedł milczący, a zbliżywszy się i ujrzawszy ją, kłaniającą mu się do nóg, a dziecię cisnące się po ukłonie do ręki, ledwie okiem roztargnionem rzucił na oboje i wszedł do świetlicy.

Tu w progu oczekiwała nań z pokłonem matka stara, ku której zbliżył się z poszanowaniem. Dobrogniewa niespokojnem obejmowała go wejrzeniem, chciała wyczytać z twarzy jego troski, wywołać słowo, lecz król ledwie ciche pozdrowienie wyszeptał. Stara pytać go inaczej jak oczyma nie śmiała. Niewieścia pokora nie dopuszczała naówczas nawet matkom zbyt niej z dziećmi poufałości.

Izba, do której wszedł król, a za nim żona i syn, pachniała kwieciem i ziołami, rozsypanemi po podłogach, przyozdobiona była bogato, obraz grecki złożony wisiał w rogu jej, z lampą przed nim zawieszoną.

W mieszkaniu tem odbijało się życie i obyczaj tej, co je zajmowała. Wszystko tu stało we wzorowym porządku, w miejscu oznaczonem, nic nie zamącało ładu, jaki spokojowi żywota niemal klasztornego był potrzebny. Nawet jedwabne kłębuszki, na krosnach rzędami poukładane, nie śmiały się na bok odtoczyć. Naczynia, sprzęty, opony miały postać skromną i posłuszną i zamarłą. Twarz też i postać królowej zdawała się wyrosłą z tego tła ciszy, na którem się malowała, z bla-

dym swojego smutku wyrazem. W izbie tej tylko modlić się, pracować i tęsknić było można; wesoły śmiech byłby w niej świętokradzkim, jak w kościele.

Gdy weszli, królowa matka ujęła Mieszka, ucałowała go, szepnęła mu coś i wywiodła go za oponę do bocznej komory. Chłopak był posłuszny, choć wejrzeniem bojaźliwym, a ciekawem zwracał się ku ojcu, dał się skryć i zniknął.

Babka pozostała w pewnem oddaleniu, jakby na straży, z oka nie spuszczać Bolesława. Oblicze miała strwożone i ręce jej się mimowolnie, jak do modlitwy składały.

W chwili, gdy Mieszko wyszedł, królowa Wielisława, z trwogą spojrzawszy w oczy panu swemu, upadła mu do nóg; — Bolesław, zniecierpliwiony, cofnął się krok. Ręce białe, wychudłe, wyciągnęła ku niemu królowa, usiłując objąć stopy, i podniósłszy głowę, mówiła cicho:

— Miłościwy panie, a królu — choć słabą jestem niewiastą, racz mnie posłuchać: Tyś panem mocnym, wszytkowładnym — ja ubogą sługą twoją...

Stara Dobrogniewa słuchała z twarzą, zwróconą ku synowi.

— Co chcecie? — przerwał król głosem dosyć ostrym — mówcie...

— Mam was, miłościwy panie, prosić o łaskę wielką — ciągnęła dalej Wielisława, podnosząc się zwolna i stając przed nim w postaci pokornej, z rękami założonemi na piersiach. — A! królu, trwoga aż tu doszła, do cichego teremu! Bojemy się o ciebie! Biskup i kapłani zagniewani są, rycerstwo odstępuje, pogrożki się rozlegają — strach ogarnia serca nasze; płacze matka twoja, ja lży leję, bojemy się o głowę twą i o losy dziecka twojego... Królu, z kościołem pokój uczynicie!

Wtem przystąpiła stara Dobrogniewa i po ramieniu zlekka głaszcząc syna, złamanym, płaczliwym głosem dodała:

— Bolku, panie mój, dziecko moje... Boga bój się, sługi jego szanuj, nie gub duszy i ciała!

Król ramionami dźwignął niecierpliwie i śmiał się, ale dziko i straszno.

— Co wy baśni babskich w teremie słuchacie? — rzekł. — Czyż nie wiecie, że siłę miałem i mam, że mi żaden nieprzyjaciół nie był straszny i nikogo się nie lękam. Śpijcie, módlcie się i śpiewajcie sobie spokojnie, kołyszcie synaczka, zabawiajcie go, a mnie zostawcie troskę o naszą dolę. Popów i ziemian, gdy będzie trzeba, rozumu nauczę...

Stara Dobrogniewa ze strachu plasnęła w ręce i załamała je; spojrzała na obraz Bogarodzicy w kącie, jakby jej opieki na pomoc wzywała, lecz synowi się już sprzeciwiać nie śmiała.

Wielisława okazała się mężniejszą; — czuła, że stała w obronie losów dziecka swojego.

— Miłościwy królu! Z biskupem wojna, to wojna z Bogiem! Ulituj się nad sobą i nami! Gdzie wojska potrzeba i męstwa, tam wy silniejsi nad wszystkich mocarzy, tam wy niezwyciężeni — a przeciw nim...

Król się poruszyć wcale nie dał, usta mu drgały przymuszonym śmiechem, a czoło się fałdowało.

— Nie trujcie sobie spokoju marnemi baśniami, a zachowajcie zdrowo syna, aby mi mężniej rósł na wojaka, nie na babę. Szyjcie w krosnach złotem, a o mnie się nie troskajcie! Pomnijcie, że jakom żyw, nikt mnie nie zmógł nigdy, a ja zmożłem wielu, i boją się mnie wszyscy. Kto się mnie nie lęka dziś, ten się złąknie jutro...

Królowa spojrzała nań oczyma błagającemi, lecz surowy wzrok jego zamknął jej usta. Dobrogniewa też, głowę spuściwszy, stała, jakby, zrozpaczywszy, zadumana.

Bolesław zbliżył się ku niej z zapytaniem, czy nie potrzebowała czego, czy ludzie byli posłuszni, czy posługi nie brakło, czy miała pozdrowienie od swoich? Z czułością ręce ku niemu wyciągnawszy, dziękowała



staruszka i poczęła go błogosławić, ale łyzy jej przerywały mowę. W tej chwili przez uchyloną nieco zasłoniętą wyjrzał Mieszek, na którego babka skinęła; i chłopak wbiegł, stając przy niej na oczach ojca.

Bolesław spojrział nań, rękę, po którą dziecko sięgnęło, dał do pocałowania i zabrał się do wyjścia. U drzwi zęgnęła go pokłonami królowa i przeprowadzała długo oczyma smutnemi.

Szybkim krokiem wybiegł Bolesław z niewieścich teremów, w których mu ciężko było oddychać.

Lecz dzień to był, co mu nie dawał chwili spokoju. Na drugim podwórku, do którego furte pacholę mu otwarło, ujrzał orszak przybyłych, na których widok zatrzymał się, nie okazując wcale, by mu był miłym.

Skromnie odziany dwór otaczał właśnie z konia zsiadającego mężczyznę, młodego jeszcze, którego twarz, acz braterskie z królewską miała podobieństwo, różniła się od niej wyrazem skromności, łagodności i pokory niemal lekliwej.

Gościem tym był Władysław Herman, młodszy brat Bolesława. Poznał go zdala król i nie mógł się wstrzymać od ruchu, który niecierpliwość i prawie niechęć oznaczał.

Rzadko też dwu rodzonych braci mniej z charakteru do siebie bywa podobnych. Na twarzy Bolesława malowała się duma szczęśliwego zwycięzcy, — na Władysława potulna dobroć i bojaźliwość. Władysław nad miarę pobożnym był, rycerskiego ducha mało miał w sobie, spokój miłował, ludzi się lękał, a dla brata miał razem i cześć wielką i obawę niezmierną, znając gwałtowny jego charakter.

Bolesław brata sobie lekceważył, czasem się z jego trwożliwości i pokory wyśmiewał i niekoniecznie rad mu był na swym dworze, bo Władysław do jego obyczajów i wrzawy, co go otaczała, nie umiał, a raczej nie mógł się zastosować.

Niespodziewane zjawienie się Władysława, którego król nie oczekiwał, zaniepokoiło go i chmurę widoczniejszą jeszcze na twarz ściągnęło. Wiedział, że nie

przybywał z próżnym pokłonem, ale pewnie w jakiejś sprawie, a znając jego pobożność i uległość duchowieństwu, przeczuwał już, co mu przynosił.

Wszelki doradca był mu niemiłym, wszelka rada go obrażała i jątrzyła. Gniewny niemal wystąpił na przeciw gości. Na widok króla, zdala zdjawszy szлык z głowy, Władysław szedł ku niemu pokornie, jako ku panu, a starszemu bratu. Powitali się z sobą w przed-sieni, a ze zbliżenia się widać było, iż stosunek, co ich łączył, braterskim wcale nie był. Władysław trwożliwie stał przed nim, Bolesław obchodził się z nim po królewsku.

— Rad wam jestem — rzekł król, zmuszając się do wesołości — pustki u mnie na dworze, przynajmniej ty i ludzie twoi trochę mi gwaru przyniesiecie. Przybyłeś w dobrą porę, będziemy dobrej myśli zażywać.

Władysław, zdziwiony tą wesołością, której się nie spodziewał, oczy w niego wlepił ciekawie, niedowierzająco. Król tymczasem, żywo się zawróciwszy, prowadził go ze sobą nie do sypialni, ale do komnaty królewskiej (w której biskupa przyjmował) i tu go na poczystnem miejscu posadził. Jawnem dlań było, że Władysław o wszystkim wiedzieć musiał, uląkł się ijechał z prośbami, aby gniewy i niechęci załagodzić. Wolał więc odrazu sam zagaić sprawę i nie dać się nad nią bratu rozwodzić.

— Widzisz — rzekł — pusto u mnie! Rozpierzchło się, co było tchórzów i zdrajców, których karcić musiałem, a ci na mnie klechów z łańcucha spuścili, i biskupi ujadają za mną, jak za dzikiem w lesie. Będą łowy nie lada.

Rozśmiał się.

— Nie próbowali klów moich! — dodał.

Władysław milczał, okazując trwogę na twarzy, zmieszało go to nagłe rozpoczęcie mowy.

Spojrzał nań król.

— Cóż ty na to, bracie?

— Ja? — spytał cicho Władysław — ja? Ty znasz

mnie! wołałbym, żeby i łowów nie było i kły się nie potrzebowały ostrzeć.

— Ty babą byłeś i jesteś — przerwał Bolesław. — Z ludźmi, głaścząc, nic się nie robi, chłostać ich trzeba, żeby nimi orać!

Podniósł pięść do góry i oczy mu zaświeciły.

— Panuje się siłą, a nie prośbą! — dodał.

— Duchowieństwo — westchnął Władysław — to gorzej, niż wojsko najpotężniejsze... Sam cesarz musi mu ulegać! Inna rzecz z poddanymi. Jesteś królem koronowanym, masz władzę, możesz karać najsurowiej tych, co ci przewinili — ale duchowni! biskupi! a! bracie mój! To mówiąc, złożył ręce i zamilkł nagle.

— Duchowni są moimi poddanymi, jak inni — zawołał król. — Dwóch panów na jednej ziemi rządzić nie może, jak dwa wilcy się zajedzą!

Władysław złożył ręce, wzdychał. Król powiedziawszy te słowa, czekał, aby się odezwał i stał przed nim z wyzywającą, szyderską twarzą.

— Królu mój, a bracie kochany — odezwał się wkońcu Władysław. — Mnie o ciebie niewysłowiona ogarnia trwoga... Wiesz, jaki los spotkał cesarza i jak o przebaczenie błagać musiał, — ten sam grozi tobie.

— Przecież ja nie z papieżem, co jest głową chrześcijaństwa, mam do czynienia — rzekł Bolesław — ale z jednym klechą, co się tu na tej ziemi urodził i poddanym jest moim, jako i drudzy.

— Mylisz się — odparł Władysław łagodnie. — Księża, choćby się rodzili na tej ziemi, nie są poddanymi twoimi, ani ojczycami tutejszymi — są poddanymi papieżowi i Rzymowi. Wprzód winni posłuszeństwo swemu panu, niż tobie. Tkniesz ich tylko, naówczas co jest księży po szerokim świecie, wszyscy powstaną przeciw tobie, przeciw nam! W każdym biskupie papież jest, bo z nich każdy od niego ma daną władzę i poselstwo.

Bolesław roztargniony słuchał, niewiele bacząc na te słowa.

— Mówilem ci, — dodał silnie, — dwu wilków

w jednej kniei się nie zgodzą, zażreć się muszą! Kto na mojej ziemi mieszka, ten mnie słucha, kto mi się oprze — temu łeb spadnie.

Władysław zadrżał, słysząc to, i uszy rękami osłonił, jakby się samych uląkł wyrazów.

Król począł chodzić po izbie i mówił, jakby sam do siebie.

— Grożą, że mi zamkną drzwi kościoła? Biada temu, co to będzie śmiał uczynić, i do walki mnie wyzywać! Nigdy ja od bitwy żadnej nie uciekał, anim się uląkł, ani pierzchnął — nie cofnę się i teraz. Biskup zdrajcą jest. Przeciw panu swemu, ukoronowanemu zmawia się z Czechami i wykławszy mnie, na tron ich chce prowadzić; już za to śmierci godzin...

Władysław, gwałtowną mową strwożony, przybity, ze spuszczoną głową, jak człowiek, przywiedziony do rozpacz, pogrążony w niej siedział, z oczów mu łzy płynęły. Widział, że ani on, ani nikt w świecie Bolesława powstrzymać nie potrafią; następstwa tej walki stały mu się w myśli z całą swą okropnością. Bolesław, spojrzawszy nań, jakby litość miał nad słabym, natychmiast zmienił ton mowy, zaczął się śmiać, i za oba biorąc go ramiona, wstrząsnął nim z całej siły.

— Nie kwap się ze łzami, gdy ja się śmieję! — zawołał. — Ani ci o tem myśleć, ni tem sobie serce psować... Licho niech porwie wszystkich klechów i zdrajców! Nie dbam o nich wszystkich, dopóki żelaza kawałek w dłoni mam, i kupkę druhów koło siebie. Chodźmy wieczerzać i weselić się. Władysław wstał strwożony.

— Bracie! — począł, za rękę go chwytając.

— Wszystko już powiedział, co ci trzeba było — zagrmiał król. — Dość tego; chybabyś mi chciał mówić o jakiej pięknej niewieście, coby od mojej Krysty, i od twojej Hanny piękniejsza jeszcze była.

Zarumienił się Władysław, a król dzikim i hałaśliwym śmiechem na to odpowiedział. Nie można już z nim rozmawiać było.

— Ani mi się waży więcej mówić o tem — dodał Bo-

lesław, ciągnąc bladego i wylekłego do wielkiej izby, w której cały dwór świetny i drużyna przy zastawionych czekała stołach.

Władysław usiadł przy bracie, pokorny, strwożony, z oczyma spuszczonemi; wszystkich bić musiała w oczy ta między dwu rodzonymi braćmi różnica.

Po krótkiem posiedzeniu nagle król kazał sobie podać misę, wodę i ręczniki, obmył ręce i pozostawiając brata ze swym dworem, wstał. Wyszedł sam na podwórze zamkowe.

Mrok już był i cisza panowała wieczorna. Zobaczywszy, że kilku Boleszczyców wyszło za nim, król ich ręką nazad do izby odprawił.

Domyślili się, że do Krysty szedł, i tak było w istocie.

U węgła dworca dwu ludzi czekało na jego skinienie — król im dał znak, a sam krokiem powolnym skierował się do dworca Krystyny.

Gdy król nadchodził, siedziała jeszcze pani z Bużenina w oknie otwartem, kwiatek trzymając w ręku, smutna i zapłakana. Postrzegłszy go, krzyknęła, jak przebudzona i do drzwi przeciw niemu biegła.

Bolesław wszedł, tak chmurny, jak u stołu siedział, podbiegając ku sobie pochwycił w pół, do góry uniósł w silnych dłoniach, pocałował w schyloną ku sobie głowę, i miejsce wskazał na ławie przy sobie.

— Cóż z tobą, królowo moja? — zapytał.

— Co z panem, królem moim?

— O! pan gniewa się i sroży... Miecz mu w pochwach rdzewieje — bić się czas! Dłoń drętwieje, męstwo słabnie... Wojny trzeba.

— A! a! wojny! — westchnęła trwożliwie, tuląc się Krysta.

— Bez wojny życia niema! — mówił król. Myśmy wojacy, jak się nie bijem, to gnijem.

— Pan mój wzdycha tylko do wojny; — co my wówczas bez niego pocniemy? Chyba z królem iść na wojnę! Na wojnie pan nowe sobie kochanki zdobędzie, a o starych zapomni!

— Ej! wy jeszcze prędzej o nas, — byleśmy za wrotami byli — począł król. Kto was zna i wie? Albo-  
bym ja ręczył, że wy teraz jeszcze nie dumacie o swoim  
Mścisławie.

— A! królu, panie! — krzyknęła Krysta głośno —  
Ja, o nim! toć mnie za niego siłą, mocą wydali! A czem  
on dla mnie był, — chyba strachem! Gdy go wspomnę,  
jeszcze po mnie dreszcz przechodzi.

— A ludzie wciąż donoszą i gadają, że Krysta za  
mężem płacze!

— Ja? za nim! bodaj tak świat widzieli! — zawo-  
łała Krysta, — i plunęła gniewnie na podłogę.

— Nie wiedziała, że przed chwilą zcichła się drzwi  
komory otwarły, a w nich przez dwóch parobków sil-  
nych trzymany i powrozami związany, stał mąż jej,  
Mścisław, wszystko widział i słuchał wszystkiego.

Tak król chciał.

Biedny człek odziany był jeszcze w tę samą prostą  
sukmanę, w jakiej go wzięto; w brudnej ciemnicy zwa-  
lała się ona i zszarzała. Włosy miał słomy z barłogu  
pełne, twarz czarną i osmoloną, oczy w niej tylko świe-  
ciły straszne... Słuchał wyroku na siebie, nie wydawszy  
jęku.

Krysta, spostrzegłszy go teraz dopiero, domyśliła  
się, poznała, i przerażona, z krzykiem rzuciła się do  
króla, obejmując go, jakby u niego szukała opieki.

Bolesław śmiał się z wyrządzonej psoty...

— Patrz! — krzyknął do Mścisława. — Nie masz  
się poco niewiernej żony dobijać. Słyszałeś, co mó-  
wiła? Kazałem cię tu przywlec, abyś sam patrzył i sły-  
szał. Idźże teraz precz w świat, z moich oczów, a nie  
musz mnie, bym się krwią twoją zmazał. Ślepie ci na-  
wet zostawiam, abyś prowodyra nie potrzebował.

Skinął na pachołków.

— Za bramę go wynieść i wyrzucić! — krzyknął. —  
Stróżom go dobrze pokazać, niech mu w ślepie zajrzą,  
jeżeli się do zamku na staję zbliżyć ośmieli, niech go  
jak psa zabiją.

Odwrócił się król. Pachołkowie już go ciągnęli za



drzwi, wlekli przez sień, na podwórze. Gniewem, boleścią, więzieniem i głodem osłabły Mścisław, choć mu usta drżały, słowa wymówić nie mógł, nie miał siły się opierać. Niewierność Krysty była dlań ciosem śmiertelnym; sam widział, słyszał z ust jej, czem był dla niej, — widział, słyszał i uwierzyć nie mógł, nie chciał.

Zaledwie był w dziedzińcu, gdy szła tam, co go do płochy niewiasty wziął, już kłam zadał oczom i uszom. Mścisław mówił sobie, iż Krysta umyślnie miłość oświadczyła królowi, aby jemu ocalić życie. Trudno, niepodobna mu się jej wyrzec było. Myśl ta wróciła mu siły...

Nie szczędząc razów i popychania pacholkomie, naigrawając się, ciągnęli go ku wrotom! Pokrzykiwali, śmiali się, pokazywali go przechodzącym, powtarzali groźby pana, dodając do nich bezkarnie kułaki i kije, bo Mścisław związane miał ręce.

Tłum zbierał się około niego, gromadą wiedli go tak aż do wrót, gdzie wstrzymali się u straży, aby dłużej znęcać się nad pastwą swoją.

Mścisław stał jak martwy, jakby nie czuł nic i nie słyszał, — zdrętwiały był na wszystko. Krysta jeszcze stała mu w oczach i król ten bezlitosny, dziki, któremu, choć mu życie był winien, zemstę poprzysięgał. — Nierychło, gdy bezwładnym ciałkiem, co nie dawał nawet znaku gniewu, ni bólu, gawiedź się dość nabawiła, nie rozwiązując mu rąk, pchnięto go precz za wrota na drogę.

Mścisław puszczony padł zrazu, nie mając siły ni woli ruszyć się z miejsca.

Ciemna noc już była, zdala od zamku dochodziły jeszcze śpiewy i odgłosy ucztujących, gdy Mścisław wreszcie podniósł się z ziemi, zachwiał i z trudnością wlec się zaczął ku przedmieściu. Związane ręce, w które się sznury wjadły, sprawiały mu boleść i ruch utrudniały, więzienne leżenie nogi pokurczyło, wilgoć i powietrze zgniłe osłabiły. Nie poznawał sam siebie. Pięty był bólem i gorączką. Przed oczyma jego prze-

suwał się jeszcze król i Krysta i straszne ciemności więzienia, w którym był zamknięty jak w grobie.

Na drodze zamkowej pusto było, na przedmieściach też światła już pogasły i ludzie się po chatach pochowali. Szczekanie psów tylko słychać było zdala i wyście. Zataczając się, opierając o płoty, wypoczywając, zszedł Mścisław aż do stóp góry. Dokąd iść miał, sam nie wiedział, nie wiedział nawet, czy było poco do Bużenina powracać, bo i tam królewscy ludzie już może gospodarowali.

Sam nie wiedząc jak, bezmyślnie prawie, dowlókł się aż do domku u kościołka na Skałce, w którym biskup, królewskiego sąsiedztwa unikając, przebywał. — Świeciło tu w jednym oknie przez szpary okiennicy, dokoła panowała cisza.

Do progu się powlókłszy, legł na nim Mścisław, ale padając, o drzwi uderzył, które zadrżały i jęknęły. Kroki pośpieszne dały się słyszeć ze wnętrza: drzwi odryglowano.

Młody człowiek w sukni kleryka ukazał się w nich ze światłem w ręku i począł przypatrywać się leżącemu, którego wziął za upojonego włóczęgę. Dopiero ręce związane sznurem ujrawszy, krzyknął, ukląkł przy nim, i widząc osłabłego, więzy jego co prędzej rozplątywać zaczął.

Mścisław miał zaledwie siłę wymówić — biskup! — i nazwisko swe, gdy padł omdlały, głową uderzając o twarde progu kamienie.

Zbiegła się natychmiast cała służba biskupia, a że nazwisko z ust do ust chodziło, a znanem było wszystkim, wzięto go, podniesiono, oznajmiono o nim biskupowi, który nie spał jeszcze.

Znalazł się kubek wody, co go orzeźwił, i Mścisław, odzyskawszy przytomność, z pomocą ludzi mógł wniknąć do izby, na której progu stojący oczekiwał nań, ręce wyciągając ku nieszczęśliwemu, gospodarz.

— Chodź, dziecię moje, niech cię przytulę i orzewię — Bogu niech będzie chwała, iż z życiem uszedłeś!!

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ

POWIEŚCI HISTORYCZNE – Tom XII

---

J. I. KRASZEWSKI

# BOLESZCZYCE

POWIEŚĆ

Z CZASÓW BOLESŁAWA SZCZODREGO

CZĘŚĆ II



1 9 2 9

---

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH  
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE  
CZERNIAKOWSKA 225.

## I.

Izba, do której biskup wprowadził Mściława, była niewielką komorą, tak ubogą i skromną, jak całe domostwo, które Stanisław ze Szczepanowa zajmował. Ściany jej tylko dźwigały skarby wielkie: zajmowały je półki prawie całe zapelnione ogromnemi księgami w drewnianych okładzinach z mosiężnemi i kościanemi ozdobami. Leżały one, stały pojedynczo jedne na drugich, ciągle snąć chwythane i odkładane, niezamknięte kłamry niektórych z nich świadczyły, iż tylko co używane były.

Tę nieocenioną naówczas zdobycz biskup przywiózł z sobą na polską ziemię po siedmioletnim pobycie w Paryżu. Pierwszy to był po benedyktyńskich zbiór tak obfity, a cała pono ojcowizna biskupa poszła na jego zakupienie, bo rękopisma płaciły się na wagę złota.

W pośrodku izdebki stał stół z pulpitem do czytania i pisania, z podwyższonem siedzeniem i wszystkiem przyborem ówczesnym do pisania, trzciniami, inkaustem, pargaminami. Tu leżała w woreczku jedwabnym owalna pieczęć biskupia, sznury i wosk, na którym ją wyciskano. Przy nich paliła się lampka włoska, z knotem, zanurzonym w tłustości, która przyświecała biskupowi do czytania rozłożonej na pulpicie księgi.

Przerwała ją wrzawa i zjawienie się Mściława...

Biskup patrzył nań i ręce załamał z boleści. Strasznie wyglądał więzień Bolesławowski i litość obudzał;

zbrukana twarz, rozczochrane włosy, wzrok oszalały, usta spalone, drżące, a okrwawione od powrozów ręce, podarta i owalana odzież, z pod której widać było piersi obnażone i wychudłe, nogi bez obuwia... cała wynędzniała postać osłabionego niewolą i męczarnią człowieka ledwie w nim dozwalały poznać owego Mścisława, którego biskup znał dawniej pełnym życia, wesółym, ochoczym i zawsze dostatnio, a pańsko występującym ziemianinem. I majątności i rycerskie sprawy stawiały go niegdyś na czele — dziś spadł na ostatni szczebel nędzy i boleści.

Wiedział biskup o jego uwięzieniu; znajdując go wolnym, ale z rękami skrepowanymi, posadził, iż się cudownym jakim sposobem z królewskiej dobył ciemnicy.

— Bóg niech będzie pochwalon! — rzekł. — Lecz jakżeś i przez kogo wolność odzyskał?

Mścisław jeszcze odpowiedzieć nie mógł, dłońmi okrył twarz i czoło, wzdychał ciężko, głosu mu z piersi uciśniętej trudno dobyć było.

Jęczał długo i rzucał się, nim mu się odemknęły usta.

— On, on! — zawołał — puścić mnie kazał żywego, ubiwszy wprzód ze wszystkiem!... Mordował mnie, zanim precz wyrzucił. Sprowadził z więzienia, abym patrzył na to, jak Krysta go miłowała... a mnie się wypierała na wieki. Ale nie może to być — wybuchnął gwałtownie. Nie! — Krysta, chcąc mi życie ocalić umyślnie — kłamała. Nie, nie — siłą ją tylko trzyma, musi czynić, co każe — a niewierną po swej woli nie jest — nie! — nie!

Biskup z uśmiechem niewymownej litości, smutnie spojrział na niego, nie chcąc przeczyć temu, co dlań było pociechą jedyną.

— Dziecko moje nieszczęśliwe, — rzekł, — idź, a spocznij i pomódl się, aby cię Bóg pocieszył, a ja za ciebie modlić się będę; — pomódl się, aby ci Bóg zesłał natchnienie co masz czynić!

— Co? — zawołał, uderzając pięścią o ławę Mści-



sław z gwałtownością, na którą resztę sił dobył z siebie. — Co? — mścić się! Mścić na nim! — Spoczne, bylebym sił dobył! potem, jak stoję, pojedę między ród mój i ziemian, od dworu do dworu, pokazując im, co ze mnie łaska pańska uczyniła! Niech znają i niech wiedzą, co ich czeka... Mnie dziś, — jutro im! — Mścić się — powtórzył jeszcze raz i osłabły pochylił się na ławę, bo wybuch ten ostatek siły wyczerpał.

— Ukój się, dziecko moje — rzekł biskup, biorąc go za głowę — ukój się. Nie ty, a sam Bóg się pomści za krzywdę twoją. Idź teraz i spoczywaj.

„Oczy twe ujrzą pomstę nad grzesznymi“.

To mówiąc biskup, którego ręce Mściśław całował, przeżegnał go, jeszcze raz dłoń mu na rozpalonej położył głowie, i przywiódłszy do chwilowego uspokojenia, oddał klerykowi, aby go na spoczynek odprowadził.

Od kilku już tygodni biskup umyślnie unikał swojego katedralnego kościoła św. Wacława na zamku, mszy nawet świętej nie odprawując w nim, aby w podwórzu, jadąc, albo wracając, z królem się nie spotykać i nie wywoływać zajścia jakiego. Nie obawa o siebie, ale chęć dania jeszcze królowi czasu do namysłu i ukorzenia się, powodowała biskupem.

Mszę swą ranną odprawiał albo w domowej kaplicy, lub w małym tym kościółku św. Michała na Skalce, przy którym czasowo przebywał.

Dnia następnego jednak wypadła potrzeba znajdowania się w zamkowym kościele, a biskup spodziewał się uniknąć z królem spotkania, ufając w to, że Władysław, którego znał z pobożności i pokory, u boku króla się znajdował.

Z rana więc, wysławszy naprzód kleryka, aby rozpatrzył się, co się na zamku działo, przygotował się biskup ze mszą do św. Wacława.

Gdy spytał o wczorajszego nocnego gościa swojego, powiedziano mu, że już go nie było. Zerwał się i uszedł, nie opowiadając, co pocznie z sobą.

Ranek był piękny i pogodny, około zamku ludu gwarnego mnogo się kręciło. Od wrót zamkowych

w odległości niewielkiej stał szczupły jeszcze naówczas z ciosowego kamienia, z kryptą pod nim, kościółek napozór skromny, ale wewnątrz przyozdobiony bogato. Poprzednicy biskupa i on sam o zaopatrzenie go i zasoby dlań się starali.

W pomoc do posług duchownych przychodzili ks. Stanisławowi ze Szczepanowa benedyktyni z Tyńca i niewielka liczba duchownych, których on sam kształcić się starał.

Chociaż Bolesław rzadko zaglądał do kościoła swego, biskup z obawy, aby swawolni ludzie jego, z których wielu napół pogan było, nie zakłócili nabożeństwa, natychmiast, do kościoła wszedłszy, drzwi główne zamknąć i zaryglować przykazał... Sam udał się do zakrystji i po krótkiej modlitwie, ubrany, jak do świętej ofiary, wyszedł przed ołtarz główny!

Cisza panowała w niewielkiej świątyni, w której tylko kilku duchownych i kleryków i kilku ludzi z miasta się znajdowało.

Msza zaledwie dochodziła do zaofiarowania, gdy przed kościołem dał się słyszeć hałas, wrzawa i śmiechy.

Trwało to czas jakiś. Nagle uderzono we drzwi kościelne. Ponieważ z rozkazu biskupa zawarte były, nikt się ich otwierać nie ośmiewał; szła dalej ofiara święta nieprzerwanie.

Wtem bić zaczęto we drzwi coraz gwałtowniej, aż się okna zatrzęsły; — strach ogarnął duchownych.

To zuchwałe dobijanie się nie mogło być dziełem samowolnem prostych ludzi, którzyby się nie wazyli wśród białego dnia takiej zniewagi uczynić kościołowi, szturmując doń, jak do gospody. Poza tymi, co tłukli tak gwałtownie we wrota, można się było domyślać króla chyba i jego rozkazów.

Biskup, gdyby nawet chciał, żadnego rozkazu wśród ofiary dać nie mógł, choćby mu największe groziło niebezpieczeństwo. Surowy w zachowywaniu wszystkiego, co do kościelnych należało obrzędów, duchem ulatywał wyżej nad to, co go otaczało. Nie ruszył się więc on

i nikt drgnąć nie śmiał, a dobijanie się coraz gwałtowniejsze trwało ciągle.

Znużeni biciem spoczywali mało i wracali z wściekłością podwojoną.

Wkońcu po chwili takiej odpoczynku, która zdawała się opamietaniem, gdy sądzono, że napastnicy się oddalili, usłyszeli księży z przerażeniem, iż drogami podwalano, siekierami łupano i wyważano drzwi kościelne.

Biskup miał właśnie poświęconą hostję podnieść, gdy pękły wrzeczadze, połowa wrót kościelnych z ogromnym hukiem padła na ziemię — i tłum z hałasem do kościoła się wtoczył.

Na czele jego siedł sam król, z ręką na mieczu, w postawie zwycięzcy, za nim postępowali bladzi Boleszcyce i dwornia pańska.

Wtargnąwszy tak gwałtem do kościoła, jakby szturmem wziętego, posunęli się całą gromadą naprzód i przybliżywszy niemal pod sam ołtarz, przy którym biskup mszę świętą odprawiał, — stanęli, króla otaczając kołem szerokiem.

Bolesław wyzywająco zajął miejsce naprzeciw biskupa samego i — stał, spoglądając dumnie.

Gdy obrzęd zmuszał celebrującego odwracać się do ludu i ukazać mu oblicze, mógł król dostrzec, iż na niem ani śladu strachu, ani nawet pomieszanania nie było. Błada, poważna, surowa, rozżalona twarz biskupa więcej znamionowała siły i wiary w siebie, niż zapłomieniona, namiętna, niespokojna Bolesława. Mnie-manie to zwycięstwo i wdarcie się do kościoła było raczej słabości niż męstwa dowodem; nikt nie pierzchnął przed nim, nikt wobec Pana nad Pany na ziemskiego mocarza nie wejrzał nawet.

Napróżno Bolesław brzękiem miecza i chrzęstem zbroi dawał znać o sobie, księży się modlili z popuszczanemi głowami, nie spoglądając nań. Biskup skończył mszę świętą powolnie, jakby mu nie modlitwy jego zamącić i przerwać nie było w stanie.

Buta królewska ustąpić musiała przed namaszcze-

niem kapłana; dwornia pańska, co wpadła do świątyni z wrzawą, teraz coraz bardziej traciła męstwo i stawała się bojaźliwszą.

Dnia tego biskup nie miał woli ani zamiaru rzucić klątwy na króla, — czekał, pragnąc, aby wpływ Hermana, prośby dwóch królowych przywiodły go do upamiętania. Zniósł więc tę napaść cierpliwie.

Bolesław dotrwał do końca mszy, lecz i on doznał tego, co jego dworzanie; spokój, jaki tu zastał, odbił się w nim nieopisaną jakąś trwogą i niepewnością. Spojrzawszy kilkakrotnie na biskupa, który unikał spotkania ze wzrokiem króla, Bolesław dał znak swoim i z hasłem a brzękiem zabrał się do odwrotu.

Rycerstwo, co wpadło wojować z jednym bezbronnym człowiekiem, wyszło męstwem jego pokonane.

Dopiero za progiem Bolesław odzyskał swą śmiałość, odwrócił się ku stojącemu jeszcze przy ołtarzu biskupowi, pięścią mu pogroził zdala, i do samych drzwi kościelnych klacz swą ulubioną kazawszy doprowadzić, siadł na nią, ruszając na łowy.

Nikogo już nie było, oprócz tych, co od początku mszy słuchali, gdy biskup przeżegnał lud, odczytał ewangelję i zwolna odszedł nazad do zakrystji.

Wszyscy, co go otaczali, stali wylekli, on sam jeden wcale się pomieszanym nie zdawał. Ukląkł do modlitwy i dopiero wstawszy od niej, z chłodną krwią wydał rozkaz, aby wrota kościelne natychmiast przed wieczorem jeszcze osaczono na nowo.

Zuchwałe to było ze strony króla wyzwanie. Nie chcąc się narażać na podobne gorszące napaści, biskup pomyślał, iż mu przyjdzie ulubiony swój kościół katedralny na długo opuścić i pożegnać.

Z tem uczuciem żałości, raz jeszcze poszedł do wielkiego ołtarza, aby się tu pomodlić i na długo może pożegnać z ulubienicą swoją.

Dla ludu złym był widok nieposzanowania miejsca świętego i spełnianych w nich gwałtów, — należało obronić świętość od skazy, a chrześcijan od zgorszenia.

Pomodliwszy się, szedł biskup ku drzwiom wyla-

manym, stojąc, popatrział na nie chwilę, i, nie unikając już spotkania, zwykłą drogą w towarzystwie duchownych na Skałkę się udał.

Przed kościołem gawiedź gromadziła się tylko ciekawa, która śledziła w twarzy biskupa czy ułaski się groźby, ale nie wyczytała z niej nic więcej, nad ten sam spokój i powagę, jakie ją zawsze oblekały.

Rozstąpili się wszyscy idącemu, mimowoli kilku czapki podniosło, a głowy zniżyło, ubogi tłum cisnął się do ręki i błogosławieństwa. Z orszaku królewskiego nie było już tu nikogo.

Bolesław na błonia pociągnął ze psy i sokoły. Władysław pod tę porę był u matki.

Biskup bez przeszkody żadnej dojść mógł do domku na Skałce, lecz zaledwie się tu znalazł i wszedł do komory, w której większą część dnia na czytaniu ksiąg przepędzał, gdy znać dano, że Władysław przybył i posłuchania się doprasza.

Z całego rodu jeśli nie najmilszymi, to najmniej wstrętliwymi byli biskupowi Światawa i Władysław.

Ksiązę ten cichy, skromny, pobożny, choć w młodszym wieku dość swobodne wiódł życie, nie stosując się do przepisów kościoła, a naśladować dziadów swoich, — szanował duchowieństwo, okazywał mu zawsze pokorne oblicze, dawał się strofować i starał złe naprawić. Przebaczone mu więc nieślubny związek, w którym dotąd zostawał — i biskup nie miał doń zbytniego wstrętu. Władysław stawiał się przed nim z większą może, niż kiedy uniżonością, jakby go za przewinienie braterskie chciał przebłagać. Biskup przyjął go chłodno, z obliczem surowem i poważnem, a niemal dumnem.

Weszli tak razem do skromnego mieszkania biskupiego, Władysław patrzył zrazu i badał twarz gospodarza, nim się odezwać ośmielił.

— Wielebny ojcze, — rzekł wkońcu głosem drżącym — zasłyszałem coś... jestem trwogą przejęty. Spór jakiś pono wynikł między królem, a przewielebnością waszą?

— Spór? — powtórzył biskup, marszcząc się. — Mylisz się, książę nie spór to już jest, ale wojna otwarta! Król ja sam kościołowi wypowiedział, — posłusznym mu być nie chce. Ja walkę zmuszony jestem przyjąć, bo sobą kościół przedstawiam, a kto mnie dotyka, na kościół się porywa. Do wszystkich zniewag, jakie znosiłem cierpliwie, przybywa jeszcze dzisiejsza, publiczna. Wyłamano drzwi kościelne, znieważono świątynię. Miara pełna po brzegi. Król chciał i mieć będzie cały kościół katolicki nieprzyjacielem.

Władysław przypadł do ręki biskupa, który mu ją zlekka usunął.

— Miłościwy ojcze, — odezwał się żywo. Znacie króla! gwałtowny jest i niepomiarkowany, dajcie mu ochłonąć, upamiętać się. On nawykł do rozkazywania, nie zna w niem miary — lecz serce ma dobre! Jestem pewny, że uległby, gdyby nie lękał się, że poddanym rozkazywać nie potrafi, sam będąc zmuszonym drugim ulegać. Oszczędźcie mu upokorzenia...

— Co się stało w oczach ludzi, odwołanem ani zmienionem być nie może — odezwał się biskup chłodno. — Kościół musi bronić praw swych i karcić nieposłusznych. Król Bolesław sam swoim postępkiem popadł pod *Anathema* kościelne. Nie ja, nie kościół, — sam on się wyklął i wyłączył ze społeczności. Moim ustom dostanie się tylko spełnienie obowiązku i wyrzeczenie tego, co się już dokonało...

Władysław zbliadł, zadrżał, rzucił się do kolan biskupa:

— Ojcze, — zawołał — miejcie nad nim i nad nami miłosierdzie!

Stanisław ze Szczepanowa cofnął się, unikając zbliżenia.

— On sam, on, nie miał nad sobą i wami miłosierdzia — zawołał gwałtownie — proście jego, aby pokutę czynił.

Odepchnięty niemal, Herman podniósł się, spojrzał na nieugiętego biskupa, i krew piastowska w nim za-



kipiała, gdyż wyprostował się i przybrał niemal groźną twarz.

— Jako duchowny, wy, przewielebny ojcze, wiecie lepiej, co czynić macie, rzekł głosem nieco podniesionym; ja, jako chrześcijanin, a brat króla, odważę się tylko przypomnieć, że ani kościołowi, ani wam, ani ziemi tej, ani duchowieństwu nie wyjdzie na dobre ten zatarg i wojna. Król, wyzwany, gwałtownym jest i niepomiarowanym będzie.

— Kościół się niczyich gniewów ani gwałtowności nie lęka! — przerwał biskup. — Od opoki tej odbijają się ciosy i padną na tych, co świętokradzką na nią rękę podnieśli.

— Niema więc ratunku! — zawołał Władysław.

— Jest — rzekł biskup — jeden jest tylko; niech się król ukorzy. Niech przyjdzie pieszo z pokorą stanąć publicznie, jako winowajca u tych samych drzwi, które czasu ofiary świętej łamać kazał, niech czyni pokutę, a Rzym nad nim miłosierdzie mieć będzie.

Władysław nic nie odpowiedział; lepiej niż kto inny wiedział, że niepodobieństwem było skłonić króla do podobnego kroku.

Biskup dodał po chwili:

— Jak skoro klątwa wyrzeczoną zostanie, a raczej nim ona będzie rzuconą, jedźcie stąd, książę, oddalcie się, uciekajcie! — Wszelkie bowiem współnictwo z królem i na waszą głowę klątwę sprowadzi i na wszystkich, co z nim zostaną!

Stanął biskup nieco opodal księcia, jakby chciał go pożegnać i odprawić. Władysław wstrzymywał się jeszcze, walcząc z trwogą i chęcią niemożliwego pośrednictwa. Spojrzawszy na stojącego zdala i w powadze wielkiej biskupa, przekonał się, iż próżnoby go poruszyć się starał. Coraz groźniejszy stawał się wyraz twarzy i postawa.

— Nieodwołalny więc wyrok wasz? — szepnął cicho.

— Com rzekł, to się stanie — odparł biskup, bo nie ja rzekłem, ale Kościół przez usta moje. Idź książę na

Wawel, popatrz na złamane drzwi kościoła i módl się, aby Bóg na całym rodzie i pokoleniach następnych nie mścił się zniewagi domu swojego.

Władysław pochwycił głowę i nie próbując się już zbliżyć do zdala stojącego biskupa, wolnym krokiem wyszedł z izby.

Król z kościoła wprost na łowy jechał, a otaczający go dwór, dla przypodobania się panu, coraz to, prześmiewając się, przypominał owe łamanie drzwi kościelnych, odniesione nad biskupem zwycięstwo i bojaźń mniemaną, jaką niby na twarzach duchownych wyczytał. Drudzy śmielsi odgrządzali się głośno na samego biskupa, inni rzucali nań potwarze, wymyślając plotki niedorzeczne.

Nierozumna gawiedź ta nie widziała pewnie, iż Bolesław, marszcząc brwi, szyderstw tych słuchał; nie odpowiadał słówkiem na nie, nie zdawał wcale zabawiać niemi, owszem jątrzyło go widocznie samo wspomnienie o biskupie.

Płocha młodzież widziała w tem zwycięstwo, — on czuł i rozumiał, że to był walki początek.

Tegoż dnia wśród łowów z pogodnego nieba nagle się zerwała burza z wichrem, gromami, błyskawicą i gradem, a gdy gromadka Boleszczyców schroniła się pod dąb na skraj lasu, padł ogień z niebios na drzewo, i w oczach wszystkich zdruzgotał je i zapalił.

Łowy też wcale się nie wiodły, ptaki z bereł podnosić się nie chciały, psy, jakby węch straciwszy, chodziły błędne; zwierz bezkarnie im uciekał z pod stóp prawie.

Borzywój, który żarty stroił zrazu, ucichł nagle, a Dobrogost rzekł, pochylając mu się do ucha.

— Król dziś straszno patrzy — nie wspominajcie mu biskupa: wie pewnie co ludzie gadają.

— A cóż gadają ludzie?

— Że dziś króla kłąć mają w kościele.

— I co z tego! — spytał Borzywój — mało kto kogo klnie.

— Ol ol — odparł Dobrogost, — straszne rzeczy

prawią o takim klęciu w kościele... Mówią, że człowiek przeklęty zwierzem się staje, przemienia w wilkołaka i musi w lasy precz uchodzić od ludzi, gdzie go śmierć czeka...

Borzywój niedowierzająco ruszył ramionami, ale na twarzach obu widać było trwogę, którą utaić się starali...

— Kto z nim będzie przestawał, tegoż takiż los czeka — rzekł Dobrogost.

— Nie prawilbyś tego — przerwał drugi.

Gdy się to działo pod Krakowem, na Skałce u biskupa gości było więcej, niż zwykle. Zebrane zewsząd duchowieństwo otaczało i zalegało dworek biskupi. Na twarzach wszystkich niepokój widać było i przerażenie, inni, nie kryjąc się, łzy leli i ręce załamywali. Biskup chodził blady i milczący, lecz niezachwiany tem, że otaczający go bojaźń wielką okazywali i strapienie. Kilku starszych kapłanów z pokorą usiłowało doń przemówić, aby go skłonić do łagodności, lecz biskup przerywał im mowę i zwracał ją zaraz na przedmiot inny. Zajmował się pilno przygotowaniem do tego, po co duchowieństwo ku sobie przywołał.

Księgi otwarte leżały na stołach... ciekawi zaglądali do nich i cofali się przerażeni.

Wieczór się zbliżał, gdy wszyscy weszli w ponurem milczeniu do małego kościołka na Skałkę. Ołtarz już, jakby do niespornego przygotowany nabożeństwa, płonął światłami, dzwon, jakby na modlitwę zwołując lud, odzywał się powoli. W kościołku mroczno było i smutno, jakby się w niem pogrzeb miał odbywać. Za biskupem weszło do zakrystji posłuszne duchowieństwo i w milczeniu przyodziewać zaczęło uroczyste szaty i kapy. Biskup wziął mitrę na głowę i pasterską swą laskę w rękę...

Dzwon ciągle odzywał się żałośnie, a ludzie, o niezwykłej powszedniego dnia godzinie zwabieni nim, ciekawie i niespokojnie cisnęli się do kruchty kościoła.

Tu cisza panowała; świergot wróbli i jaskółek słychać tylko było u okien, a zbłąkany, ostatni promień

słoneczny, otworem jakimś u góry dostawszy się do wnętrza, złotym pasem jakby napół świątynię przecinał.

Przy drzwiach gromadziła się coraz większa ciżba ludu, cicho sobie rozmaite domysły podając do uszu. — gdy szelest się dał słyszeć od zakrystji, dwoje pacholąt weszło, poprzedzając biskupa, przed którym krzyż i księgę niesiono.

Stanisław ze Szczepanowa szedł blady, uroczystą obleczony powagą, modląc się pocichu. Za nim długim szeregiem postępowali kapłani, idąc po dwu, w kapłach, ze świecami w rękę, z głowy pospuszczanemi ku ziemi; szli, nie patrząc na lud, jakby pogrążeni w smutku czy w modlitwie, szli aż przed ołtarz, ustawili się zwolna po sześciu z każdej strony przy pasterzu swym, który zajął miejsce na stopniach wielkiego ołtarza.

W tej chwili wcisnął się niewidzialny, samowtór do zamku powracający, jakimś przeczuciem wiedziony na głos dzwonu żałobny — mężczyzna obwinięty opończą ciemną; kilku ludzi, co go na zamku widzieli, poznawali w nim brata królewskiego, Władysława, i rękami go sobie ukazywać zaczęli.

Ustępowano mu z drogi, lecz ksiązę cofnął się i szukał sobie niespokojnie miejsca w kruchcie, gdzieby mógł pozostać niepostrzeżony. Trwożyło go widocznie, iż był poznaczonym, osłaniał twarz, szukał ciemnego kąta i towarzyszącemu kazał się zakrywać od napaści ciekawych oczu. — Dzwon bił ciągle zwolna w jedną stronę, żałobną jakąś przerywaną nutą, jak łkanie człowieka.

Uciszył się szmer tłumu; biskup laską potrzykroć uderzył o stopnie ołtarza, i księgę otwartą, czytać się z niej zdał cichą modlitwę, zwrócił się potem ku ołtarzowi i zanucił posępnym grobowym głosem psalm *Deus laudem meam...*

Duchowieństwo śpiewało go z nim razem, a śpiew był dziwny i przejmujący. Też słowa, pieśń taż sama wcale inaczej brzmiały w inszej porze, teraz w śpiewie czuć było ból, wahanie się, lament duszy i trwo-

gę... Niektórzy z duchownych ocierali oczy, głosu im brakło...

Dzwon bił żałośnie, jak za umarłych. Miał ten obrząd, którego znaczenia lud nie rozumiał, coś strasznego w sobie, nie przewidywał końca, a jednak czuł w nim jakąś groźną potęgę...

Pieśń się skończyła i chwilę trwała cisza; biskup z księgą od ołtarza odwrócił się ku ludowi. Twarz jego była straszna, jak sędziego, który miał wydać wyrok śmierci. Zdala nawet stojący, czytali w niej groźbę i mimowolnie ścisnęli się i cofali ku głębi... Wszystek lud niemal instynktowo zbił się w kruchcie... Biskup głosem podniesionym, uroczystym, piorunującym czytać począł:

„Wyklęty jest Bolesław, Kazimirzów syn, król — ze wszystkimi współnikami i doradcami swoimi, ze wszystkimi, co mu pomoc nieśli, którzy mu radę dawali, którzy cieszyli się tem, co czynił, którzy wiedzieli o uczynkach jego, a nie powstrzymywali go od nich i nie głosili ich za bezecne.

Przeklęty niech będzie Bolesław w domu swoim, na dworze, przeklęty w grodzie, w mieście, i na roli; przeklęty niech będzie, gdy siedzi, stoi, gdy je i pije, — gdy pracuje i usypia; przeklętym niech będzie tak, aby w nim zdrowego członka nie było, od wierzchu głowy aż do podnóża stóp jego; niech wypłyną zeń wnętrzności jego, a ciało niech robactwo roztoczy. Niech będzie przeklęty z Ananjaszem i z Zafirą, niech będzie przeklęty z Judaszem zdrajcą, niech będzie przeklęty z Abironem i z Datanem, których ziemia żywych pożarła, niech będzie przeklęty z Kainem bratobójcą. Mieszkanie jego niech się stanie spustoszone, niech będzie wymazany z księgi żyjących i ze sprawiedliwymi niechaj pisanym nie będzie; a pamiątka jego niechaj przepadnie i szczeźnie na wieki.

Niech na sądzie ostatecznym przeklęty będzie z djabłem i anioły jego i na wieki niech ginie, jeśli się nie upamięta!”

Straszne te wyrazy biskup wymawiał powoli, głos

jego rosł raz z ich znaczeniem i potęgą. a skończywszy, świecę, którą trzymał w ręku, cisnął przed siebie na ziemię!

W tejże chwili duchowieństwo, otaczające go dookoła, zaczęło rzucać świece, wołając głosem donośnym:

— Amen! — Amen! — fiat! — fiat!

Łoskot tych świec, padających na posadzkę kościelną, zabrzmiał jakby piorun leciał z nieba... lud się cofnął. W kruchcie pomiędzy gromadą z kąta dał się słyszeć krzyk straszliwy, bolesny i hałas, jakby upadającego ciała na ziemię.

Wszystkie oczy zwróciły się ku miejscu, gdzie kupka ludzi gromadziła się około omdlałego człowieka, którego starano się ocucić.

W ciemności coraz większej pogrążał się kościółek: na podłodze tylko rzucone świece, dymiąc, dogorywały. Biskup stał jeszcze czas jakiś nad straszną księgą, z której klątwę przeczytał, dał znak, aby ją zamknąć i pokłękłszy przed ołtarzem, krokiem poważnym, wiodąc za sobą duchowieństwo, nazad do zakrystji powrócił.

Dokonało się, co zapowiedzianem było!

Obrzęd ten byłby może zgromadzonemu ludowi niezrozumiałym pozostał, gdyby dwaj klerycy postawieni u wniścia do kruchty, przy kropielnicy i przeciwnieglým filarze, słowo po słowie nie wykładali znaczenia każdego powolnie wymówionego wyrazu.

Zaledwie biskup znikł, gdy płacze, jęki i krzyki bóleści a strachu rozległy się wpośród tłumu. Trwoga padła na wszystkich. Jedni rzucili się, chcąc uciekać z kościoła, drudzy, szlochając, padli na kolana i kładli się na ziemię krzyżem... Zdało się im, że z królem całe państwo wyklęte zostało, że, jak burza, klątwa zamąci kraj i zniszczy go, a w popiół i zgłiszczą obróci.

Dzwon jeszcze ciągle pogrzebowym swym odzywał się głosem.

Krzyk i płacz, które się z kościoła słyszeć dawały,



zaczęły u drzwi jego ściągać przechodniów, mieszczan, ziemian, lud prosty...

Od bliższych kościoła miejsc i domostw straszna nowina, niosąc trwogę niewysłowioną, jak pożar, szła, szerząc się coraz dalej.

Z ust do ust lud podawał sobie.

— Król został wyklęty!... Nie mamy króla!...

Wyrazy te, których znaczenie i skutek dla większej części gminu obce były, zamykały w sobie tajemnicę pełną grózb, siłę jakąś, której nikt rozmierzyć nie umiał, co ją tem straszniejszą czyniło.

Niektórzy rozpowiadali, płacząc, iż siła klątwy ciążyła nie tylko nad głową winowajcy, ale nad wszystkimi ziemianami jego, wszystkim, co z nim w jakimkolwiek było związku, co go dotykało, co mu służyło, co go słuchało. Każda piędź ziemi jego stopą dotknięta, przekłeta być miała z nim razem... Zajałowić miały pola, pomór wszystkie żywe wybić istoty, studnie wyschnąć, rzeki z brzegów wyjść miały i zalać osady, ogień paść z niebios, ziemia otworzyć wnętrzości swe dla pożarcia wyklętych...

Mdlały niewiasty, tuląc do piersi niemowlęta; ludzie twarzą na ziemię padali i z płaczu ryczeli, taką trwogą dnia ostatecznego brzmiała dla ludu ta klątwa niesiona po grodzie, przedmieściach i sąsiednich siołach. Jęcząc i płacząc, podawali ją sobie, rozbiegli na gościńcach ludzie. Tłumy gromadziły się coraz większe, mimo ciemności, oblegając kościół i mieszkanie biskupa; kładli się, strwożeni, na stopniach zamkniętej świątyni, szukając przytułku, łkając i zawodząc jękami.

Nikt nie śmiał wnijść do domostwa, aby dach nie padł mu na głowę; oglądano się z trwogą na niebiosy czarne, w których głębinie spokojnie, cicho po burzy dziennej, jakby obmyte, świeciły jasno gwiazdy błyszczące.

Noe już była, gdy król, ze złych łowów wracając, z wesołą gromadą swoją zjawił się u stóp Wawelu,

gdzie zalegały jeszcze tłumy owe płaczące i rozwodzące jęki i żale.

Samo spojrzenie na to nocne, niezwykcyjne zbiorowisko ludu coś strasznego zwiastowało. Król ubodł konia, chcąc sam się spytać stojących bliżej, co się to działo, gdy na widok jego krzyk straszliwy rozległ się wpośród gromad; czarne te masy poruszyły się nagle, ścisnęły, rozproszyły i z jękiem a wrzaskiem zaczęły się trwożliwie rozbiegać na wszystkie strony.

Posłuszni panu Boleszczyce na skinienie jego, na próżno puścili się gonić za uchodzącymi; każdy, chroniąc się od zetknięcia z nimi, biegł i krył się — przeskakiwano płoty i rowy, chowano się do dołów, zamknięto po domach, bo powiedziano im było, że jedno z wyklętymi zamienione słowo mogło klątwę przenieść na głowę każdego człowieka...

Popłoch rozległ się daleko po mieście, przedmieściu i polach.

Król, i ci co z nim byli, długo nie zrozumieć nie mogli, ale dwornię ogarniała też zaraźliwa trwoga, przeczucie jakiegoś nieszczęścia, które wszystkich dotknąć musiało.

Rozbiegający się tłum zdala ryczał i jęczał naokół, gdziekolwiek oko i ucho sięgało. Niewidzialną siłą przeniesiona trwoga szerzyła się, rosła, potężniała i jednym jękiem boleści napełniała powietrze...

Wśród ciemności nocnych i ciszy ryk ten całego ludu miał w sobie coś tak przerażającego, iż król, co się nigdy nie uląkł niczego, uczuł dreszcz, przebiegający mu po skórze i włosy pnące się do góry.

Jedno tylko przyszło mu na myśl, że wróg jakiś napaść mógł gród jego, że trzeba było zbierać się, zbroić i bronić. Czesi i Niemcy stawali mu na oczach; ręką ściągnął po mieczu i z ust dobyło się przekleństwo.

Spiął konia wściekle, cwałem puszczając się ku górze na zamek. Tu w podwórcach stały kupami rozplakane niewiasty, potrwożona czeladź. Rozbite było wszystko, w bezładzie, łzach i jękach. Widok króla i tu wywarł ten sam, co na tłumach skutek, — spostrzegł-

szy go, pierzchło wszystko, co żyło, niewiasty rzucały się na ziemię i podwoiły krzyki bóleści.

Boleszczyce skoczyli z koni, otaczając pana, który już zsiadł i gniewny kroczył do dworu swojego. Twarz jego pałała gniewem, oczy ciskały pioruny.

Pierwszemi postaciami, które tu ujrzał tulące się u ściany, były zgrzybiała matka w osłupieniu stojąca nad omdlałą żoną jego, którą, rozplakane dziecko, Mieszek, klęcząc, w martwe blade lica i po rękach skostniałych całował... Tuż stał napół obłąkany Władysław, który, na widok brata wpadającego z gniewem, mimowolnie się cofnął. Wszyscy ludzie uciekali od niego!

Wśród tego rozbicia i popłochu Bolesław stał chwilę, niepewien jeszcze co pocznie, rękę drgającą trzymał na mieczu i cisnął nią rękojęść jego.

Wzrokiem mierzył tłumy, biegał po twarzach, usiłując śmiać się, lecz usta ciągle mu się do pogańskich przekleństw ścigały. Gromadka tylko Boleszczyców, choć strwożona także, stała przy nim, zdając się oczekiwać na rozkazy, gdy, zmierzwszy ich oczyma, król nagle się zawrócił i wszedł sam do dworca swojego.

Nikt mu nie dał słowa strasznej zagadki, ale ono było w powietrzu: Bolesław wiedział, że padła nań klątwa biskupia. W podwórzu stały kupy zebrane, niepewne, co z sobą czynić miały. Trwożliwsi już chcieli z zamku uchodzić, rzucając nawet w nim, co mieli; inni bładzili, wahając się, nie śmiejąc, ani odejść, ani chcąc pozostać: ręce łamali w rozpaczyl!

We drzwiach swoich z rozpuszczonemi włosami, blada, z rękami załamanemi stała Krysta, bez tchu, napół omdlała, sama jedna, opuszczona, to się zanosząc od płaczu, to ręce i głowę tuląc do ściany, to oczyma obłąkanemi mierząc groźny tłum, który dokoła snuł się i dworce oblegał. Sługi jej siedziały na ziemi i zawodziły, rwąc włosy, jak płaczki pogrzebowe.

Nielad na całym grodzie zwiększał się coraz, rozpręgało się wszystko, brakło ludzi; ci, co byli, głowy tracili, nikt rozkazów nie słuchał, mało kto śmiał je wydawać.

Wypuścił ktoś ulubioną klacz królewską, lub sama się z klatki wyrwała i nawykła do swojego pana, podbiegła pod okna dworca, gdzie ją chlebem karmiono i rżała głośno, jakby boleć chciała z innymi. Psy podwórzowe, jękami ludzkiemi podrażnione, przerażliwie wyły.

Długo król z izby nie wychodził. Późno w noc, — znużenie samo nieco spokoju sprowadziło; rozchodzili się po kątach ludzie, poukrywali, pokładli — dworzec stał ciemny, pusty i jakby wyludniony. Tylko drużyna królewska w izbie swej siedziała niema i wyłękła, czekając na skinienie pana, któremu wierną została.

Straże u drzwi trwały na zwykłych miejscach. Król nie zawołał nikogo. O drugich kurach wyszedł sam z izby, w której leżał.

Z włosami rozrzuconemi, w jednej sukni wysunął się z sypialni, stojącego u drzwi pominął, nie mówiąc słowa i wolnym krokiem puścił się, jak na przechadzkę, w podwórcę.

Nikt nie śmiał doń przemówić, gniewu się obawiając, — on ani spojrział na nikogo.

W izbie mu było duszno, szukał powietrza, aby odetchnąć. Przez puste podwórcza poszedł tak sam, psy tylko wierne ciągnęły za nim, to podbiegając, to stojąc, jak niepewne, czy mu towarzyszyć miały. Król szedł, nie wiedząc dokąd i dlaczego, szedł, aby iść, aby się poruszać, by oddychać i w miejscu nie skostnieć i nie zdrętwieć.

Noc była ciemna, ale na tle jej rozeznać było można budowy zamkowe, które stały jak uśpione w mrokach. Znużony pochodem gwałtownym a bez celu, król kilka razy obiegłszy dziedzińce, stanął wreszcie i podniósł oczy, aby dostrzec, gdzie się znajdował.

Przed sobą rozpoznał kościół i drzwi, które z rozkazu jego wyłamali służalcy. Podwoje już dźwignięte, stały w miejscu zaparte, ale widać było na nich jaśniejące ślady włamania świeżego na szerniałem

drzewie nawet wśród mroku łatwo dające się rozemnać.

Były to świeże rany na ciele świątyni.

Król podniósł na nie oczy, wlepił je i pozostał tak, ręce złożywszy, naprzeciw żelazem okutych podwojów w myślach jakichś zagłębiony.

O te drzwi, zaparte, pokaleczone miała się rozbić cała siła jego i potęga. Obalił je — powstały, stanęły i znowu, żelaznemi obręczami ujęte, zamykały mu drogę!

Nie mogąc od nich oczu oderwać, król długo pozostał tak niemy, gniewny, prawie nieprzytomny. On, co wielkiego swego imiennika chciał naśladować i prześcignąć, wspomniawszy jego Szczerbiec i Złotą Bramę i tamte wojny i swoje. Jeszcze mu doń było daleko! Tu jeden człowiek stał przeciw niemu, śmiał mu wydawać wojnę i uragać się jego potędze! Miałżeby to ścierpieć ten, co rozdawał korony i na tronach osadzał?

Dniało już, gdy król na zamek wolnym krokiem raczej znużony, niż uspokojony powrócił.

Ludzie budzili się tu teraz, ze wspomnieniem wczorajszej trwogi wstając i z przestachem wychodząc przeciw sobie, jakby ta noc zmieniła wszystko i nowych stworzyła ludzi. Patrzali sobie w oczy milczący, niepewni, wahający się, powątpiewając, czy życie wczorajsze na nowo się mogło rozpocząć.

Wielu bojaźliwszych z wieczora już dwór opuściło ukradkiem, inni powymykali się z rana.

O zwykłej godzinie jednak usłyszano na Skałce dzwonek, wołający na mszę świętą. Na zamku kościół pozostał niemy i zaparty.

Służba czekała rozkazów.

Później niż innych dni król na nią zawołał. Bole-szczyce wszyscy i dworska czeladź znalazła się na miejscach zwyczajnych. Gdy weszli znaleźli go już odzianym i zbrojnym, z twarzą groźną, bladą, a wielką mocą sobą, jakby uspokojoną. Wnet posypały się

rozkazy i pytania, jak dni powszednich, ani słowa o wczorajszem wzburzeniu i trwodze.

Wczorajszego dnia, wracając, król w drodze dał rozporządzenie na nowe łowy w okolicy; powtórzył je teraz, nakazując, by natychmiast wszystko było wpogotowiu do ciągnięcia w lasy.

Brat Władysław jechać miał z nim razem — wysłano po konie, sokolników i pisarzy. Borzywój poszedł do izb, w których Władysław stał gospodą, lecz mieszkanie znalazł puste, ksiązę ze dworem całym nocą jeszcze ujechał pocichu.

Nie śmiano nawet o tem zwiastować królowi. Zobaczywszy Borzywoja powracającego niemo, domyślił się może i nie zapytał raz wtóry. Na wychodnem tylko sam jeszcze zboczył ku komorom książęcym, drzwi rozwarł, zajrzał w pustkę, w której tylko rozrzucone leżały posłania, uśmiechnął się dziko i, słowa nie mówiąc, poszedł ku koniom, które nań w podwórzu czekały. Był nie swój; — śmiejąc się, zagadywał do drużyny, hałaśliwie, krzycząco kilka razy na głos się odezwał, wydając rozkazy, oczyma powiódł po zamku, który i teraz wydawał się straszliwie pustym i oniemiałym, — konia spiął i pierwszy puścił się drogą z zamku wiodącą ku Wiśle. Miano się przeprawić przez nią i puścić w lasy sąsiednie.

Dzień był jasny i piękny, niebo pogodne lekkimi białemi zasiane chmurkami, wiosenne wesele wiało w powietrzu; — porankowy ten świat, na którego licu żadnej zmiany widać nie było, na wszystkich strwożonych wczoraj podziałął uspokajająco; i królowi też męstwo a buta zwykła wracała.

To, co się wczoraj stało, wydawało się jakby snem, zmorą jakąś gorączkową, marzeniem i ułudą, Bóg nie przestał być łaskaw na ziemię!

Na przedmieściach nie widać było ani ruchu wielkiego, ani nadzwyczajnego nic; życie zdawało się znowu płynąć dawnem swoim korytem.

— Widzicie! — odezwał się Borzywój do Dobrogosta, jadąc za królem, — widzicie, nic się nie stało!



Nie się nie stanie. Tchórze od nas — pierzchnęli, — ze wstydem wróca, a że tam klecha jakiś zuchwały króla się ośmielił publicznie kłąć, czy to Pan Bóg ma zaraz tego słuchać. Toć to przecież król, namaszczoney i koronowany pan!... Z nim niełatwo, a klesze damy naukę!

Dobrogost nie miał tej odwagi co brat; popatrzał nań, głową pokiwał i rzekł, niby z innej beczki poczynając.

— Co to nam na dworze ludzi wczoraj ubyło? Mnie się zdaje, że z polowania powróciwszy, znowu się ich dużo nie doliczymy. Jak tak dalej pójdzie, to kto wkońcu przy królu zostanie?

— My! — odparł rześko Borzywój — my! Kto chce iść, niech rusza — obejdziemy się bez niego! — Niech się tylko oglądają dobrze za siebie, bo im król tego płazem nie puści. Ja go lepiej znam, niż ty. Widziałeś, jak się dziś na głos śmiał i krzyczał, jak wesół był — wówczas on najgorszy, kiedy tak dokazuje. Nie chciałbym być w skórze tych, co mu teraz zawinią.

Dobrogost milczał.

O kilkaset kroków za promem i Wisłą na drodze spostrzegli orszak: byli to władcy i ziemianie, udający się w gromadzie znacznej do Krakowa.

Zrazu jechali gościńcem wprost na orszak królewski, lecz gdy się zbliżyli i mogli w nim poznać Bolesława, widać było, jak się strzymali, zbili w kupkę strwożeni, niepewni, co począć mieli, a potem nagle w lewo wąską drożyną puścili się na pola, aby uniknąć z królem spotkania.

Było to widocznem i do zrozumienia łatwem. Król się odwrócił do swoich i na Borzywoja skinął.

— Naprzętaj jedź! — zawołał zburzonym od gniewu głosem — jedź i patrz mi, którzy to są!

— Miłościwy panie — odezwał się Borzywój — nie potrzebuję poto jechać, aby ich poznać. Po zbroid koniach i postawie stąd ich już widzę. — Leliwa, Kruk i Brzechwa z czeladzią.

Król wybuchnął śmiechem szorstkiem.

— Jada do biskupa, przyjaciela swego, na radę. Niechajże dobrze radzą, bo im i jemu niewiele czasu zostało.

Pomimo tego szyderstwa i lekceważenia wzburzony był król mocno, niepewien siebie; zrazu wzgardliwie pominął oddalających się, potem zawahał się, stanął, chciał ich ku sobie powołać i, podjechawszy kawalek drogą, kazał w róg zatrąbić, aby ich ku niemu zwrócono.

Dano znak... Jadący się zatrzymali, zdawali narażać między sobą, a gdy król gwałtownym ruchem ręki sam ich ku sobie wołać zaczął, czeladź w polu zostawiwszy, podjechali samotnie.

Leliwa, Kruk i Brzechwa wszyscy szyki mieli na głowach i nie myśleli ich uchylać przed królem. Zbliżywszy się ku niemu, na pół stajania zatrzymali konie i dalej nie postępowali.

Tedy król sam jeden, czeladzi swej kazawszy w miejscu pozostać, poskoczył ku nim. Natarł na nich, mierzając groźnie oczyma; ci, nieporuszeni, stali na koniach, nie zsiadając z nich i zwyklej czci mu nie oddając.

Król znał ich wszystkich bardzo dobrze, niemniej zapytał:

— Coście za jedni!

Leliwa po namyśle rzekł:

— Ojczyce tej ziemi jesteśmy, jam Leliwa, a oto Kruk, który cześnikiem był u nieboszczyka pana, a to Brzechwa.

— Azali mnie nie znacie? — krzyknął król.

— Znaliśmy wczoraj — odezwał się śmiało Leliwa. — A no dziś cię nie znamy.

— Chcecie, abym się ja wam dał znać?

— Gotowiśmy na wszystko — mruknął Kruk.

Król patrzył, milcząc, jakby nie wiedział, co powiedzieć miał.

— Przecz-że mnie znać nie chcecie? — krzyknął groźnie.

Leliwa chwilę się namyślał, inni też nie odzywali się, jemu głos zostawując.

— Bo wy matki swej znać nie chcecie — rzekł powoli.

— Jakiej matki?

— Kościoła świętego i sług jego — mówił Leliwa. Król szydersko na nich spozierał.

— Tak was klechy nauczyły — zawołał — a ja klechów i was nauczę posłuszeństwa dla ojca! Jam ojciec wasz, matka idzie nie przed a za ojcem w małżeństwie. Rozumiecie!!

Władcy milczeli.

Król miał widać na duszy wiele, bo, choć zwykle nierad rozmawiał, teraz rozmowę przedłużał namiętnie.

— A wam co do mojej kłótni z tym klechą? co wam do kościelnej sprawy! Wasza powinność ziemiańska nie klesza. Słyszycie!

Leliwa znowu pomilczawszy, rzekł poważnie:

— Myśmy nie poganie, chrzest święty przyjęliśmy, a na nim posłuszeństwo kościołowi przysięgali.

— A mnieście to posłuszeństwa nie winni?

— Kto pod klątwą kościelną jest — odezwał się Leliwa — ten rozkazywać niema prawa.

Rzekł to z zimną krwią i powagą wielką, przeciw której król nie miał co postawić oprócz śmiechu swojego, ale oczy mu pobłyskiwały jak u zwierzęcia dzikiego, i trzymał się za pas u miecza, jakby go chciał dobywać.

— Precz! Won mi z oczów, chcecie lby mieć całe! — wrzasnął — won! klecha za siebie i za was odpłaci, bo on was głupich wiedzie do nieposłuchu, — precz!

Ręką wskazał w stronę.

Leliwa, Kruk i Brzechwa zwolna poczęli konie zawracać i, ani głowami nie kiwnąwszy, odjechali, nie oglądając się na niego. Król, jak stał, w miejscu pozostał chwilę jeszcze, oczyma ich ścigając, potem konia spiąwszy, w cwał ruszył dalej, a cały dwór puścił się i gnał za nim pędem.

Pomijając ziemian, Bolesławyce podnieśli tylko ręce groźno, ukazali im pięście, a niektórzy nawet obnażone miecze. Garstka ziemian nieulekniona podniosła dłonie i dobyła żelaza. Tak, łaząc się nawzajem i bezczeszcząc, mingli, a król pędził dalej.

Na zamku po wyjeździe królewskim cicho było. W komnatach dwu królowych, jak wczoraj płacz ciągły i modlitwy. Babka i matka tulły przerażonego Mieszka, któremu wytłumaczyć nie śmiały i nie mogły, co się stało, ani wyjawić, co groziło. Obie powtarzały, że ani w Kijowie, ni na Rusi nigdyby takich dni nie przeżywały. Z rana wysłała królowa dworzanina do księdza staruszka, który zwykle u niej modlitwy odprawiał i nauczał religij królewicza. Ale z rana nie znaleźli go nigdzie i nie wiadano, gdzie się znajdował.

Był to benedyktyn, młody już podeszłego wieku. Włoch, który z pierwocymi jeszcze księżmi w Tyńcu się osiedził, a po zburzeniu klasztoru za Masławowskich czasów schronił się do Krakowa.

Staruszek wyuczył się był języka i dawnoby napowrót przyłączył się do swej braci, którą Kazimierz do Tyńca znowu sprowadził, a Bolesław sam osadził w Mogilnie, gdyby królowa, nawykła doń, dla syna go nie zatrzymała.

Obey krajowi, w którym długie i ciężkie przebył lata, zatopiony w modlitwie, a zarazem kunsztmistrz, bo obrazy świętych na cześć i chwałę Bożą do kościołów przedziwnie malować umiał, ojciec Otton siedział na zamku odosobniony, nasze o świecie poxcichu odprawiał w kościele, godzin kilka trawił przy małym Mieszku, zresztą z duchowieństwem nawet nieczęste stosunki miewał. Biskupa widywał tylko rzadko, znał go mało i nie narzucał mu się wcale.

Szukano teraz o. Ottona po całym dworze, długo znaleźć nie mogąc. Izba jego, nie zamknięta, nie była jeszcze opróżnioną: stały w niej słocane deski, na których malował, skorupki z farbami i pędzle, leżały porozkładane pergaminy i księgi: nie nie zwiastowała, ażeby się już wyniósł z zamku na zawsze. Naostatkiem

którego Boleszczyce z małym orszakiem na drodze spotkali.

Zwołano radę, jakby ów stary wiec, który wprzód wiciami rozsyłanemi gromadzono, ale potajemnie i cicho. Teraz już wiele tych starych obyczajów porzucono, nie godziły się już one z nowym ładem i składem. Gromady nie miały głosu, jak bywało. Od czasów Mieszka panowie knezie a królowie; oni tylko sami zwoływać wiece mieli prawo, a szli na nie ci, których pozwano i przypuszczono, kogo pan zażądał.

Pod żelazną dłonią Chrobrego ziemianie i rycerstwo starych swych praw wyrzec się i zapomnieć musieli; nikt do nich odwołać się nie śmiał, choć żyły jeszcze w starych ludzi pamięci. Gdy potem Mieszko, Bolesławów syn, z Ryksą objęli rządy, podniosła nieco głowę dawna swoboda słowiańska, ale się to nieładem, burzą i zniszczeniem skończyło. Za Kazimierza wrócił dawny królewski porządek i posłuszeństwo, a gdy po nim objął rycerskiego ducha Bolko Szczodry, nikomu też z sobą władzy dzielić nie dawał.

Od początku niemal panowania — wojował bezustanku, rycerstwo wodził za sobą to do Węgier, to na Ruś, spoczywać mu nie dając. Ziemian innych znać nie chciał, oprócz tych, co mu służyli. Głowy podnosić zbyt wysoko nie pozwolił nikomu.

Urodzony z matki Rusinki Dobrogniewy, ożeniony z ruską księżniczką, z Rusią związany i ciągłemi wojny i brataniem, Bolko krajem rządził jak wojak, jak wódz i pan, a u siebie doma tak chciał mieć, jak w zawojowanym kraju i jak bywało na kijowskiej Rusi. Musiało mu służyć na skinienie wojsko, ziemianie, lud, nawet duchowieństwo, które on sam sadzał na biskupich stolicach i chciał je mieć sobie posłusznem. Wołał przeto polskich mieć biskupów, niż Włochów i Francuzów, których mu z Rzymu stręczono.

Piętnastu biskupów polskich otaczało tron Bolesława Szczodrego, w czasie koronacji jego w Gnieźnie; — byli to jakby piętnastu wojewodów potężnego zastępu,

Królowa powtórzyła te wyrazy, ręce podnosząc do góry.

— Ale król mój, Bolesław, nigdy tego nie uczynił!

— Mnich westchnął tylko...

Wielisława, płacząc, wsparła się na stole i milczała, bo łązy jej mówić nie dawały.

— Opuszczają nas wszyscy! — rzekła wkońcu. — Zechcecież i wy opuścić nas, Mieszka, któremuście byli ojcem duchownym?

O. Otton dłonią drżącą powiódł po czole, na które zimny pot występował.

— A! miłościwa pani! — odezwał się. — Ja jako duchowny, jako zakonnik biedny, starszym moim winieniem posłuszeństwo ślepe. — Gdzie mi każą, tam pójdę — nie wińcie mnie.

Królowa znowu mocniej płakać zaczęła.

— Być-że to może — mówiła — aby ten biskup dla króla, dla nas był tak okrutnym i zawziętym... by wymagał od pana swojego takiego upokorzenia? — a gdybym ja poszła doń, ja, królowa z dzieckiem królewskim, z matką królewską i starała się skruszyć serce jego?

Zakonnik głową potrząsł.

— Nie pomogłoby to nic — odezwał się — bo nie od was, coście nic nie przewinili, ale od króla biskup wymaga skruchy, pokuty i poprawy. Miłościwa pani, padnijcie raczej do nóg królowi, panu swojemu, niechaj on zmiłuje się nad sobą, nad wami, nad dziećciem i nad tą ziemią całą.

Królowa stała długo, zwiesiwszy głowę, spuściwszy ręce załamane.

— A, ja! ja! — rzekła upokorzona — cóż ja mogę, ja niewolnica i sługa, choć małżonka. Mnie pan mój nierad słuchał nigdy, a dziś, dziśby mnie popchnął nogą! Nie jestto niewiasty dzieło... Ojczel! ojczel! radźcie mi inaczej, radźcie i duszy mojej i dziecku jedynemu.

O. Otton, którego głos królowej przejmował, któremu żal było jej i dziecka niewinnego, namyślać się począł i nierychło odezwał nieśmiało.



— Jam też mnich, a w kościele Bożym sługa miżerny — modlić się umiem i słuchać — na radę mi doświadczenia zbywa. Wiemże ja co czynić? Chyba jedno, dziecię zabrawszy, z niem uchodzić do rodziny swej, na Ruś, opuścić króla, aby duszy nie zgubić i niewinnego syna ocalić.

Królowa, usłyszawszy to, wielkim głosem, przerażona, krzyknęła.

— Ja! jabym go opuścił miała, teraz właśnie, gdy nieszczęśliwym jest? ja? — A! nie! — nigdy ojciec, mój Bóg na niebie miłosierniejszym jest od biskupa; Bóg żonie i służebnicy nie poczyta za grzech, iż pozostała wierną ślubom swoim!... Ja — opuścić go! — a dziecko niewinne możeż zgrzeszyć, że przy ojcu pozostanie? Ja z nim rozstać się też nie mogę. A, nie, nigdy! — płacząc, powtarzała królowa — niech się wola Boża stanie nad nami!

Ojciec Otton stał, łamiąc ręce, łzy mu ciekły po twarzy.

— Dziecięcia żal — rzekł. — Niezbadane są wyroki Boże, a pismo mówi, iż za grzechy ojców na pokoleniach przyszłych Bóg mścić się będzie. Dziecię... począł zcicha, lecz, zobaczywszy płacz królowej, zatrzymał się i umilkł, głowę spuścił, sam pot i łzy ocierał.

Wielisława szlochała, płacząc, padła na siedzenie swoje, a Mieszko, usłyszawszy ją, zachodzącą się, wbiegł niewołany wprost do matki, uwiesił się jej na szyi, a łzami do płaczu pobudzony, razem całować ją i łkać począł.

Płakali tak wszyscy, bo słów im brakło. Otton chciał królowę pożegnać, a nie miał odwagi powiedzieć, że ostatni raz próg ten przestąpił. Stał u drzwi niecierpliwy, zapominając o rozkazie, który mu natychmiast opuścić dwór polecał.

Upłynęła tak chwila bolesna; królowa łzy otarła gwałtownie, syna odprawiła znowu i zbliżyła się jeszcze do staruszka.

Nie szło już jej o siebie, ale o pana i małżon-

ka, którego miłowała opuszczona, przebacząc mu wszystko.

— Ojcze mój — rzekła cicho — powiedz mi, nie tając nic, prawdę całą. Jestli także przeklęty z nim, kto go dotyka, kto z nim żyje, kto go nie opuści i nie zaprze się? Bóg jestli tak okrutnym, kościół tak nieliłościwym?

Mnich zadumał się nieco.

— Miłościwa pani moja — rzekł — jam ubogi zakonnik, jam niewolnikiem w tem królestwie, którego papież i przełożony zakonu naszego królami są, ja nie stoję na tych wysokościach, z których widzi się wszystko. Oczy moje nie sięgają daleko, pod stopy patrzę, rozkazów słucham, nie wiem wiele. Jedno wiem, iż rzezono nam, — opuście go — ja muszę...

— I żona i dziecię! — zawołała królowa.

— Wszystkim rzezono — ciągnął dalej ojciec Otton — opuście go, a to dlatego, aby pychę złamać i zamienić ją w pokorę.

— Ale tego człowieka nie złamie nic — odezwiała się królowa. — On żelazny jest!

— A! pani moja — szepnął mnich. — Żelazo, którego nic nie złamie — rdza zjada.

Umilkła królowa, łzy płynęły po licu białem, nie śmiała się pytać więcej.

— Więc i wy, wy nas rzucicie! — szepnęła raz jeszcze po długim przestanku.

— Rozkaz mi dano — odparł zakonnik i stał milczący.

Zakrywając sobie oczy, Wielisława płakała pocihu, mnich zasmucony, zboląły stał, poruszyć się nie śmiejąc, pocieszać nie mogąc.

Z za zasłony z drugiej izby wyglądał trwożliwie i niespokojnie Mieszek, którego płacz matki wyzywał, a rozkaz jej odsyłał, aby rozmowy nie był świadkiem; wyrwał się powtórnie, przybiegł, obejmując ją rękami, i płakać zaczął z nią razem. Pieszczone dziecię nie pojmowało, co się z matką, z nimi dokoła działo; — w du-

szy obwiniąło może mnicha, że on te łzy wyciskał, spoglądając nań z wymówką i smutkiem.

Starcowi też poruszyło się serce, dłonie drżące wyciągnął ku dziecku i, wezwawszy je, przycisnął do piersi, niespokojnie poczynając szukać czegoś pod suknią.

Miał tam zawieszony, święcony niegdyś w Monte Cassino, otarty o relikwje święte, krzyżyk dany mu z błogosławieństwem. Był to jego skarb największy i jedyny. Wolał się go wyrzec dla siebie, byle nim niewinne dziecię od zemsty niebios zasłonić.

Zdjął drżącemi rękami z piersi ów krzyżyk, wytarłty długiem noszeniem i pocałowaniem, i szepcząc modlitewkę, włożył go na szyję dziecka, kryjąc pod zwierzchnią sukienkę. Nad główką jego zakreślił krzyż święty i uściśnawszy dziecię raz jeszcze, wymknął się od płaczącej pani.

W podwórku, na drodze oczekiwali nań niespokojnie inni z zapytaniem, ale staruszek przelektły, nie odpowiadając im, przemknął się co żywiej i zniknął w zabudowaniach, skąd w godzinę później wyszedł o kiju z małym węzełkiem swoim pod pachą.

Na drodze już zabiegła mu zrozpaczona Krysta z zapłakanemi oczyma, padając przed nim na kolana. Uchwyciła połę jego sukni, chcąc go zatrzymać, pytać, błagać, ale o. Otton, zaledwie ją ujrzał i poznał, szarpnął suknię, wyrwał się przerażony i niemal biegiem dopadł wrót, za którymi zniknął.

Od wczorajszego wieczora Krysta, oprócz Borzywoja, który wpadł na chwilę i Zbiluta, którego sama przywołać kazała, nie widziała nikogo. Król nawet zdawał się o niej zapominać.

Sama, opuszczona, rzucona była na łup czarnym myślom i trwodze. Pierwszy Borzywój opowiedział jej po swojemu o tem, co się stało, a czego ona wcale zrozumieć nie mogła. W dziecięcej głowie jej pomieścić się nie umiało, aby jeden słaby ksiądz mógł potężnemu grozić królowi, który wojsko i siły miał za sobą.

Zbilut i inni przybiegli do niej, przynosząc z sobą gniewy i trwogę; Krysta z początku burzyła się tylko

na zuchwalstwo, lecz widok powszechnego przerażenia i ją nareszcie obawą napełniał.

Tej potęgi jakiejś tajemniczej, której się wszyscy tak bękali, nie mogła dojrzeć, zrozumieć, i dlatego coraz zabobonniejszą trwogą czuła się przejętą.

Chciała koniecznie widzieć króla, sądząc, że go potrafi popchnąć do gwałtownego kroku, któryby tę niepewność zakończył; — czekała nań wieczorem, czekała, nie śpiąc noc całą, widziała go błędzącego w ciemnościach, stojącego pod kościołem — nie przyszedł do niej.

Nie była więc już niczem dla niego, dla nikogo! Dwór, ludzie zapomnieli o niej, odstąpili. Strach i gniew naprzemiany nią miotaly.

Czekała ranka w oknie.

— Przyjdzie z rana! — mówiła sobie, — ale czekała nadaremnie. Widziała, jak król wyjechał na łowy, minął okno jej, nie spojrzawszy w nie, nie zwróciwszy się ku niej, nie pozdrowiwszy zapłakaną.

Krysta padła na posłanie i wypłakiwała piękne oczy. Służba jej nawet niewierna, gdzieś się porozbiegała, nie było jej, nie mogła nawołać, nikt nie słuchał i nie przychodził. Samą ją tak rzucili.

Tak dzień cały spędziła, naprzemiany gniewając się i płacząc. Wody nie było we dzbanku, zapomniano przynieść jadło.

Sama poszła czerpać do studni; nikt, widząc ją, nie odwrócił się, nie zlitował, nie pomógł. Dzień ten był, jak długi wiek; — płakała, dumiała, spała, narzekała sama na siebie, na króla, na dołę swoją.

Niepokoił ją odjazd pana. Cóż się z nim stało i z drużyną? Miałże powrócić, czy może odjechać i opuścić ją na zawsze.

Wieczór tak nadszedł leniwo; wieczór coraz ciemniejszy, a króla nie było. Słuchała w oknie tętentu koni, szelestu, głosów, które zdala poznawać umiała.

Nareszcie u podnóża góry doszła ją jakaś wrzawa. — To on, to pan jechał!

Wybiegła w podsienie, stanęła w koszuli jednej, bo-

sa, z włosami w nieładzie, patrząc w ciemności. Serce jej biło, skronie pękały.

— A! to on, — to on! Poznała go, już nie widząc, wyciągnęła ręce ku niemu, krzyknęła boleśnie. — Koni nie stanęły... Słyszała już brzęk jego miecza, chód jego stopy, dźwięczenie ostrogi złotej — zbliżające się kroki — to on! — I Krysta omdlała zawiesiła mu się na szyi...

Na rękę wniósł ją Bolesław do izby i złożył na posłaniu, głosem, jak burza strasznym, krzycząc na sługi. Z dziewczek żadnej nie było!

Klasnął na swój dwór i kazał służbę za włosy przyciągnąć do pani. W gorączce był tego wieczora, w gorączce łowów i myśli bojujących. Pozostawszy sam z sobą, nabrał znów męstwa, drażniąc się i pobudzając; — czuł się znów silnym.

Orszak, który go otaczał, wojacy jego byli mu posłuszni, z nimi, z tą garścią odważnych, jak on sam, ludzi gotów był rzucić się na tysiące, — nie lękał się już nikogo.

Gdy Krysta po omdleniu otwarła oczy, ujrzała twarz pańską nad sobą; światło się już w izbie paliło, dziewczki strwożone, zapłakane, pobite i pokrwawione, pilno się koło niej krzątały.

Odetchnęła, jakby odrodzona na nowo, po dniu i nocy strasznej męczarni.

Ciemnemi oczyma patrzył na nią król i dumał.

— A! panie mój! królu mój mileńki — wy Krysty swej, wy sługi swojej nie porzucicie, — odezwała się głosem słabym i pieszczotliwym, wyciągając ręce ku niemu. — Wszyscy mnie opuścili wczoraj. Wody, nawet kropli, nie było. Krysta boso sama do studni chodziła...

Król wrzał gniewem.

— Zasiec każę te sługi i psami wyszczuć ze dworu — wołał — podłe suki, którym nigdy wierzyć nie można... Uspokój się Krysta, przepędzę te wiedźmy, znajdziemy inne.

Wstała z posłania blada Krysta, na której twarzy

jeden ten dzień i noc straszne zostawiły ślady — oparła się o pana swego i płakała.

— A! — mówiła cicho — jak to strasznie samą tak zostać, nie mieć nikogo i ginąć trwogą każdą godzinę i umrzeć nie móc nigdy. Królu mój! nie opuszczaj Krysty twojej.

Król już tego wieczora był znowu po dawnemu pełen męstwa, lekceważenia i buty. Śmiał się złośliwie.

— Podły lud! podli ludzie! — wołał. — Rozpuściło się wszystko — nadtom był dobry. Jutro, prędko pokażę im, co mogę! Wniść musi wszystko do ładu, ale się krew poleje! — dodał ciszej.

Na myśl mu przyszło, że za Krystę go właśnie biskup upominał i wyklinał, chciał owszem wobec ludzi pokazać, iż się nie uląkł i zmieniać nic nie myślał. Gdyby jej nie miłował nawet namiętnością tak wielką, byłby na swoim chciał postawić i kochanie jej okazywał... Bolało go opuszczenie Krysty całodzienne, należała się jej płaca za łzy wylane, zawołał więc na Borzywoja, aby czeladź mu wieczerczę niosła do Krysty... aby widzieli wszyscy, że się nie strwożył i nie ustąpił.

Słał po gędźbiarzy, po miód, wino i służbę, po czestników i podkomorzych.

Na skinienie królewskie służba się rozbiegła posłuszna po dawnemu.

Krysta tymczasem pobiegła do komory trefić rozrzucone włosy, suknię wdziac złocistą, piękną wynieść do swojego pana.

Bolesław tymczasem wyszedł w przedsienie do swej drużyny do Boleszczyców, zalecając im, aby było wesoło a huczno; żeby się zamek cały śpiewami, gędźbą i okrzykami rozległ.

Stoły rozkazał powynosić na podwórze, miód i piwo lać w bród i ciągnąć do nich jak najwięcej ludzi; — pić, i śpiewać, i skakać do białego rana.

— Niech biskup słyszy i widzi, że nam dobrej nie odjął myśli, żeśmy głów popiołem nie posypali, a o jego gniewy nie dbamy. Niech drży klecha!

Rozbiegli się natychmiast dworscy, budząc, pędząc,



ściągać lud i hałasem wielkim napełniając podwórcą wszystkie.

Z przybyciem króla jakby czarami zmieniała się zamku postać; w przełękłych wstąpiło męstwo. Ci, co się kryli, powyłazili z kątów, wesołość pańska dodawała im odwagi. Toczono beczki, śmiejąc się i pokrzykując, ustawiano z hukiem stoły, zawodzone krzykliwe pieśni, śmiali się wszyscy, a zwolane trąby i rogi wojenne od czasu do czasu serca dodawały, podpowiadając pieśniom i hukaniom.

Pochodnie powynoszono w podwórcza, ażeby zamek w światłach gorzał zdala, rozpalono stosy łuczywa; Boleszczyce chodzili sami, krzycząc na całe gardło i drugich zmuszając, aby, chcąc czy nie — byli weseli a wrzawy robili jak najwięcej.

W mieście i na przedmieściach ludzie się pobudzili, patrzyli i słuchali.

— Król się weseli — mówili jedni.

— Szatan harce wyprawiał — szeptali, żegnając się, duchowni. Strach i podziwienie ich ogarniało. Król się więc nie uląkł i szydził sobie z biskupa i kościoła?

Kto silniejszym miał być: biskup ze swą klątwą, czy Bolesław z zuchwalstwem i urągowiskiem? Wątpliwość wstępowała w serca.

Biskup siedział na Skałce nad księgami swemi, na rękach oparty, w myślach zatopiony, gdy do niego wpadł kleryk i, przykleknawszy, pocałował go w rękę.

W okno światło biło zdaleka.

— Co to za łuna tak świeci? — spytał biskup.

— Na zamku stosy i pochodnie goreją — rzekł przybyły.

— Co to za wrzaski słyszać?

— Na zamku król wielką wyprawia biesiadę i weseli się — odparł kleryk.

Wstał biskup od pulpitu, otworzył błoniste okno, patrzył i słuchał. Aż tu dochodziła wrzawa i okrzyki dzikie. Posmutniało mu oblicze i oczy niemal zasłży łzami.

— Stań się wola Twoja! — rzekł pocichu.

Zwolna wyszedł aż na próg domu swojego i oczy ku Wawelowi obrócił. Nad górą zamkową wznosiła się łuna krwawa i dymy iskier pełne, buchało z niej światło i lały się pieśni swawolne, pogańskie.

Bolesław na górze, na wałach stał z piersią odsłonią, bo w niej gorzał gniew płomieniem, patrzył w dół ku Skałce; urągał się w ciemnościach zanurzonemu domostwu, które stało otwarte i bezbronne.

— Gdybym chciał, mówił w duchu, dziś, zaraz, skinałbym, zgniótł klechę, w perzynę obrócił tę kleć jego, i wyniósł go na mieczach. Ale nie, niech drży z trwogi, niech czeka... niech godziny liczy! nie ujdzie rąk moich. Zamknę przede mną raz jeszcze drzwi kościoła, ja mu drzwi życia zamknę na wieki. Do Rzymu pošlę bryłę złota. Co im jeden biskup, jeden klecha, poddany mój! Nikt się nie ujmie za niego! Przykład dać trzeba. Dość bezkrwawej walki— do pierwszego spotkania!...

## II.

Nazajutrz po kłątwie rzuconej na króla, wieść o niej biegła od kościoła do kościoła, od wsi do wsi, z ust do ust, piorunem się rozchodząc po kraju całym.

Zdawało się, że ją jakaś niewidzialna siła dźwignęła i na skrzydłach niosła. Ludzie się z nią spotykali na gościńcach, na rzekach płynąc, oracze na łąkach, kosiarze na łakach, przylegała do obcych podróżnych, szła, jak mór, który niesie powietrze.

A od dworu do dworu widziano tych dni jeżdżącego człowieka, na koniu okrytym kawałkiem lichego sukna, w odzieży prostej i odartej, z głową obnażoną, z brodą rozwianą, z włosom rozczochranym, który gnał bez dróg od wsi do wsi, wjechawszy w podwórze, porzucał konia samopas, szedł do dworca do ziemian, stawał przed nimi, wywołał słów kilka gorących i po chwili, nie spoczawszy, siadał znowu na szkapę, jechał dalej.

Stary Odolaj chodził z Okiem i Hyżem po swem

podwórcu w Jakuszowicach, gdy do wrót ten gość edarty zastukał.

A Oko mówił panu:

— Człek jakiś na mizernej szkapie, obdarty, bez szłyka, w sukmanie prostej, zdyszany, dobija się na gwał, posłany być musi chyba od kogoś!

Hyż patrzył dziko ku wrotom.

— Niech go puszcza — rzekł Odolaj.

Otwarto jeźdźcowi, który z konia zaraz zeskoczył. Nim Hyż, który już gotował się biec, mógł się rzucić na niego, odwołał go stary i przy nogach leżeć kazał, a pies legł, mrucząc, posłuszny.

Zbliżał się ów dziwny poseł, daleko śmielej, niż na jego odzież i stan przystało. Suknie miał wyrobnika — a postawę pańską.

Odolaj, posłyszawszy kroki zbliżające się, zawołał:

— Coś zacz? Mów.

— Mścisław z Bużenina — rzekł przybyły śmiało, — ten, któremu król niepoczciwie żonę wziął, któremu dom zesromocił, łożę pokalał, którego uwięził i na urągowisko puścił. Mścisław jestem! ten, do którego krzywdy z innymi i twoje wnuki i prawnuki przyłożyli się, służąc swojemu panu, nie jak rycerze, ale jak podłe niewolniki. Mścisław jestem, który nawołuje do zemsty, do sprawiedliwości. Biskup na króla rzucił klątwę, przeklęty kto z nim, kto mu służy, kto pomaga, kto się o niego ociera. Twój z nim przekłęci, ród twój, krew twoja...

Stary słuchał, ślepemi oczyma patrzeć się zdając na wściekłego i dyszącego gniewem człowieka, któremu wargi wyschłe popękały od gorączki i krwią płynęły, oczy krwią zachodziły, a lice było żółte i czarne.

— Nie bluźń, ty, poganinie jakiś! — krzyknął gniewnie stary — nie bluźnij, plugawcze! Ojcem twym i dziadem mógłbym być, a lat i włosów moich nie uszanujesz — zbój! Dla jednej niewiasty twojej, coś ją trzymać nie umiał, ma się całe królestwo obrócić w perzynę!

— A! niech się w perzynę i zgłiszczce obróci —

krzyknął niezmieszany Mścislaw — niech wszystko przepada! On, i królestwo jego, i wy wszyscy jego wspólnicy.

— Wściekły wilku, nie człecz! — począł w gniewie stary Odolaj. — Któż ci to mówił, że my jego wspólnikami jesteśmy!

I nogą a kijem począł bić o ziemię, trzęsąc się cały. Pies podniósł się, zęby wywarł i ujadać począł, nie mogąc się ruszyć, a że stary go uderzył, — zawył.

— Kto ci mówił, że my jego wspólnikami? — ciągnął Odolaj... — Ja ród mój przekląłem, jeżeli mu służyć będzie, nie podaruję mu, znać ich nie chcę. Zapie-ram się. A co ta nędzna garść znaczy?

— Z garści się korzec sypie — zawołał Mścislaw, nie ochłonawszy — ale twoja garść, stary Odolaju, zostanie wkrótce samą. Jadę od dworu do dworu, wo-łam w imię nie moje, ale jako mi biskup przykazał, aby od niego precz szli wszyscy — precz! — słyszyciel! I odstąpią go, muszą, wszyscy, krom waszych. Srom wam, hańba, stary! Srom i hańba na ród!

Odolaj drżał z gniewu.

— Gdybym oczy miał, dawnobyś ty dłoń moją poznał — zakrzyczał.

Mścislaw się zaśmiał, Hyż zawarczał.

— Przybyłeś mi się tu uragać na moich śmieciach? — zawołał Odolaj.

— Nie — rzekł pan z Bużenina, ja ci przyszedłem oznajmić, abyś posłał po nich i ratował siebie i ich. Mam litość nad twemi włosami siwemi — ale nad ich krwią nie mam litości. Ślij do nich przykazem, zaraz...

Stary głową trząść począł.

— Tak — rzekł — poślę; a ty tu legnij mi, leż i czekaj, ażebyś był świadkiem, co im rzeknę.

— Ja? leżeć? czekać? — rozśmiał się Mścislaw — a maszże ty taką siłę, coby mnie przykuła choć na pół dnia do ziemi. — Ja muszę jechać, wołać, budzić. — Gore! Aby wszyscy szli jako do ognia przeciwko niemu, na niego... Wyklęty jest! Precz z nim! Wyklęty!

Odolaj wstał i począł się zbliżać na głos, idąc ku niemu.

— Niech cię tam słońce niesie i wichry! — krzyknął — jedź, biesie, na złamanie karku; ażebyś mi tu był trzeciego dnia na zaraniu, jeżeli cię лихо nie porwie. Rozumiesz! Trzeciego na zaraniu.

— A czemuż to ja mam twoich rozkazów słuchać? — spytał Mścisław.

— Bom ja stary i ślepy, a tyś wściekły i bezrozumny! — ty — ty, coś się w jednej niewieście do szalu rozmiłował, że ci oczy zabiegły krwią, a serce zemstą. Jedź, jedź, a do trzeciego dnia byś mi tu był — a nie będziesz — bodaj cię wilcy szarpali.

— No, to będę — rzekł Mścisław.

Ani słowa nie mówiąc, szedł zaraz wprost do konia, który się pasł na murawie, głowę mu podniósł, skoczył nań, a gdy siadł, Hyż, nie pytając pana o pozwolenie, nagle się kopnął aż do szkapy, rwąc się jej do pyska i przeprowadzając go szczekaniem zajadłem aż za wrota. Gdy Mścisław już za bramą był, pies ziemię zębami pochwycił i gryźć ją począł ze złości. Stary wcale mu tej zabawki nie wzbraniał.

Oko, stojąc przy starcu, śmiał się pocichu, z psa i ruchami rąk jeszcze go podszczuwał.

— Oko, skocz mi duchem po Kota, — a sam usiadł na wałach i pies zmęczony przyszedł mu się u nóg położyć.

Biegiem poleciało chłopię i natychmiast przywiodło z sobą parobka, który do pana się zbliżywszy, do nóg mu się pokłonił.

— Kot! — zawołał stary. — Konia mi weź zaraz i leć do Krakowa — moich znasz, co tam są?

— Znam, panie.

— Pierwszemu, którego spotkasz, powiedz, że Odolaj dziad przykazuje mu, aby natychmiast konia wziął, nie zważając na nic i do Jakuszowic się stawił.

Ledwie to rzekł, Kot był już napowrót w szopie, sukna kawał na konia rzucił, pędził we wrota i zniknął.

Odolaj tego dnia nie przysiadł, ani spoczął, nogami

staremi całe swe zamczysko schodził wokoło sto razy, a co się położył ze znużenia, to zrywał natychmiast, jakby go co piekło i gnało znowu.

Tyta widząc, że ojciec się zamęcza, przyszła do niego z prośbą, aby wypoczął trochę; ofuknął ją stary:

— Babo ślepsza ode mnie, idź do kąta kądziel praść, co ci do mnie!

Oko chodził za starym, płacząc i drżąc; Hyż wkońcu położył się w pośrodku dziedzińca na trawie i wzrokiem tylko za panem wodził. Tak było tego dnia i drugiego. Nocą wreszcie legł starzec i zasnął mocno, ale nadedniem o brzasku zerwał się znowu i wyszedł.

Czuł, że dzień musiało; — podsłuchiwał czy kto nie jedzie? — Nie było nikogo. Bydło wypędzali dopiero na rosę i stadnina z noclegu powracała.

Stary wdrapał się na sam wału wierzchołek, Hyż nosem ciągnął powietrze i pomrukiwał, jak był zwykły, gdy zdala co poczuł.

— Jada! — rzekł stary.

Widać nie było, słyhać nie było, czuć było!

Zszedł Odolaj, podparłszy się na ramieniu Oka, i potoczył po izbicy, siadł w rogu jej, pies się na swoim barłogu położył — czekali.

Wtem tętnić już i brzęczeć zaczęło na drodze, wrota skrzypnęły, koń zarżał, chód słyhać było żywy i zgrzany, zmęczony, ocierając pot z czoła, wszedł Dobrogost.

Stary z kąta zapytał tylko:

— A który to?

— Dobrogost Mszczujów.

— Hultaje jacyś — począł Odolaj — psy parszywe — co wy sobie myślicie? Czem ja dla was? Kto wy? Gdzie nasza krew? Macie wy ojców? Kogo wy słuchacie?

Dobrogost milczał, czując go rozsierdzonym mocno.

— Z królem trzymacie! — dodał Odolaj.

— Inaczej nie możemy — ośmielił się Dobrogost. — Król pogiębiony i opuszczony.

— I będzie zgębiony na proch, na nic — dodał stary, szczeźnie! Wtem wyrazi mu w gardle zastygły,



znowu tętent koni słyhać było i wrota skrzypnęły, wbiegł człowiek, stanął, a dyszał.

— Otom ci jest, masz mnie.

Oglądał się dokoła obłąkanym wzrokiem.

Stary szepnął:

— Wiem, Mścisław.

On to był, w tej samej odzieży zbrukanej i odartej; czarny, żółty, osmolony, z oczyma palącemi się i usty spiekłemi a krwawemi. Stojąc tak, dojrzał u drzwi ceber z wodą i zamiast czerpakiem jej się napić, oburącz chwycił ceber, do ust go sobie chylać! Pił strasznie, bo mu wewnątrz gorzało.

— Słuchaj, wściekły człecze — odezwał się stary, gdy ceber postawił — oto masz przed sobą zwołanego tu Jastrzębia. Słuchaj, co mu powiem — wypieram się ich wszystkich do nogi, jeżeli przy królu zostaną. Kazałem i rozkazuję precz ze dworu iść.

Mścisław zwrócił się do Dobrogosta.

— Cóż ty? — co?

— Ja mówię dziadowi, że my nie możemy iść — nie pójdziemy — odezwał się Dobrogost nieśmiało. Srom mówicie z królem trzymać, a srom też ze strachu go rzucić, gdy wszyscy idą precz. Starsi nasi postanowili: nie pójdzie żaden z nas teraz, a szyję będzie potrzeba, to damy.

Starzec aż się porwał z kąta.

— Ty padalcze — śmiesz!

— Ubijcie mnie, jeśli wola — odpowiedział spokojnie Dobrogost, — nie mogę rzec inaczej. Wszyscy przy tem stoją, ja się od braci oddzielić nie mogę. Czy Śreniawy zostaną, czy Drużyny dotrzymają — nie wiem, a Jastrzębcy trwać przy nim będą. To nasza powinność.

Mścisław mu plunął pod nogi.

— E! — plemie niewolnicze! — raby, sługi cheralawe! — parobki królewskie.

W tej chwili Dobrogost mu do gardła przyskoczył i ścisnął je tak w silnych rękach, że Mścisław posiniał

cały. Chciał mu się wyrwać, nie mógł. Miotali się, nie mówiąc słowa. Dobrogost dusił go w śmierć.

Stary, posłyszawszy ten ruch, domyślił się, co się stało, i ryknął głosem ogromnym:

— Puść mi go zaraz, bo cię zasiec każę.

— Tobie, dziadzie, wolno zrobić ze mną, co chcesz — krzyknął Dobrogost — ale temu psu, warał

Mścisław, puszczonego ze strasznego uścisku, zatoczył się i upadł na ławę. Oczy jego zbladłe stały nieruchome, wargi mu drżały.

Stary Odolaj stał, kijem bijąc w ziemię.

— Wiesz ty — zawołał do Dobrogosta się zwracając — ktom ja?

— Dziad nasz — rzekł Dobrogost, który ręce krwią nabiegłe ocierał.

— Siwa głowa rodu — poczał Odolaj — ojciec ojców waszych, com wam wszystkim żywot dał, co ma prawo każdemu z was żywot odebrać, bom go nie dał na hańbę, ale na pocziwość.

Dobrogost walką z Mścisławem był rozgorączkowany i zburzony.

— Tak — zawołał — jesteś ojcem ojców naszych, żywot weź, jeśli chcesz, a do podłości nas nie zmuszaj. Podłość, mówicie, takiemu panu służyć, a no gorsza jakiegokolwiek rzucić, gdy ginie; tego i psy nie robią!

Mścisław, odszedłszy nieco, pluł krwią i kłął cicho.

— Czyńcie tak! — rzekł — czyńcie! — A no dobrze! Z nim razem i ze psami jego pójdziecie precz z ziem naszych. Ścierw waszych żaden cmentarz nie przyjmie, wilcy chyba się nad nimi zlitują! — Idźcie z nim! — Idźcie!...

Dobrogost zamiast mu odpowiadać, jakby nie słyszał, co mówił, odezwał się do starego:

— Gdyśmy na dwór do króla przystawali, kto nas tam stał? A no, wy sami, ojcowie i dziady. Pędziliście nas do niego i mówili, wierni mu bądźcie, miłujcie go, szanujcie, służcie mu. Takeśmy uczynili wedle rozkazania. Teraz żądacie znów, byśmy tonącego rzucili i wypowiedzieli służbę, kiedy wszyscy nań biją?

Odolaj mruczał:

— Jaja mędrsze od kur. Jak to się tam nauczyło dworować; — a czyjeż rozkazanie mocniejsze ma być, czy krwi waszej, czy króla?

— Krewże nas własna królowi oddała — rzekł Dobrogost.

— No, to gińcie i przepadajcie z nim razem! — zakrzyczał Mścisław.

— Będziemy stać przy nim i nie zginiemy — zawołał Dobrogost, ośmielając się coraz bardziej. — Garść nas jest, ale król w potrzebie na Ruś zawoła, na Węgry; przyjdą doń. Wszystkich wrogów swoich zgniecie i wytepi. Nie zwyciężyliście jeszcze nas, wy, z klechami waszymi! — dodał, zwracając się do Mścisława.

— Hej! — hej, niecnoto jakiś! — nim mu Węgry przyjdą i Ruś nadciągnie — nogi was tu nie stanien! — krzyknął Mścisław.

— Ano! — odparł obojętnie Dobrogost.

— Wszystkie ziemie i powiaty, i co żyje u nas, przeciw wam — wołał pan z Bużenina.

— Ino z królem lud i gmin! — odparł Dobrogost — a na was ziemian garść i rycerstwa dosyć będzie i tych z pałkami.

Już miało znowu przyjść do łajania, do razów może, gdy Odolaj gwałtownie w tok kijem stukać począł.

— Milcz ty, łobuzie jakiś! — krzyknął.

Dobrogost głowę spuścił, usta zaciąwszy, a Odolaj zwrócił się do Mścisława.

— Otóż masz, widzisz ty, wścieklico — rzekł — że ja rodowi swojemu nie folguję. — Widzisz, com im rozkazywał, słyszysz, co mi te gołowasy gadają. — Jam nie winien.

— Tyś winien — gwałtownie wybuchnął Mścisław — ty i twoi! — Pociście ich dali pookuwać w te dyby? Rzuciliście ich sami w tę kupę gnoju i dziwu-jecie się teraz, że gniją!

Odolaj w pierwszej chwili gniewu kij podniósł do

góry, zamierzył nim, jakby go chciał uderzyć — i opuścił bezsilnie. Gość to był!

Mściśław dyszał, wyciągnięty na ławie. Znużeni zamilkli wszyscy czas jakiś. Pan z Bużenina oglądał się i przysłuchiwał niespokojnie. Cekał on przybycia tych, którym oznajmił, że ma być w Jakuszowicach i wezwał, aby w pomoc przyszli. Szło wszystkim o to, aby króla Boleszczyce, ile ich było, opuścili.

Sobie i Odolajowi nie ufając, Leliwę, Kruka i Brzechwę napotkawszy, stawić się im kazał do Jakuszowic tego rana.

Czekał azali nie przybędą.

Dobrogostowi stać jak przed kościołem miło nie było — i ozwał się szorstko:

— Jeżeli miłość wasza, jużście wszystko rzekli, co chcieli — azali nie odpuścicie mnie?

— Idź na skrócenie karku! — krzyknął Odolaj — idź. Między mną a wami niema już nic, ani na pogrzeb mój nawet nie śmieście przyjść. Czeladź was kijami od trupa odpędzi...

Dobrogost ruszył się już.

— Śpieszno wam — szydersko i gniewnie odezwał się Mściśław — wstyd, srom... Strzymajcie się, jeżeli odwagę macie, przybędą tu inni jeszcze, co wam od wszystkiego ziemianstwa rzekną, co was czeka... Warto słuchu...

Stary się zachnął zagniewany.

— A kogóż wy tu do mnie śmieliście nawoływać? — Wy! do mnie? — a to jakim prawem?

— To sprawa ziemiańska — odezwał się Mściśław — a wyż kto? Każdy dla niej powinien być gospodarą, czy nie?

Nic na to nie odpowiadając, Odolaj poszedł z kijem do kąta i położył się — Dobrogost szedł do drzwi.

— Czekaj! — zakrzyczał Mściśław. — Czy się boisz? Stój, gdy mówię, starszyzna przyjedzie. — Boisz się?

— Ja! — oburzył się Dobrogost.

— Nie boicie się, to przystańcie mało, bo oto jadą — dodał Mścisław — zaraz ich będziecie mieli.

W istocie Leliwa i Kruk przybywali. Gdy w sieni już ich usłyszał Odolaj, ruszał się, zły był, mruczał sam do siebie.

Gdy wchodząc, zaczęli pozdrawiać gospodarza, za ledwie im półgłosem odpowiedział. Mścisław powstawszy z ławy, wskazał na stojącego w kącie Dobrogosta.

— Oto macie jednego z tych Boleszczyców. — Dziad mu próżno mówił, próżno kłął, jeszcze wy powiedzcie, co macie.

Leliwa oczyma szukał Dobrogosta w ciemnym kącie izbicy.

Widząc to, obwiniony śmiało naprzeciw okienka wystąpił.

— Cóż wy mi rzec macie? — spytał zuchwale — co?

Zmierzył go oczyma od stóp do głów stary.

— Butne pany! — zawołał. — Co my wam mamy rzec, to krótkie słowo, tak jak z wami sprawa będzie krótka. Król nas chłopom chciał sprzedać, kościoła nie szanował, i my go i kościół znać nie chce. Kto z nim trzyma, przeciw nam idzie, wróg nasz! Rozumiecie? Chcecie z nim zostać! — toście nie bracia nasi, ale wywołańcy; którego pochwycimy, głowę da. Majętności i ziemie wasze zabrane będą, bo ziemi niewart mieć, kto jej nie broni i swej braci. Oto co was czeka.

— Zaprze się ich ród, zaprze ziemia, będziecie zaprzańcami, głowy wasze zdejmie, kto zechce.

— Byle mógł — odparł pogardliwie i szydersko Dobrogost. — Co ja wam na to mam powiedzieć? Nic. Kto głową nałoży, to Bogu wiadomo, a co my czynimy, wiemy dlaczego. Sumienia naszego nikt niema prawa sądzić, ino my sami. A co więcej? — spytał wkońcu.

Kruk popędliwie wtrącił:

— Jeszcze wam mało?

— Upamiętajcie się, łagodniej począł Leliwa — choć sprzeniewierzona, wyście taki nasza krew. Żal

was. Poszaleliście z szalonym królem waszym... On już nie król.

Dobrogost ramionami ruszył i powtórzył znów obojętnie:

— A co więcej?

Kruk się zżymnął, rękami rzucił i odwrócił od Dobrogosta, jakby nań już patrzeć nie chciał.

Mściśław, oburącz przebierając we włosach, darł je z głowy.

Gdy zamilkli, Dobrogost, który nabierał odwagi i gniewu razem, odezwał się:

— Ja powiem wam jeszcze jedno! Ani pana, ani nas tak łatwo, jak się wam zdaje, mieć nie będziecie. Poleje się jeszcze krwi dużo, poleje! Macie wy siłę, ma król też swoich. — Wy sprowadźcie Czechów, on Węgrów i Rusinów. Będzie to, co było za Kaźmirza, gdyście wy wygnali pana precz z kraju, a potemście na kolanach prosić go musieli, aby do was powrócił! Za to was pan nasz miłować ma, żeście jego rodzica wygnali? A kto to uczynił, jak nie wy? Dziś jego precz chcecie wyżenąć, aby wam z biskupami panowanie zostało! Próbujecie! — Król pewno, jak Kaźmirz nie pójdzie po dobrej woli. Kaźmirz król inny był, wygnąć go łatwiej było. Na Bolesława, choćby i kłatwa padła — twardy pan nasz, nie zgnieciecie go. Ludu przy nim zostanie dość, aby na obronę przeciw wam stało.., Wy naszym głowom grozicie, nie wiem, co z waszemi będzie!

Leliwa słuchał, nie przerywając.

— A no! — no! — rzekł — lepiej nam z księżmi i klechami, niż pod jego różgą narówni z chłopcy i niewolnikami.

Wszystkim się już od tej mowy swarliwej twarze paliły. Mówić nie było co więcej, chyba łajać i bezcześcić, a odgrażać.

Dobrogost spojrzał po nich, zawrócił się i zwolna szedł ku drzwiom precz. Zwrócił się ku Odolajowi:

— Głową ojcu panu! — odezwał się.

— Ja was znać nie chcę! — krzyknął stary. Zwij sobie ojcem psa rudego. Słyszysz — idź mi won.



Wśród śmiechu wyszedł Dobrogost. Kipiało w nim.  
— Stanie się, co ma być! — rzekł w duchu.

A stary Odolaj znowu, leżąc w kącie, mruczał:

— Krew nasza! Psu braty! szyję dadzą, a woli ich nie złamać. Biciem nic nie zrobisz z nimi, ani groźbą. Krew nasza!

Dobrogost do konia się swojego brał, gdy za nim i Mściśław się wysunął.

On także nie miał tu już co czynić; — musiał jechać dalej, wioząc z sobą nawoływanie do zemsty.

Dobrogost dał mu się wyprzedzić i z wolna pociągnął nazad ku Krakowu.

Porzucił był zamek wśród uczty, a gdy wrócił nań zastał go jeszcze gwarliwszym, pełnym ludzi, hałasu i śpiewu.

Nadjechali do króla Rusini, których przyjmował ochotczy, rad, że mu się goście obcy trafili. Drugi już dzień na zamku trwały szalone igrzyska.

Końmi się uganiano, ciskano włócznie, z łuków strzelano, król dawał nagrody, a strojnej Kryście i żeńskiemu dworowi królowej kazał siedzieć, przypatrywać się, pieśni śpiewać i dodawać wesela.

Gdy Dobrogost wjechał w tę wrzawę i tłum, po tem co słyszał i co wycierpiał, jakoś mu to się niemiłym wydało, że król, mało o sobie myśląc, nie wając odgrózek, lekko brał, co nań ciągnęło. Dobrogost czuł, że tu na uczty czasu nie było. Okolice, które przebył, ludzie, których spotykał, co się o uszy jego obilo, oznajmywało, że wszyscy się w obronie biskupa przeciw królowi gotowali. Lud, choćby go Bolesław miał za sobą, niewiele mógł; z ziemian nikt z nim prawie nie trzymał, z rycerstwa znaczniejsza część i najdzielniejsza po kijowskiej sprawie go odstąpiła.

Tymczasem król, urągać się zdał niebezpieczeństwu, im ono widoczniejszem się stawało, tem mniej okazywał, że je widział i czuł.

Tego wieczora szczególnie huczno na zamku było, ucztowano w podwórcach, na wałach, tak, aby wszyscy widzieli, iż król się nie trwożył. Beczki wytaczano jedne

po drugich, z miasta i przedmieść czerń, choć wiedziała, że biskup zabraniał zbliżania się do króla, oprzeć się nie mogła ponęcie jadła i napoju.

Lud też zawsze przywiązany był do niego, czując, że miał w nim opiekuna, a kościelnych klątw niewiele rozumiał i w wierze mocen jeszcze nie był. Gdy brakło ziemian i rycerstwa, on zastępował ich u stołów. Król dla oka i dla swawoli wielu z nich poprzyrodziewać kazał bogato; co im równie, jak miód, głowy zawracało.

Dwornicy królewskiej ta czerń, co się narówni z nią stawiała, niebardzo była do smaku, lecz pokazać tego nikt nie śmiał. Gdy we łbach zaszumiało, cała szorstkość i dzikość tych ludzi wychodzić najaw poczęła i uczta zmieniała się w istny szal, wśród którego zaledwie król już był poszanowany.

Ci, co wczora głodni włóczyli się w łachmanach, a na których dziś powdziejano jedwabie i dosyta im dano najprzedniejszego napitku i jadła — pamięć straciwszy, sami się królami sądzili... Głowy się zawracały.

Boleszczyce, stojąc przy królu i za nim, ostro na to patrzali, ale król sam śmiał się i podzegał jeszcze zbytkujących, rzucając im, jak psom kości do gryzienia, nazwiska znienawidzonego sobie rycerstwa.

Jednego z charłaków kazał przybrać niby w biskupie szaty i dać mu na głowę czapkę o dwu rogach, a w rękę kij zakrzywiony — dopieroż z niego strojono żarty, a on się popisywał z bezwstydu...

Widząc, że wolno obelgi miotać i bluzgać, ludzie też gąb nie żałowali. Za każdym słowem dobitniejszym ciżba śmiechem odpowiadała, jak chórem.

Na tę zabawę, wśród której nikogo nie oszczędzano, natrafił Dobrogost, i właśnie się w tłum wmieszał, gdy mieszczanin Sroka, którego odziano w opończę wyszywaną, szłyk i łańcuch, na rycerstwo całe wydziwiał, żony ich i domy bezczeszcząc.

— Hej, panku na Bużeninie! — wołał pijany — a gdzie żonka twoja? — Wysoko poleciało białe ptaszę — wysoko! — Siadło na złotej jabłoni, a tyś, goniąc za niem, wlaź w błocko po kolana.

Krysta, słuchając, twarz zakrywała zarumienioną, łyż się jej w oczach kręciły. Wstyd jej było, po raz pierwszy może, być tak wziętej na języki przy ludziach i w oczy — ale król patrzył na nią, śmiejąc się, i tem mówiącego podzegał jeszcze.

— Hej, panku Leliwo — ciągnął Sroka dalej, któremu król dolewać kazał. — Panku Leliwo! z tobą gorzej być może! — Król ci nie żonkę weźmie, bo stara i nie harna, ale siwą główkę zetnie, jak makówkę, i każe zatknąć na płocie, aby sobie przeszkła...

Śmiech się znowu rozległ, jak grzmot, dokoła.

Sroka, siedząc u stołu na miejscu, które dawne panny zajmowały, pysznił się, nadymał, rozpierał, szłyka poprawiał, pił ciągle i na króla tylko patrzył, czy mu to miłem było!

— Ej! ej! — mówił, popijając — mnogo im nasze parobczaki żonek pozabierali — a no, to tylko za nasze dziewczki po dworach płacą. Resztę im jeszcze białych głów odjąć trzeba, aby się plemię nie rozradzało! Dosyć było ich panowania, za naszego króla przyjdzie kolej na tych, co byli spodem, żeby na wierzch wyleźli. Kto wieszał, tego powieszą, kto ścinał, tego zetną, reszta, co zostanie do pługów ich zaprzężemy i batem po uszach — wio het! Nie chcieli pana słuchać dobrego, będą złej pletni słuchać musieli — wio het! po uszach.

Ludzie aż się kładli ze śmiechu, król twarz też miał wesołą, tylko drużyna pańska, ziemian dzieci, burzyła się i krew w niej wrzała, słuchając.

Sroce się gęba nie zamykała.

— Królu, panie miłościwy! — wołał, kubek podnosząc — daj ci Boże panowanie na długie lata. Tyś się nad nami litował, my tobie służyć będziemy krwią i potem... Pójdziemy za tobą w ogień i wodę. Niechaj się panowie rycerstwo póliczą, zobaczymy kogo więcej, czy mrówek w polu, czy ptactwa, co niemi żyło. — Setne lata panu naszemu! Setne lata!

I pili tak, a wywoływali, król z Rusinami siedział i słuchał. Wśród tej wrzawy, bracia spostrzegli, że

Dobrogost powrócił, na stronę go odciągnęli, aby się od niego dowiedzieć z czem przybywał.

Wprawdzie z lica mu się tego było można domyśleć, ale posłyszeć chcieli, jak tam było.

Odeszli z nim na podsiennie, kędy nikogo nie było i gdzie tylko pijane dochodziły śmiechy, i Borzywój badać począł, co się w Jakuszowicach działo

— Co ma być! — rzekł Dobrogost — tam toż samo, co wszędzie — albo to nie wiecie! Żle dla nas słyhać i dla pana. Stary dziad o mało mnie od siebie nie wyszczuł psami, a z tym Mścisławem musiałem się chwycić za bary, i tylko żem go nie udusił.

Leliwa i Kruk gardłem nam grożą, mówią, że kogo z królem pochwyca, żywcem nie puszcza. Ot co słyhać. Rycerstwo i ziemianie zjeżdżają się, gromadzą na głos duchownych — jeden wszędzie krzyk, „król wyklęty, znać go nie chcemy“. Spotkałem po drodze poczty zbrojne, dobrze, żem z życiem uszedł. Boleszczyce razem z Bolesławem wyklęci. Nie będąc silny, coraz się musiałem w las kryć przed zbrojnemi kupami. Mścisław szalony objeżdża dwory, nawołując przeciw królowi, za swój i całego ziemiaństwa srom i hańbę, za biskupa i kościół!

A stary dziad, jak niegdy, tak teraz kijem stuka i precz nam każe iść od króla — precz a precz, albo żebyśmy się jego rodem zwać nie śmieli.

To mówiąc, westchnął Dobrogost.

— Od króla iść po czasie — odezwał się Borzywój — teraz, kiedy na niego wszyscy szczują!

— Mówilem to staremu — rzekł Dobrogost — za to mnie ze psy królewskimi porównywał i precz wygnał.

Stojący wkoło Boleszczyce zadumali się smutno.

Działo się to na uboczu, ale niedaleko od zastawionych stołów. Jastrzębcy kołem oblegali Dobrogosta, milcząc, a myśląc nad tem, co im przynosił, choć nowego dla nich nic nie było... Wtem król z siedzenia swojego ruszył, obejrzał się i ku nim zbliżać zaczął.

Wiedział on o wyjeździe Dobrogosta, domyślił się

pewnie, nad czem naradzać się mogli, przystąpił do nich — w oczy im spozierając, jakby czytać chciał, co myśleli.

— Czy i wy tu już kupą stoicie, jakbyście kupą ode mnie iść chcieli? — zapytał szydersko.

Borzywój zwrócił się doń ze smutną a żalościwą twarzą.

— Miłościwy panie — rzekł — nie krzywdźcie tych, co wam służą wiernie. Wyrzekliśmy się swoich dla ciebie, a z drogi się już nie zawrócimy.

Król, nie odpowiadając mu, na Dobrogosta nastąpił.

— Coś ty przywiózł?

— Z czemem wyjechał, z tem wróciłem — rzekł zapytany — niema tam o czem mówić, zjemy co nam zgotowano, nie dzieląc się, bo niesmaczna strawa. — Miłościwy panie, tyle powinienes wiedzieć, że zdrajcami nie będziemy.

Król, zmierzwszy ich oczyma, zawołał:

— Za wierność waszą — weźmiecie co zechcecie, choćby pół królestwa mojego.

Wtem Borzywój mu się do kolan pokłonił i rzekł z wymówką:

— Miłościwy panie, a coby taka wierność była warta, za którą płacić potrzeba.

Król zmilczał, uderzył go tylko po ramieniu, a Borzywój ośmielony, począł, stanąwszy przed nim:

— Dajcie słówko rzec, miłościwy królu — a nie gniewajcie się. Na zamku prawda wesoło, a no pod zamkiem groźno. Ziemianie się kupią, biskup nie śpi, rycerstwo się zbiera...

Król się do tłumu i czerni odwrócił i rzekł, wskazując nań:

— Słuchajno, jak ta sroka skrzeczy! — to gęba tego tłumu. Co on myśli na trzeźwo, ten po pijanemu wygaduje... Nie bójcie się, rycerstwo i ziemianie nie zrobią mi nic. Gdy zechcę a skinę, gniazda ich zrównam z ziemią.

Gdy król mówił, patrzali nań Boleszczyce jakoś

niedowierzająco i prawie litościwie, aż Borzywój do nóg mu się skłonił i rzekł:

— Królu panie nasz. — Lud ten do krzyku i wrzawy dobry jest — a do roboty on licha wart! Czy my go nie znamy! — Aby się napił a najadł, a dobrze mu było, tak samo jutro ziemianom krzyczeć będzie, jak dziś tobie. Spłoszy się to łącno, jak zające, choć pokrzykuje a odgraża się, gromada duża, a pociecha z niej niewielka. Dziesięciu zbrojnych a mężnych skoczy na nich i tysiące tego robactwa rozpędzi i zmiażdży.

Król słuchał cierpliwie, odważył się przeto Borzywój wypowiedzieć, co na sercu miał, i ciągnął dalej:

— Miłościwy panie, darujcie mi mowę moją. Nam kędyś po posiłki słać trzeba, nie podołamy im. Małeż to wojsko jest, któremu biskup dowodzi, co po wszem świecie rozsiane, jednego wodza słucha? Kędy kościół i parafja wszędy u niego rycerz z pocztą stoi. W każdej wsi swojego mają — dwór z księdzem, gdy sobie ręce dadzą...

Król pogardliwie głową potrząsł.

— U nich dwoje rąk czy czworo, a gromada we wsi — moja!

Zamilkli wszyscy, tylko Dobrogost szepnął:

— Daj Boże, by tak było.

— Tak być musi — rzekł król.

Borzywój ruchem głowy zaprzeczał.

— Nie wszędzie tak będzie — szepnął — nie wszędzie.

— Tchórze i baby jesteście — gwałtowniej wybuchnął Bolesław oburzony. — Jednego klechy, a choćby i stu i kupki ziemian miałbym się lękać i za posiłkami słać!!

Zamilczeli wszyscy.

— Ja im igrać i odgrażać się nie dam długo — dodał król. — Prędko się wszystko skończy. Padnie popłoch na nich i rycerstwo z ziemiany na kolanach przyjdzie łaski i miłosierdzia prosić.

Król się odwrócił.



— Co moich tu jest — rzekł, odchodząc — wszyscy żeby byli mi gotowi.

Znając króla nieustraszone męstwo i żelazną wolę, Boleszczyce nie śmieli mu się sprzeciwić, ni odzywać więcej. Gdy odszedł, popatrzyli na się smutnie. Wdzieli go oni nieraz w wojnach, które prowadził, w kilkadziesiąt mieczów rzucającego się na tysiące, ale tu gorszy bój się zwiastował niż w otwartym polu, a samo zwycięstwo nie starczyło.

— A no będzie, co losy zrzadzą — westchnął Dobrogost.

— Król ma szczęście — dodał Borzywój.

Inni szeptali między sobą, wtem król nagle od stołów zawrócił ku nim znowu. Szedł krokiem prędkim, zachmurzony, odezwał się do Borzywoja.

— Prawda, że biskup broni mi kościoła?

— Tak mówią — odparł Boleszczyc.

— Klecha ten śmie przede mną zamykać kościoły, które moi dziadowie im pobudowali! Mnie ma być wnijsć nie wolno!

Wstrząsnął się cały.

— Trzeba choć popróbować, czy do kościoła nie wpuści — począł szydersko. — Na zamek już nie chodzi, boi się!

— Na zamku od tamtego dnia kościół zaparty — rzekł Zbilut.

— A na Skałce mszę prawi? — zapytał Bolesław.

— Tak jest, codzień na zaraniu dzwonią na nią — odpowiedział Borzywój.

— Jutro ze mną wszyscy na Skałkę! — oko w oko spotkamy się z tym obrzydłym klechą.

Niektórym pobladły twarze.

— Miłościwy panie — ośmielił się wtrącić Dobrogost — Kościół...

— Milcz — zawołał król. — Gdzie indziej go nie chwyce, bo uchodzi lis przede mną. — Jutro rano wszyscy na Skałkę.

Nikt się już odzywać nie śmiał. Król odszedł od stołów.

Gdy się to działo na podsieniu, u węgła stojący jakiś człek oparty o ścianę, który wszystko mógł słyszeć, wysunął się natychmiast i zniknął w mroku.

Za stołem Sroka jeszcze zabawiał króla i gości, gdy człek ów wymknął się z zamku i korzystając z ciemności i zamieszania, zbiegł drogą ku miastu i Skalce.

W biskupiem mieszkaniu świeciło się jeszcze; gwałtownie zapukał do drzwi. — Nierychło otworzył mu czuwający kleryk.

— Z biskupem mówić potrzebuje — rzekł młody człek, który opończą szarą starannie ubranie swoje okrywał, zdawał się wielce niespokojnym.

Kleryk, rzuciwszy nań okiem, pomimo opończy, poznał dworski strój Boleszczyców, odstąpił parę kroków, i rzekł twardo.

— Królewski jesteś.

— Choćbym i królewskim był, czy przeto z biskupem mówić nie mogę?

— Żaden z was na próg tego domu nogą stanąć nie ma prawa — precz — ani się waż!

I drzwi zaraz zatrzasnęły.

Lecz przybyły upartym był, i tem gwałtowniej się dobijać zaczął. Rachował może na to, iż biskup posłyszysz stukanie. — Powtórnie ukazał się ten sam kleryk, ze starym duchownym, który rozwarłszy drzwi, groźnie przybysza gromić zaczął.

— A nie pójdziesz ty mi stąd precz, — a nie pójdziesz!... Precz — precz!

— Ja z biskupem mówić muszę — odparł stanowczo młody chłopak.

Był to z Boleszczyców najmłodszy, Andrek.

Spierali się tak głośno u drzwi, bo uparty chłopak nie tylko ustąpić nie chciał, ale prac drzwi, zamykać ich nie dawał, gdy wreszcie, wrzawą tą ściągnięty, sam biskup się ukazał.

Kleryk i ksiądz, zwróciwszy się doń, tłumaczyć mu poczęli, co za człowiek był i dlaczego mu wniść nie tamowano, gdy Andrek gwałtem prawie się wparłszy do środka, sam stanął przed biskupem.

— Ojcie miłościwy — rzekł prędko — jeżeliś się tu przyjsć ważył, to nie w złej myśli — pozwólcie mi powiedzieć słowo.

Biskup, milcząc, wskazał mu na drzwi i sam, go poprzedzając, wszedł do izby.

— Czego chcesz? — zapytał.

— Andrek, który pobożny był, pokłękł przed nim.

— Ojcie mój! — począł. — Uczyniliście już z królem panem naszym, coście pożąдали, litość miejcie nad nim i nad sobą. Jutro rano, każcie zamknąć kościół wasz na Skałce i mszy w nim nie odprawiajcie. Zamknijcie dom wasz i do dnia ustąpcie z niego. Niech królewski gniew, który jest jak ogień straszny, przeminie...

Biskup słuchał spokojnie, ręce na piersiach złożwszy.

— Czegóż się jutro mam obawiać? — spytał cicho.

— Ojcie mój, ja, ja nie wiem — zawołał Andrek. — Od króla i zapalczywości jego wszystkiego obawiać się można! A! panie! — miejcie litość nad nim i nad sobą!

To mówiąc, do nóg mu się rzucił i ścisnąć je zaczął. Biskup go zlekka usunął.

— Nad sobą! — powtórzył, uśmiechając się — a cóż wasz król mi uczynić może?

— Ja nie wiem! nie wiem, ale drzę i lękam się — mówił Andrek — słyszałem tylko, jak nakazywał, aby jutro z nim wszyscy w pogotowiu byli iść na Skałkę na mszę do kościoła. A cóż, jeśli mu przystępu wzbronie?

— Wzbronie! jakom żyw! — zawołał biskup gwałtownie. — Noga jego chyba po trupie moim wejdzie do świątyni.

Andrek ręce załamał, biskup spojrzał nań z politowaniem jakimś i dumą.

— Ja! — zawołał, jakby do siebie mówił — miałbym, Boga mając z sobą, ustąpić przed nim i cofnąć się, aby triumfował, że Boga zwyciężył żelazem! Miałbym się ulęknąć pogroźek jego i waszych! Chłopcze

małego serca i ducha, dobrym chcąc być, grzesznym jesteś. Ja nie człowieczą siłą, ale prawicą Wszechmocnego z nim wojuję. Cóż on mnie uczynić może? Choćby krew moją przelać miał, bryznie ona na niego i na plemię, na ród jego. Mnie da życie wiekuiste, a jemu śmierć i potępienie.

Andrek drżał, widząc biskupa w uniesieniu niemal gniewnym i strasznym. Nie śmiał już mówić, wzrokiem błagał go tylko.

— Ojcie — zawołał wreszcie głosem cichym — ojcie! Król się może opamiętać, gdy z gniewu ochłonie! Pierwszy w nim ogień najstraszniejszy. Dziś w srogiej jego zapamiętałości, po ojcowskuby było ustąpić mu.

— Jam mu już nie ojcem, ani on mi dziecięciem — zawołał biskup, unosząc się coraz bardziej i palcem na zamek wskazując. — Nie jest już ani królem waszym, ani bratem niczym, bo przestał być synem Ojca naszego, Jezusa Chrystusa i Matki naszej Kościoła świętego. Zwierz to dziki i wyuzdany, bez opamiętania i rozumu.

Wyrok ten jak piorun padł na Andrka, który stał blady, ręce załamał i bezprzytomny palce sobie wykręcał, nie wiedząc, co począć. Chciał iść już, wtém biskup, który się parę razy przeszedł po izbie, stanął naprzeciw niego, popatrzał nań z politowaniem i począł mówić powoli.

— Wy wszyscy, słudzy jego, co przy nim stoicie, co z nim jeszcze trzymacie, patrzcie, abyście z nim razem w bezdno piekielne i paszczę szatana nie poszli. Dlaczego nie odstąpiliście go? Wy to, wy nie macie miłosierdzia nad nim i gubicie go. Gdyby co żyje odeszło od niego, gdyby jak od trędowatego pierzchnęli wszyscy, tedyby się może opamiętał i pokutował. Dlaczego stoicie przy nim?

Andrek odpowiedzieć nie śmiał. To, z czem przyszedł, dokonane zostało, nie przyniósłszy skutku, nie mógł już nic więcej nad to, musiał powracać, z przera-

żeniem myśląc o tem, co przyniesie straszny ranek jutrzejszy.

— Prośba moja o zmiłowanie daremna — rzekł chłopak smutnie, — niech się więc stanie, co Bóg przeznaczył.

Biskup go ręką tylko odprawił.

— Stanie się, co powinno — rzekł — a zaprawdę, nie godzi się mnie ani cofnąć, ani ustępować, ani godziny odkładać, ani okazać, jakobym się go lękał.

Wychodził Andrek, gdy w progu ukazał się stary benedyktyn o. Otton, kapelan królowej, który wybierał się do Mogiły.

Wielisława dowiedziała się od sług sobie wiernych, że król nazajutrz na Skałkę się wybierał. Ogarnęła ją też trwoga, posłała szukać o. Ottona, aby go do biskupa od siebie z błaganiem wyprawić. Benedyktyn nie mógł się już ukazać na zamku, ani pójść ją uspokoić, lecz od ochmistrza królowej dowiedziawszy się, czego od niego żądała, przywłókł się do biskupa, z niewielką nadzieją, aby prośba jego wyjednać co mogła. Znał on nieugięty charakter i surowość ks. Stanisława ze Szczepanowa.

Wchodząc z poselstwem swem, o. Otton posłyszał odprawę, jaką biskup dawał Andrkowi Boleszczycowi, domyślił się łatwo, z czem chłopak przybył, i zwątpił, aby jemu szczęśliwiej powieść się mogło. Nie pozostało mu jednak nic nad spełnienie posłannictwa, choćby ono daremnem być miało.

— Padnę mu do nóg, będę go prosił! — rzekł w duchu — Bóg go natchnąć może miłosierdziem!

O. Ottona znał biskup niewiele, widywał rzadko, u siebie go nie miewał nigdy, zdziwił się mocno, zobaczwszy go o tej porze niezwyklej i odezwał się, przystępując doń, po łacinie.

— A wyż z czem do mnie przychodzicie o tej porze, ojcze Ottonie?

Biskup Stanisław Szczepanowski, jak wiadomo, w czasie pobytu swojego w Paryżu, oprócz szkoły biskupiej, uczęszczał też do benedyktyńskich. Miał na-

wet zamiar przywdziać suknię zakonną i zachował zawsze miłość wielką dla synów św. Benedykty, których niemal za braci swych uważał. Dla o. Ottona, którego tylko zdala a z odgłosu znał, szacunek miał, wiedząc, jak cnotliwy staruszek wśród zepsutego dworu, samym przykładem swym wiele dobrego czynił i hamulcem był nieraz dla zbytników.

Zamiast odpowiedzi na zapytanie o. Otton, nie mówiąc słowa, przyklęknął przed nim, skłonił głowę siwą, i ująwszy rękę, pocałował.

— O przebaczenie naprzód proszę, przewielebności waszej — rzekł — iż śmiem z tą samą pewnie prośbą, z którą mnie człowiek ten poprzedził — stawić się przed pasterzem! Ojciec wielebny — o króla i rodu jego losu przyszłe przywlokłem się was błagać. Dajcie mu czas — niechaj w nim płomień wygorzeje! — król z dziecka żołnierzem jest, prawa on nie rozumie, władzy nad sobą nigdy nie czuł i nie znał. — Czas mu dajcie! Nie narażajcie własnego żywota drogiego na wściekłość jego...

Biskup wysłuchał cierpliwie, oburącz potem podniósł z ziemi staruszkę i, patrząc nań dobrotliwie, łagodnie mówić począł.

— Wyście to rzekli, ojciec Ottonie? Wy? Kapłan? mąż światobliwy i uczony? Nie znacież, czyż nie chcecie pamiętać historii kościoła naszego? Azali nie pomnicie, co czynił Ambroży, i nie chcecie mi dopuścić, bym stokroć gorszego, niż Teodozjusz, człowieka, który nie Tessaloniczan rzeź, lecz tyle krwi niewinnej, tyle zgorszenia, tyle plugawej rozpusty plam na sobie ma, wygnał tak precz z kościoła, jako mnie Ambrozego przykład naucza? Chcecie więc, bym ja, biskup, ustąpił przed katem, abym ja, kapłan, uląkł się żołnierza? Chrystus Pan trwogi nie znał, i służy jego jej znać nie powinni.

— Ojciec — odparł Otton zwolna — Teodozjusz był okrutnikiem, ale był chrześcijańskim monarchą, któremu światło ewangelji przyświecało, ten napół poganinem jest! Nie bronie go! — nie ujmuję się zań, znam



grzechy jego!... Nie o niego mi idzie, ale o was, pasterzu i o drogi żywot twój. Wściekły ten człek nie poszanuje nic, żadna go świętość miejsca, ni osoby nie powstrzyma. Patrzałem nań, znam go — ojciec mój, drzę.

Biskup, słuchając, białe ręce złożył jak do modlitwy i łagodnie, z powagą, odpowiedział o. Ottonowi.

— O moje życie wam chodzi, ojciec! dobry pasterz chętnie żywot daje za owieczki swoje! Cóż życie moje? co, życie człowieka? — można-li je lepiej dać jak za prawdę świętą i dla nawrócenia obłąkanych? Nie wyzywam go ani wyzwę, ale nie cofnę się wyzwany. Kościół na tej ziemi chwieje się, podwalin trwałych niema jeszcze; nie powolnością, lecz potęgą zakładać potrzeba ciosowe jego fundamenta. — A jeśli do nich krew moja, jak wapno potrzebna, aby kamienie węgielne spoila na wieki?

To mówiąc, biskup zadumał się głęboko i dodał z wyrazem pokory.

— Nie sędzę, ojciec mój, by mimo zuchwalstwa swojego, aż do gwałtu nade mną posunąć się mieli — lecz Bóg niech rozporządza. Stań się wola Jego. O. Ottonie bądź dziś spowiednikiem moim i pozwól, bym przed tobą wyznał grzechy moje. Zasnę potem spokojny, czekając, co mi dzień jutrzejszy przyniesie. Żołnierzem jestem Chrystusowym, jeżeli mi za pana mojego życie dać przyjdzie — umrę szczęśliwy.

I biskup ukląkł przed świątobliwym staruszką do spowiedzi.

Na zamku ucztowano do dnia białego, dobrze się już na brzask brało, gdy Sroka, tłum ludu napilego prowadząc za sobą, spuścił się z nim, zawodząc huczną pieśń, drogą do zamku około Skałki. Tu owe kupy stanęły umyślnie nieco zdala i na urągowisko biskupowi, bo im tak przykazano, poczęły szaloną jakąś pieśń swawolną porykiwać, za każdą zwrotką wykrzykując dzikimi głosy.

Król ucztował także noc całą, spędził ją bezsennością, czekając poranka. Odziany i zbrojny, rozgorączkowa-

ny, oczekiwał dzwonka, który się miał odezwać, wołając na mszę do św. Michała.

Dzień wchodził chmurny, z niebem mglistem, z światłem ołowianem, powietrzem chłodnem, słońce mu przyświecać nie chciało...

W progach dworca stała kupka Boleszczyców, na której twarzach widać było jakby na śmierć iść mieli i stracenie. Błdzi byli, drżący, nie mówił żaden słowa. Jedni stali jak kamienni, nie poruszając się długo, jakby zapomnieli, że żyli; drudzy targali się z niepokojem, z oczyma w ziemię wlepionemi.

Na pierwszy głos dzwonka kościelnego na Skałce, Andrek, który stał pod ścianą, upadł na ławę i zakrył sobie oczy. Inni wyprężeni słuchali, ku sieniom spozierając, skąd król wyniść miał.

Nakazanem było dać znać, gdy się da słyszeć dzwonek, nikt jednak ani myślał spełnić rozkazu... Woleli karę znieść, niż mu zwiastować ten głos, co im brzmiał, jak pogrzebowy dźwięk...

— Usłyszysz sam król — powiedział stary Borzywój — znać tak losy chciały, nie dojdzie go on? Niech się dzieje co chce!

### III.

Po wczorajszej uczcie, gdy wszedł dzień, około dworców królewskich dziwnie wyglądało. Noc długo kryła biesiadne śmiecisko; gdy rozwidniało, odkryło się ono w całej szkaradzie swojej.

Czeladź spała, wypróżniwszy resztę beczek; nie było komu pozbierać łomów i brudów, jakie noc zostawiła po sobie.

Naprzeciwno dworca stały jeszcze stoły poobnażane z nakrycia, powywracane i potrzaskane ławy; na ziemi leżał gdzieś niegdzie kubek zgnieciony, stłuczony dzban, kości ostatki psy, chodząc i warcząc, ogryzały. Na boku walały się beczki z dnami wybitemi, kadzie i cebry pogniecione, których nie sprzątnięto. Zielone

gałęzie, co wczoraj do umajenia ucztły służyły, dziś śmieciem się stały, poobalane, w ziemię wdeptane, zmieszane z błotem.

W przedsieniach dworu, pod budynkami i okopami, na ziemi i na ławach leżała rozpierzchła, uśpiona jeszcze, pijana gawiedź ze psy razem. Dalej na wałach widać było precz wyrzucone, na wpółodarte dwa trupy, tych, co się na śmierć zapili. Czekwały one, aż je gdzieś wywłoką.

Gdzie niegdzie stały brudne jakieś kałuże, jedne jakby krwawe, drugie od samej krwi ohydniejsze. Bili się, tłukli skłócen, na śmiech drugim, a wielu wyszło z ranami i potłuczonymi głowami, nie czując kalectwa nawet.

Szczątki biesiady opowiadały jej dzieje: obok łachmanów leżały kosztownych sukien oderwane kawały, guzy złociste i konopne sznury, rozerwane bursztyny, nogami pokruszone i pobite garnuszki proste... męskie i niewieście czapki i chusty wały się społem.

Ziemia, wczoraj porośła murawą, zmieszana była, nogami zgnieciona, zbita, a ślady nóg, rąk, głów odcisnięte na niej pozostały wyraźne... Skończyła się bowiem uczta, po odejściu króla, po wypróżnieniu ostataka w beczkach, jak szatańskie wesele — zwierzęcym, ohydny szaleńcem...

Zmęczona wczorajszą wrzawą, od której nierychło uciec mogła, Krysta spała długo; — obudził ją dzwonek na Skałce u św. Michała, a potem zaraz tętent koni.

Zadrżała, zerwała się, pobiegła w koszuli wyjrzeć przez okno, odsunęła okiennicę i zobaczyła, jak król jechał, otoczony Boleszczycami... Dokąd? nie wiedziała, ale jej serce biło strachem.

Król się nawet nie obejrzał ku oknu, oglądali się tylko Borzywój, pozdrawiając ją, i Zbilut, jadący za nim. — Krysta się ukryła zawstydzona, bo nie miała na sobie nic, oprócz bielizny; włosy jej się we śnie porozplatały, czuła się zmęczoną, wiedziała, że była blada.

Ona, co tak dobrze dawniej umiała śmiać się,

o wszystkim zapomnieć, wesołością swą dziecinną drugich rozśmieszać, czasem aż do szału się rozpasać i rozgzić — wczoraj nie mogła być nawet wesołą.

Coś ją cisnęło na sercu; oczy pana patrzyły jakoś tak dziko, szął tej ucztę pół chłopskiej wył tak straszno... Mimowoli przypominała sobie inne czasy, lata inne, macierzyńskie ciche podwórko, uścisk matki pieszczony i usypiający słodko, mężowski dwór taki spokojny, pieśń u kądzieli płynącą, jak cichy strumień po darni zielonej, ciepłe ognisko domowe, co się śmiało gospodyni. Zapach wiosenny przynosił jej z sobą wspomnienie młodości.

Smutną była ciągle, a im ucztą weselszą się stawiała, tem ją większy strach ogarniał; smutniejszą jeszcze uciekała z piekielnego gwaru i położyła się do snu. W marzeniach sennych znowu przewijało się jej życie dawne z gorączką teraźniejszą, trwoga i dreszcze przebiegały po niej. Zrywała się, krzycząc.

— Jutro! co będzie jutro!

I usypiała znowu, a przed nią stawał Mścisław, nie takim, jakim był za czasów, gdy ją w czoło całował, ale ten, który się zjawił raz ostatni, straszny, mściwy, groźny i zrozpaczony. Mścisław chwycił ją za rękę z jednej strony, z drugiej ciągnął król, a pijana gromada stała przed nią, wyszczerzając zęby i okrzykując ją królową. Męczyła się tak, spać nie mogąc i wstała wreszcie, gdy dzień biały przez szpary okiennic zaglądał.

Dzwonek na Skałce brzmiał jakoś i jęczał strasznie pogrzebowo! Był to ten sam, co w dniu kłątwy zwoływał lud i dzwonił świecom zgaszonym.

Gdy orszak królewski przesunął się przez podwórce, na zamku zrobiło się jakoś pusto i czarno. Krysta wyjrzała z trwogą ku temu miejscu, gdzie wczoraj tak brzmiało wesele.

Tam parobcy z ostrzyżonemi krótko włosami, w brudnych sukmanach zwijali się z winnikami i mietli, śmiejąc się, śmietnisko. Niekiedy schylił się który, podjąć coś błyszczącego i cieszył się, zbiegali doń

wszyscy, wyrywali sobie i śmiechem ich dzikim znowu się rozlegało podwórze. Usłyszawszy go, Krysta schowała się i napół zasunęła okiennice.

Dzwonek na Skałce zadrgał raz jeszcze i dźwięk jego obumierał w powietrzu.

Cisza ta wydawała się niemal tak straszna, jak wczorajsza wrzawa. Dzień był żalobnie smutny, niebo gęste oblały mgły, z poza których słońce się wybić nie mogło. Białe osłony zdawały się ciężyc nad ziemią i dusić ją — nie było powietrza dla piersi, oko nie mogło przebić tych opon gęstych i nieprzejrzystych. — Odetchnąwszy, czuć było duszącą woń mgły, co jak spalenizna jakaś gryzie, by dym, i dławi.

Krysta siedziała w oknie, o krawędź oparta, patrzyła i słuchała, myślała coś i rwały się jej myśli. Chciała odgadnąć, dokąd znów król mógł pojechać tak rano.

Nie na łowy — psów, ni sokołów nie mieli z sobą, ani łuków, ani oszczepów — miecze tylko.

Wśród tej głuchej ciszy, nagle, — czy się jej wydało? — usłyszała zdala krzyk okropny... krzyk wściekłości jakiejś i morderstwa. Potem zmieszane głosy i wrzawę, dzwonek na Skałce począł się poruszać żywo, bijąc jak na trwozę, raz po raz nieustannie. Zdala znowu urwane jakieś jęki i wołania przerwały ciszę...

Serce jej zaczęło bić strasznie; — wczorajsza trwoga i smutek wróciły silniejsze jeszcze.

Trzebaż jej było żyć tak zawsze, godziną szczęścia i dniami nędzy, a strachu? — za godzinę płacić wiekami?

Łzy połyneły z oczów. Była królową — toć królewskie życie!

Zatętniało nagle szalonym biegiem. Ktoś cwałem biegł ku zamkowej górze, jeden, dwu, kilkunastu... Goniłi czy uciekali, gnali straszliwie — Krysta się wychyliła.

W bramie ukazał się król, Krysta go nigdy jeszcze nie widziała takim strasznym z krzykiem zakryła oczy.

Blady był jak trup, a oczy mu wyskakiwały z po-

wiek; usta miał otwarte, zęby zacięte. Patrzył i nie widział; na jednym policzku miał jakby plamę krwi, która zdawała się ściekać jeszcze, obie ręce, krwią miał oblane, mieczyk, który mu wisiał u pięści, ściekał krwią i bryzgał kroplami.

Tuż za nim lecieli pobroczeni krwią, jak on pijani morderstwem, Boleszczyce, krzycząc, popychając się, swarząc ze sobą. Za nimi sunęła się wolniej czeladź, wylękła i przerażona, szepcząc między sobą, oczyma goniąc za panem.

U przedsienia król z konia się zsunął wprost na ławę. Otoczyli go kołem Boleszczyce, gwar się wszczął jakiś, swar czy kłótnia, jakby nieprzytomni zajadać się chcieli. Stali, odchodzili, siadali, ocierając ręce krwawe o murawę, o ściany, o poły, otrzeć ich nie mogąc.

Króla widać było, jak się rozsiadł dumnie, szeroko, ale pogrążony cały w sobie, nie słysząc, nie widząc nic, wąs gryzł w ustach, a palcami czasem krwawych policzków ocierał, jakby go ta plama krwi piekła.

Krysta ręce załamała: — krew!! — krew! Czyja to była krew? Zwierza na łowach ubitego, czy człowieka zamordowanego?...

Tymczasem od miasta zaczynała buchać i dolatywać wrzawa jakaś, wzmagająca się coraz, rosnąca, podnosząca płacz, krzyki i jęki z niej biły.

Śmiertelną trwogą opanowana Krysta uczuła zimno w całym ciele i poszła skryć się w najciemniejszy izby kątek. Zasunęła okno... ale wnet, wytrzymać nie mogąc duszącego powietrza izby, na nowo je otwarła.

Stało się coś, — nie wiedziała co, — ale strasznego coś stać się musiało.

Podwórce przebiegli ludzie, pędem lecąc ku miastu, jedni po drugich. Inni z miasta wpadali przez wrota i pędzili ku dworowi.

Wtem wpadła zdyszana Ciarka, oczy sobie zasłaniając, z krzykiem obaliła się na ziemię i ryczała wielkim płaczem. Krysta podbiegła do niej, wołając, by



mówiła, co jej było, ale dziewczyna słowa powiedzieć nie mogła, zachodziła się, oczy zakrywała.

Wśród tej trwogi drzwi się otwały i w progu ukazał się Borzywój.

Był może pijany ucztą wczorajszą, bo się zataczał i na nogach ustać nie mógł; twarz miał trupią, a ręce obmyte, nosiły jeszcze ślady krwi na sobie. Wszedł, obląkanemi wodząc oczyma, mówić nie mogąc.

Szybko przypadła do niego Krysta, badającym mierzając go wzrokiem. — Patrzała nań i zobaczyła krople krwi przyschlej do twarzy i we włosach; ręce powalane, na sukni ledwie przysychające plamy — wszędzie krew! — Krzyknęła i uciekła, kryjąc się przed nim do kąta.

Borzywój stał sam, patrząc teraz na swe ręce ze zgrozą, jakby obląkany, tarł je, chował, dobywał, niepokoił się, szepcząc coś sam do siebie. Zawrócił się do drzwi, jakby wyniść chciał, potem znów ku Kryście i znowu ku drzwiom i jeszcze raz, nie mogąc zasuwy otworzyć, podszedł, gdzie Krysta siedziała. Na bladej jego twarzy pot występował kroplami.

Ciekawość przemogła strach i zgrozę.

— Gdzieżeście byli? — co się stało? Krew, co znaczy ta krew! — zawołała Krysta.

Borzywój zawsze mężny i przytomny, teraz mruzczał niezrozumiale, mieszał się, mówić nie mógł.

Naostatek buchnęło z niego...

— Król, król! — dla króla — szliśmy z królem... bronili jego...

— Król! król ranny! — załamując ręce, krzyknęła Krysta. — Któż śmiał się porwać na niego? Król!

Borzywój tylko głową potrząsł. Męczył się znów długo, nim na słowo się zdobył.

— Nie ranny... — rzekł — klechę trzeba było ukarać... zdrację! Zabił go król! zabił!

Krysta twarzą się rzuciła na siedzenie i płakała. Borzywój stał wciąż, patrząc teraz na swe ręce i wciąż je ocierając. Milczał zadumany. Podniosła się splakana Krysta, wołając:

— O Boże! król!

— Uspokójcie się — bełkotał Borzywój, który sam spokojnym nie był i czoło spotniałe lub dłonie położył ocierał ciągle. — Uspokójcie się. Co król miał robić, nie chciał go puścić do kościoła... Na progu... król ciął go — ciął... padł — porąbaliśmy w kawałki... małoż ludzi ginie na wojnie... Toć wojna była!

Krysta, pochwyciwszy te słowa, krzyknęła znowu i odbiegła od niego daleko, kryjąc się w kącie izby i tułąc twarz do ściany.

Borzywój stał pomieszany w miejscu, sam sobie napróżno usiłując dodać ducha.

Wtem nadbiegł Zbilut. I na nim ślady przelanej krwi widać było, i od niego czuć mordu gorączkę. Zobaczył od progu Borzywoja, oczyma poszukał Krysty. Spojrzeli na siebie bracia może raz pierwszy po powrocie i zadrżeli... Zdali się sobie ludźmi nowymi.

— Krew! — szepnął, wskazując Zbilutowi suknie jego Borzywój.

— Krew! — odparł prawie razem, wyciągając ręce ku bratu Zbilut i ukazując mu twarz jego, odzież i dłonie.

Krysta zdala wołała ku nim jęczącym głosem:

— Wynijdzie stąd! wychodźcie — krew przynieśliście z sobą!...

Borzywój się chciał zaśmiać, nie mógł. Bił się w piersi ręką i mruczał, poglądając na brata.

— My nie poczynaliśmy... sam król ciął — prawda? w głowę... Trysnęła krew... Sam król... Kazał rąbać. Leżał już, jak martwy na ziemi... wszyscy siekli... kiedyś ciął!...

— Tyś wprzód nań napadł.

— Nieprawda — ty!

— Nieprawda! jam nie tknął!

Poczęli się klócić z sobą bracia.

— A skądże u ciebie krew na rękach?

I słysząc już nie było, co mówili, bo razem poczęli krzyczeć, przypadając ku sobie.

Krysta w rozpacz powtarzała ciągle jedno:

— Idźcie stąd, wy zbójcy! idźcie stąd!

Aż Borzywój, porzuciwszy kłótnię z bratem, zawołał na nią;

— Cóż i króla przepędzisz, gdy przyjdzie? — Toć nie my go zabili, ale on.

— Kłamiesz, zbójco! — wy, nie on! — płacząc, wołała Krysta — idźcie stąd!

Uparty krzyk kobiety wygnał ich nareszcie za drzwi; natychmiast oszalała ze strachu Krysta pobiegła za nimi i zasuwę zaparła, a sama się na ławę rzuciła.

U drzwi jej, jakby nie wiedzieli, co robić z sobą, stanęli obaj Boleszczyce, patrząc jeden na drugiego. Nie mówili nic, wzajem tylko pokazywali plamy krwi na sobie. Z przedsienia słychać było gwar wielki na mieście... Wtem od królewskiego dworca rozległ się donośny krzyk.

— Tu bywaj!

Pobiegli natychmiast, wyścigając się; był to głos króla.

Bolesław stał u wniścica, blady, lecz już ostygły, przytomny. Ręce obie w boki wparłszy, patrzył dokoła, jakby szukał kogo miał zabić jeszcze.

— Sam tu! — zawołał szybko, szparkiem słowy, które się gonić za sobą zdawały, wskazując na Borzywoja. — Sam tu! Ład mi zrobić. Ludzie i konie w gotowości. U wrót strażę, czaty na wały. Na miasto niech pędzą konni i tłum od Skałki rozegnać precz. Biczami zagnać do domów. Na Bawole, na dolinie, straż postawić na gościńcach. Na zamek reszta i niech tu stoją... — krzyknął! — Żywot!

Borzywój chciał biec, wstrzymał go.

— Stój — nie! Na zamku, żeby ład był, więcej nie trzeba — trwogi niema, niech nie myślą, że się lękam kogo?

I rozśmiał się, ale razem brwi ściągnął, jak gdy zły bywał.

Rozbiegli się wszyscy, król na ławie w przedsieni

ze psy siedział. Ludzie z zamku zaraz na miasto ciągnęli.

Lecz rozkazy pana trudne do spełnienia były. Siła jakaś niewidoma ciągnęła wszystkich ku Skałce, tłumy oblegały kościółek. Ściągnął je widok okropny.

W samych drzwiach kościoła stała ogromna kałuża krwi, od której krwawa ścieżka ciągnęła się aż do ołtarza! W progu leżał trup biskupa, a raczej szczątki okrutnie posieczonego ciała, którego każda część osobno rzucona, z resztkami poszarpanych sukni i ornata krwią pobрызanych rozproszone były.

Ludzie stali nad niemi, zachodząc się od płaczu.

Kościół otwarty był i pusty. Na ołtarzu świece dogorywały jeszcze, na stopniach jego leżał wywrócony kielich, zgięta pod nogami patyna, chusta biała krwią zbaczona...

Od kościoła rozbiegło się zrazu wszystko, co przy nim było, strwożone świętokradzkim morderstwem

Lud tylko u progu stał, cisnął się, nie mogąc odejść, nie śmiejąc tknąć tych zwłok, które już uświęciło męczeństwo.

Od tego okrwawionego kościelnego progu, tejże godziny wieść leciała po całej ziemi: — król przy ofierze świętej zamordował biskupa!

Ludzie nieznani nieśli ją do kościołów, miast na zamki i grody.

Przez cały dzień na Skałkę płynęły i odpływały tłumy; nikt nie poważył się pomyśleć o tem, aby cześć należną oddać relikwjom zabitego biskupa.

Wieczór nadszedł, gromady pozostały w oddaleniu, patrząc w niemej rozpacz na kościółek pusty i krew zaschlą na jego progu.

Noc zapadła na zamek, gród i okolice; z Wawelu, słuchając, można było jeszcze pochwycić gwar nieuspionego miasta, tętent koni, wołania i krzyki. Z sąsiednich osad pieszo przybywało duchowieństwo, konne poczty ziemian i rycerstwa. Około domku na Skałce nocą obozowała już cała gromada ściągającego się du-

chowieństwa, które się modliło, płakało i drżało, ku zamkowi spoglądając.

Posłańców wyprowadzono na wsze strony świata, a gdy ranek wszedł znowu, zwłoki męczennika już zniknęły, ślady zabójstwa z niemi, kościół tylko stał zaparty pieczęciami wielkimi, na drzwiach obwarowany. I dzwonek się już nie odezwał dnia tego.

Na Wawelu też drugiego rana pieczęcie czarne wiisały u zapartych wrót św. Wacława.

Cisza grobowa panowała na zamku, król zamknął się na nim, obwarował i nie pokazywał. Podwójne straże u wrót chodziły dniem i nocą, w podwórzu stały gotowe konie i ludzie chodzili zbrojni, jakby je wnet dosiąść mieli, zamek wydawał się oblężonym

Trzeciego dnia przez Wisłę widać było przeprawiający się oddział zbrojny, który wszedł do miasta i obozem się położył u stóp Wawelu. Tym dowodził stary Leliwa. Nazajutrz Kruk nadciągnął z drugim, na noc Brzechwa z trzecim stanął. Wszyscy w milczeniu, spokoju legli niedaleko zamku, z okien widać było obozowisko.

Król kazał ostrzyć miecze, łuki i oszczepy gotować, ludzi swych liczył. Niewielu ich miał przy sobie; reszta żołnierstwa rozsypana była po zamkach na pograniczu, w ogrodach, w których się gromadziła siła zbrojna od dawnych czasów, na zawołanie królewskie, gdyż żywić ją w jednym miejscu trudno było.

Od tamtych oddziałów złe przychodziły wieści. Duchowieństwo już z wodzami było w porozumieniu; ten i ów wymawiał się, że przybyć nie mogą, inni milczeli, niektórzy wprost wypowiadali posłuszeństwo. Władzę tymczasowo chwyтали wojewodowie i żupany. Za każdą odebraną wieścią król się porywał, jakby lecieć chciał ukarać winnych, lecz siły po temu nie było. Po posiłki słać i żądać od węgierskiego króla sromął się. Nie chciał się przed obcymi przyznać do słabości, spodziewając siłę zastąpić odwagą. Na zamku krzątano się żywo.

Jednego dnia o zmroku król kazał przywołać Bo-

rzywoja. Obóz na dolinie pod zamkiem, na który codzień patrzył, gniew w nim budził i niecierpliwość.

— Jedź, rzekł, wskazując ręką przez okno ku Wiśle. — Jedź tam, do tych ludzi, zapytaj ich, poco tu przyszli, czego tu stoją?

Borzywój, który od dnia popełnionego przez króla morderstwa, chodził jak obłąkany i nieprzytomny, nie odpowiedział, wyszedł spełnić rozkaz, Konia nie wziął, towarzysza sobie nie dobrał, sam jeden o mieczu tylko u pasa, śmiałym krokiem skierował się do obozu u stóp Wawelu.

Gdy ujrzano jednego z Boleszczyców, idącego ku namiotom, prawie bezbronnego, zdziwienie było wielkie; nikt przecie po drodze ani go zaczepił, ni się tknąć ważył.

Dopuszczono go do namiotu Leliwy, który mu na zapytanie ludzie wskazali.

Znalazł tu kołem zasiadającą starszyznę. Spojrzeli na wchodzącego, którego z oblicza znali, a ze stroju widzieli, iż do dworu należał. Nikt ani powstał, ani go pozdrowił; gospodarz z pod brwi nawisłych patrzył nań pogardliwie.

— Przychodzę do was od króla! — rzekł Borzywój.

— Od jakiego? — zapytał sparty na rękę stary. Od króla! my tu żadnego nie mamy. Ten, którego mieliśmy, wyklęty został i odsadzon od korony, a nowego jeszcze nie wybrano.

— Tak to już myślicie! — rzekł Borzywój. — Dziwna rzecz, aby klechy miały królów sądzić.

— Przecie ich namaszcza i koronują — odezwał się duchowny, który siedział z Leliwą.

— Nie moja sprawa to, a wasza, — rzekł Borzywój. — Przychodzę od Bolesława, syna Kaźmirzowego, który dla mnie jak był, tak jest królem; poco tu obozem pod zamkiem jego leżycie? Chcecie z nim wojny? przysłiście mu w pomoc? król, pan mój miłościwy, wiedzieć potrzebuje.

Na to pytanie nikt nie odpowiedział, patrzali po sobie, jakby naradzając się, z czem go odprawić mają.



Borzywój czekał napróżno, naostatek zawołał niecierpliwie.

— Cóż, wrogami mu jesteście?

Leliwa patrzył w ziemię, mieczem, który trzymał w ręku, grzebiąc w niej. Wtem wstał za niego duchowny wieku podeszłego, twarzy ostremi rysy, oznaczonej, i z wielką gwałtownością, palec wymierzywszy ku dworakowi, począł:

— Powiedz temu zbójcy, krwią oblanemu, powiedz Kainowi, iż przyszedli tu ziemianie, aby stali na straży i oblegali go, dopóki precz nie wyżeną.

Krwia się jego mazać nie chcą, a precz z tej ziemi musi iść.

Borzywój krzyknął z oburzeniem, chciał mówić, zahukano go, wszyscy podnieśli głowy, ręce powyciągali i wołali.

— Precz z tej ziemi musi iść! precz! precz!

Nierychło przyszedł do głosu Boleszczyc i zawołał:

— Niełacno go wyżeniecie! Poskramiał on niejednych gorszych od was i silniejszych, i was poskromić potrafi.

Zaczęli się śmiać, urągać i szydzić ziemianie, nie odpowiadając mu. Odwracali się tyłem do posła, rozmowy z nim nie chcąc prowadzić. Duchowny tuż zaraz słał chłopię po święconą wodę i księgę, aby po nieczystym człowieku, który się wdarł tu, miejsce splugawione przezeń modlitwą oczyścić.

Borzywój nadto był dumny, aby się długo z nimi spierał po takim przyjęciu. Kilka przekleństw srogich z ust mu się wyrwało, pięściami pogroził i z namiotu wybiegł wściekły z gniewu. Przechodząc obóz i kupami stojących ludzi, ledwie znieść potrafił szyderstwa i przekąsy, plucie i ódgróźki, Nie mógł się do nikogo chwycić, bo żywby na zamek nie wrócił. Przyszedłszy tu, tak był jeszcze nieprzytomny i pomieszany, że do króla nie poszedł i siadł w kącie, aby to, czem go nakarmiono, wydychać. Przebył tak dość długi czas, gdy go zawołano do króla.

— Cóżś przyniósł! — krzyknął niecierpliwie Bolesław — mów!

— Nie miałem z czem śpieszyć, — ponuro odparł Borzywój. — Znać oni was nie chcą. Krzyczą, abys z ziemi tej uchodził...

Król, stojąc naprzeciw mówiącego, rzucił się z gniewu ku niemu.

— Moją jest ta ziemia, a nie ich! Moją! — zawołał głosem wielkim, korony mi z głowy nie zedrze nikt. Chcą wojny, to będą ją mieli, — będą ją mieli.

Kazał sobie powtórzyć Borzywojowi wszystko, co w namiocie słyszał do słowa i począł myśleć o obronie.

Tegoż wieczora, z ludzi, którzy przy nim zostali, wybrał Bolesław najwierniejszych sobie, najzręczniejszych i najśmielszych, kazał im dać odzież i uzbrojenie, po któremby ich nie poznano łatwo i wyprawił z zamku, polecając, aby lud zbrojny między pospółstwem dla niego ściągali.

Nielatwą to było sprawą teraz, lecz Bolesław jeszcze na wielu rachował po powiatach, których niegdyś obficie opatrzył majątnościami i wielkiem mieniem.

Tymczasem bezczynność ziemian, pod zamkiem stojących, dodawała otuchy, iż się posiłków król дочека. Znikąd ich jednak nie było widać.

Jednego z pierwszych wieczorów po dokonaniem morderstwa, gdy Bolesław nieco ochłonął, przypomniał sobie opuszczoną Krystę i poszedł do jej dworca. Dziwiło go, iż się do niego przez sługi nie odzywała jak dawniej.

Drzwi znalazł stojące, nieład jakiś w mieszkaniu, dziewczęta z włosami porozplatanemi, w bieliźnie jednej siedziały na ziemi, jedne płacząc, drugie jakby snem znużone.

Oczyrna zdumiałemi popatrzył król dokoła. — Krysty widać nie było!

Gniewnie potracił nogą leżącą na ziemi Ciarkę.

— Gdzie wasza pani? — zakrzyczał.

Dziewczęta zaczęły płakać i jęczeć, nie odpowiadając.

— Gdzie ona jest? — zagrzmiął powtórnie głosem groźnym, podnosząc rękę, jak do bicia.

Dziewczęta porwały się, zaczęły uciekać, jak przerażone, a Ciarka, którą król za włosy pochwycił, padając na ziemię, przelekła wołać poczęła.

— My nic niewinne! my niewinne! Nie wiemy, co się z nią stało! Poszła. Wczoraj już jej nie było.

Król stanął, z gniewu się trzęsąc... Chciał pytać, ale ze strachu od przytomności odchodząc, dziewczęta jęczały, odpowiedzieć nie umiejac. Stała się wrzawa i wołanie na wszystkie strony, zbiegli się ludzie, poczęły pytania. Nikt nie umiał wskazać ani jak uszła Krysta, ani czy sama jedna czy przez kogo uprowadzona.

Rozesłano dwór szukać jej po całym zamku, po kątach i komorach, lecz nie znaleziono nigdzie, nie widział jej nikt.

Wszyscy byli tak królem i sobą samymi zajęci, iż nikomu zajmować się nią na myśli nie powstało. Król wpadł w gniew niewysłowiony. Sieć kazał zkolei sługi, groził śmiercią, żadna męka wydobyć z nich nie mogła wieści o Kryście. Wśród chłosty plotły każda co innego i coraz się sprzeciwiając własnym wyznaniom. W istocie nikt nie wiedział, co się z nią stało. Krysta potajemnie od dziewcząt swych chwyciła odzież prostą, płachtę grubą, wybrała chwilę, gdy sługi się pospały, i nieprzytomna, napół obłąkana, wysunęła się z zamku, powtarzając ciągle jeden wyraz: krew! krew!

We wrotach straż niewiast nie zatrzymywała, dano się jej wysliznać, nie przypatrując nawet o mroku.

Nie wiedziała ni dokąd szła, ni co się z nią stać miało — uciekała od krwi, która gonila za nią. Ku miastu zszedłszy, zobaczyła kościółek na Skałce i widok jego przeraził ją na nowo, uchodzić poczęła pędząc co sił, bez drogi, naoslep, krzycząc:

— Krew! krew.

Biegła tak drżąca, zdyszana, zapłakana, aż póki, dostawszy się na gościniec jakiś, nie padła. Oprzytomniawszy, poznała tę drogę. Stał nad nią drewniany krzyż, obwieszony płachtami chorych ludzi. Tę drogę pamiętała, jechała niegdyś z królem, gdy ją z Bużenina na zamek uwoził, śmiejąc się szczęśliwa, marząc, że zostanie królową.

Wracała nią teraz pieszo, zapłakana, nieprzytomna, przeleżała, patrząc niespokojnie na siebie, na ręce swe, na szaty, na nogi, i widząc wszędzie krew!

Upadła znużona na ziemię wilgotną i zerwała się prędko, bo mokra darń wydała jej się krwią przesiąkniętą... chciała biec dalej, gdy brzęk oręży i tętent koni ją nastraszył; przypadła znowu, pragnąc się skryć.

Gościńcem jechał cały zastęp ziemian zbrojnych, coraz bliżej, coraz głośniej chrzescząc zbrojami, brzęcząc łańcuchami, miejsce było odkryte, nigdzie ani krzewiny. Krysta zerwała się i biec poczęła co sił ku zarośłom.

Uciekając, posłyszała za sobą tętent konia, jeździec jakiś ją doganiał, dopędził i nagle za suknię pochwycił. Krysta zachwiała się i upadła nawznak: płachty, któremi głowę miała obwiązana, rozpadły się i twarz jej odkryły.

Dwa razem okrzyki ozwały się z piersi dwojga: krzyk radości i trwogi.

Nad Krystą stał Mściśław. Przeczucie jakieś pognąło go za uciekającą.

— Krysta! — zawołał głosem pełnym boleści. — Krysta!

Ona omdlała leżała na ziemi, blada jak trup, a gdy Mściśław ocucił ją nareszcie, rzuciwszy nań wzrokiem obłąkanym, zawołała:

— Krew! — i zemdląca znowu.

Mściśław, choć rycerz i mąż wielkiej siły, oczy miał łez pełne.

Nigdy on uwierzyć nie chciał, ażeby płoche to serce odwrócić się miało od niego, rozmiłowany był w niej

zawsze; nawet, gdy uwieszona na ramieniu króla, wypowiedziała mu wiarę — i w tem jeszcze widział tylko kłamstwo dla ocalenia mu życia popełnione.

Odzyskać swą Krystę pragnął najgoręcej; — namiętność jego była ślepą. Rozradowany więc tem, co za cud prawie uważał, jak matka troskliwie około niej chodząc, począł ją cucić i tulić.

Krysta przerażona widokiem jego, drżała ciągle i płakała; — rękami odpychała go, a usta ciągle powtarzały jedno: krew.

Nierychło przekonał się Mścisław, iż widok jego tak ją trwożył, iż jej zmysły odbierał. Musiał się odsunąć nareszcie i powierzyć opiece obcej, aby nowych omdleń i krzyku nie być przyczyną. Nie mogła nań patrzeć i zakrywała oczy...

Z gromady ludzi, których miał z sobą, wysłał natchmianst dwóch do miasta, aby mu wóz i starą jaką niewiastę do dozoru nieszczęśliwej sprowadzono. Do domu posyłać za tem zbyt było daleko. Sam zdala został na straży, osłoniwszy leżącą na ziemi z zakrytymi oczyma.

Mścisław, który przeciw króla ziemian pobudzał, jechał razem z innymi, łączyć się z Krukiem i Leliwą; jechał, wrac zemstą i jęcząc drugich, a nagląc do napaści. Lecz teraz, co mu był król, wojna, zemsta, gdy Krystę odzyskał! O wszystkim zapomniał. Ludzi swych odprawił do obozu, sam pozostał.

Pod noc już, nierychło, nadciągnął wóz i znajoma mieszcza, babka z Krakowa, która nieraz w Bużeniu bywała, bo ją za lekarzkę miano. Właśnie znużona płaczem może i głodem Krysta usnęła była, leżąc na ziemi. Zwolna podniesiono ją i położono na wozie, a gdy zbudzona otworzyła oczy, ujrzała nad sobą już nie straszego Mścislawa, ale twarz staruszki, która jej, jak niania dziecku, głowę otulała.

Zamknęła oczy, nie chciała patrzeć. Wóz zwolna się poruszał, a za nim Mścisław konno, gdyż go nikomu nie chciał powierzyć.

Do Bużenina z chorą było mu za daleko; bliżej do

jeden tylko mały dzień drogi. Tam też jechać kazał. Góry, w której mieszkała owdowiała matka Krysty, bo

Krysta na wozie leżała jak w kolebce, dając się karmić i poić, bezmyślnie, jak dziecię. Zdało się jej, że to wszysiko, co przeżyła snem było, że znów powracały dni dzieciństwa i młodości, że mogła być znowu szczęśliwą, spokojną, kochaną.

Tamto wszystko, co się jej przypomniało z przeszłości burzliwej, zmorą jakąś było straszną, która przeminęła na wieki.

W nogach jej na wozie siedząca starucha zgarbiona, otulała ją ciągle i jak dziecku do snu nuciła.

Mścisław jechał umyślnie zdaleka, aby ją nie trwożył tętent i brzęk żelaza, które miał na sobie.

Drugiego dnia nad ranem koniom dla paszy i spoczynku stanąć trzeba było. Mścisław kryjąc się jeszcze przed nią, przez litość, którą miał nad nieszczęśliwą, poszedł w zarośla spocząć opodal od wozu.

Stara pomogła Kryście chusty odrzucić, aby popatrzała na świat boży. Przebudziła się zdziwiona, powiodła dokoła oczyma czarnemi. Las zieleniejący stał, nad nimi pusto było i cicho, ptaszki śpiewały w gąszczach, nad głowami lazurowe rozpościerało się niebo. Lice jej się rozpogodziło: trochę zapomniała przeszłości i pozbyła trwogi.

Wóz stanął na spoczynek nad gościńcem samym. Krysta jeszcze się zdumionemi oczyma rozpatrywała w łąkach i drzewach, gdy na drodze jeźdźcy się pokazali.

Była to gromada ziemian zbrojnych, jadących także do Krakowa na zawołanie starszyny. Ciągnęli powoli i przeciągać mieli mimo stojącego w cieniu wozu, gdy jeden z nich spojrzał, rozśmiał się głośno, dziko i z koniem do wozu przyskoczył.

— Hej, Krysta Bolesławowa! hej, Krysta miłośnica! Cóżes to pana porzuciła! — krzyknął.

— Krysta miłośnica! — powtarzali za nim inni, śmiejąc się okrutnie i wóz otaczając dokoła.



— Krysta, a gdzie twój pan miły? Czy do piekła pojechał? Czy się skrył do Smoczej jamy?

— Krysta miłośnica? — wołali jedni do drugich, pokazując ją sobie palcami.

— Zabić wiedźmę przeklętą! — poczęli wołać inni.

— Zgnieść to plugastwo wszeteczne...

-- Krysta! Krysta! — odzywało się na wszystkie strony.

Nieszczęśliwa pod tą chłostą słów okrutnych, pod gradem tych wejrzeń strasznych padła jak nieżywa, zakryła twarz, wtłoczyła się niemal na dno wozu i głosem rozdzierającym znowu krzyczeć poczęła:

-- Krew! krew!

Obłąkanie wracało. Drżąc i miotając się, stężała z boleścią na wykrzywionych ustach. Gdy Mścisław, ściągnięty jej krzykiem, przypadł, aby ją bronić, zastał już omdlałą i prawie bez życia.

Ujrawszy go nadbiegającego — nielitościwi ludzie, zamiast usłuchać wołania i prośb, jęli się z niego urągać.

Mścisław rzucił się na nich jak wściekły, o mało do krwawego boju nie przyszło. Starszyczna, ulitowawszy się wreszcie nad nim, gdy go rozbrojono po krótkiej walce, odjechała szybko, zostawując leżącego na gościńcu.

Nie obeszło się jeszcze bez wykrzyków nad Krystą i śmiechów, a swawolnych wyrazów.

Gdy gromada odciągnęła, stara baba ledwie się nieszczęśliwej zdołała docucić. Życie z niej uszło prawie: skołowaciała leżała z pianą na ustach i oczyma nieruchomemi. Z życiem wracającym wróciła trwoga, krew i obłąkanie.

Mścisław, któremu w czasie walki u wozu koń się był przestraszony wyrwał i uciekł, idąc pieszo, prowadził dalej Krystę do matki. Zdało mu się, że szedł za trumną.

Gdy się pokazał dwór w Górze, otoczony częstokolami, poszedł przodem do niego.

Gospodarzył tam zięć drugi, przy którym stara matka siedziała.

Sulisławowa córki swej, od czasu jak jej srom uczyniła, znać ni wiedzieć o niej nie chciała.

Pusto było w Górze; siostra Krysty po chorobie niedawnej leżała, nie wstając jeszcze, stara Sulisławowa za nią i zięcia gospodarzyła w domu. Wielkie wrota pod dachem stały zaparte, cisza panowała we dworze.

Mściśław, wszedłszy przez furtę boczną pocichu, zastał matkę na przedsieniu z kądzielą. Ta, ujrawszy go i poznawszy, kądziel rzuciła, aż się stoczyła na ziemię, dłonie podniosła, krzyknęła i uciekać chciała. Wstrzymał ją Mściśław.

— Matko moja — zawołał. — Miłosierdzia proszę! Ratuj mnie i Krystę...

Usłyszawszy to imię, stara w ręce podniesione uderzyła, zatrzymała się i krzyknęła:

— Coś ty, oszalał?

— Krystę do was wiozę; — Krystę moją nieszczęśliwą, ledwie żywą. Uciekła ona sama z zamku, gdzie ją gwałtem trzymano. Znalazłem na polu, chorą, biedną...

Sulisławowa przerażona, niepewna, powtórnie chciała uciekać, lecz rozmyśliła się i wróciła. Łzy miała na oczach, serce matki zwyciężyło.

— Oto ją tu wiozę, matusiu najdroższa! Ona jeszcze na mnie dla sromu patrzeć nie może... Chora jest, nieszczęśliwa, ulitujże się! ulituj!

A widząc, że się matka waha, dodał jeszcze:

— Cóż ona winna! co winna!

A tuż skrzypiały wrota, które naościęz otwierano, i wóz się powoli wtaczał w podwórze, na którym ledwie żywa, leżała blada Krysta. Mściśław skrył się u węgła. Wóz się wstrzymał u wniścicia. Sulisławowa już nie uciekała, łzy jej ściekały po policzkach.

Starucha zwolna podniosła bezwładne ciało chorej ręką ostrożnie jej odchyliła zasłonę z twarzy. Krysta otwarła oczy strwożone i natychmiast zamknąć je

chciała, gdy przed sobą ujrzała i poznała matkę, która ku niej wyciągała ręce.

W jej umyśle znów stał się przewrót dziwny, życie znów niby się snem wydało, a otwarcie oczów przebudzeniem.

— Matusz ty moja! — odezwała się.

— Dziecko moje!

I głowa nieszczęśliwej spoczęła na ramieniu starej, oczy się jej jak do snu spokojnego zamknęły!...

— A! jaki to był sen okropny! — poczęła szeptać. — A! to ja w Górzel! w Górze...

Oglądała się, podnosząc trwożliwie.

— Nieprawdaż? to Góra? Tu niema nikogo złego? tylko ty matusz, siostra i Krysta... a tamto wszystko, co było, to sen i zmore!!

Sulisławowa, płacząc, potakiwała dziecięciu; — powoli, ostrożnie z wozu ją zniesiono.

Teraz dopiero przypatrzyć się jej mogła. Cóż się to stało z jej Krystą! Z tą śliczną, białą, różową, jak kwiatek świeżą Krystą, przed którą królowie na twarz padali!! Lice miała jak rąbek niebielony blade i żółte, usta sine, jak zwiędły liść róży, oczy wpadłe; drżała jak gałąź osiny, nie mogąc się na nogach utrzymać.

— Góra! — powtarzała pocichu — a! co to za sen ciężki miałam, matusiu!

Znowu główkę sparła na jej ramieniu, płacząc pocichu, aby gorzkie łzy, co jej ciążyły, wypłakać z siebie. Sulisławowa płakała z nią milcząca. Matczyna łza gorąca padła na jej twarz. Krysta się targnęła z krzykiem, wołając:

— Krew! krew!

Dwie niewiasty, obejmujące ją rękami, poczęła odpychać przerażona, aż posłyszawszy głos matki, oczy w nią wlepiła, przytuliła się do niej, i uspokojona szeptała:

— Sen to był — sen, matusiu!

I matka potwierdzała, głaszcząc ją po zimnem licu.

— Sen, sen!

Tak ją do cichego zaprowadzono kątką i położono

na spoczynek. Mścisław na podsieniu usiadł, sparł się na rękach, i — jak wierny pies pozostał na straży. Odstąpić jej nie chciał i nie mógł, a przystąpić do niej nie wolno mu było.

Krysta nie była przytomną i nie była obłąkaną; — zdziecinniała, wracając do Góry, gdzie była niegdyś dziecieniem. Dobrodusznym, starym babkom, co ją ołaczały, pojąć było trudno, co się z nią działo. Mówiły sobie, że to czary, a urokil!

Posłano po baby, aby urok odczyniły, aby zamały ichto, by jej wróciły przytomność i zdrowie.

Mścisław, któremu niedawno tak pilno było iść z innymi wraz na króla, upadł na siłach i męstwie: siedział w drugiej izbie na ławie, lub sparłszy się na stole drzemał, czatując a pilnując, co się z Krystą dzieje.

Próbował do niej iść, lecz ile razy się pokazał, oczy zakrywała, mdlała ze strachu przed nim, choć łagodnemi do niej mówił słowami, a pieścił ją jak dziecko.

Matka go też precz pędziła, musiał wracać do pierwszej izby w kąt, na ławę, przysłuchując się stąd głosowi cichemu Krysty, która z matką dziecinniała...

W Krakowie na zamku coraz, to puściej było. Ucieczka Krysty zgniewała króla i przybiła; przypisywał ją księżom i zdradzie. Chodził po izbach pustych, patrzył po kątach ciemnych, czasem się gniewem wielkim unosił, a co mu naówezas pod rękę wpadło tłukł i zabijał.

Od dnia popełnionego morderstwa godziny spokoju nie było... Każdego ranka ktoś uchodził. Posyłał król po kogo, — nie przybywał; nie było dlań żywej duszy, oprócz garści dworu, drużyny i niewielu zbrojnych ludzi, co na zamku stali, nie miał za sobą nikogo.

Duma pańska walczyła z tem wypowiedzeniem wojny przez kraj cały. Nie ustępowały z błoni pod zamkiem kupy nagromadzone ziemian i rycerstwa, które go znać za króla nie chciały; nie ustępował on z Wawelu.

Często na złość im król, wychodził albo wyjeżdżał

sam jeden, mijał je powoli, nastreczał się oczom, zdawał ich wyzywać bezbronny.

Naówczas, zoczywszy go, ludzie odwracali się, jakby go nie widzieli; gdy wołał, udawali, że nie słyszą, gdy pytał, nie odpowiadali, niektórzy bojaźliwsi uciekali od niego. Nie porywał się nań nikt, ale mijali wszyscy.

Z dniem każdym stawało się gorzej.

Kościół pozamykane były wszystkie, nigdzie dzwonu ni modlitwy, nigdzie księdza u ołtarza, lud ochrzczony już i chrześcijański, szczególnie po miastach, próżno się domagał spowiedzi, ślubów, pogrzebu. Księża się przed nim zamykali.

Spróbował król wysłać zaufanego do Poznania, do Gniezna, do Płocka, do Wrocławia, wzywając, aby się doń zjechali biskupi; wszyscy mu jedną dali odpowiedź, iż zbójcy i świętokradzcy za pana znać nie chcą, ani głów na miecz jego narażać. Odpowiedzi przychodziły mniej więcej zgodne, łagodniejsze lub ostrzejsze — odmowne wszystkie.

Uśmiechem złym król pokrywał gniewy; ramionami potrzasał i wiódł życie po staremu, nie zważając na nic. Tylko na zamku z dniem każdym było samotniej, a i ludu prostego trudno było zwabić jadłem i napojem.

Przy nim stała wierną tylko ta gromadka Boleszcyców, co się na wszystko poświęciła, byle dochować wiary, dwie królowe i Rusini ich dworu. Zamek jak wyspa na morzu stał odosobniony od świata. Kto w nim mieszkał do tego już wkońcu mówić nie chciało i sięść z nim do jednego stołu, ani mu ręki podać nikt się nie ważył.

Bezsilny gniew króla rozbijał się o milczący, zimny opór kraju. Nie napastował nikt, lecz nikt go nie chciał. Dnie bez końca długie, milczące, straszne, wlokły się na Wawelu, co gorsza bez jutra.

Dworacy Bolesławowi za niego się trwożyli i biegali.

Był jeszcze na stolicy wrocławskiej naówczas biskupem Jan Jastrzębiec, Odyłona syn najstarszy.

Borzywój, po naradzie ze swoimi, nic królowi nie mówiąc, dnia jednego wybrał się do Wrocławia, do niego. Mało stryja tego znał, ufał przecież związkowi krwi z nim, że tam znajdzie radę i opiekę.

Na podróż tę przywdziać musiał odzież inną, aby się nie wydawać ludzkim oczom z tem, że do dworu króla należał; a że i z twarzy go dość znano, przebierać się musiał manowcami i lasami ku Śląskowi, co podróż wielce przedłużało.

Dopiero, w świat ruszywszy, przekonał się, jak trudno było ratować. Wszystkie głosy odzywały się przeciw niemu, duchowieństwo trwogą nawet lud, na który król rachował, odeгнаło od niego. Nikt nie myślał stawać w obronie tego, którego dusza i ciało były w mocy szatańskiej.

Rycerstwo i ziemianie brali górę, sieli przestach, nikt ruszyć się nie śmiał przeciw nim. Pamiętano czas po wygnaniu Kazimierzowem, gdy cały kraj się zawichrzył i zasypał gruzami i popiołem; obawiano się ich powrotu, w ciszy i trwodze czekano jakiegoś końca. Za królem nikt się ani odezwać śmiał, choć może go kto i żałował.

Rozpowiadano już o cudach u grobu męczennika, o orłach, co porąbanych zwłok jego pilnowały, o światłości, co nocami nad grobem jego gorzała.

Borzywój, kryjąc się z sobą, i czem był, i z czem jechał, znużony i znękaný przybył wreszcie na dwór stryjowski. Tu u progu się opowiedział jako synowiec pański: ale niewiele to pomogło, bo nierychło go dopuszczono.

Biskup Jastrzębiec był już starcem, złamanym wiekiem z długą brodą siwą, o kiju chodzącym, ale na umyśle przytomnym. Gwałtowny charakter Odyłona w części po nim odziedziczył, chociaż go chrześcijańskie wychowanie znacznie złagodziło. Popędliwość ojca, w synu się stała surowością nieubłaganą.

Milczący kleryk zaprowadził Borzywoja po dłu-



giem oczekiwaniu do biskupa. Izba była przyciemniona, starzec opodal w krześle poduszkami obłożony siedział, i gdy Borzywój stanął w progu, podnosząc nań oczy, zbladłe z pod zawisłych brwi siwych, zapytał naprzód głosem ostrym:

— Z tych jesteś, co przy królu byli?

— Z tych, co przy królu są — odparł Borzywój z westchnieniem.

— Nie zbliżaj się do mnie! Zdała stać! — krzyknął biskup. — Nie waż się z progu! Czego tu chcesz? Wszyscyście razem z nim wykleć! Znać cię, ani mówić z tobą nie chcę. Precz!

— Miłość wasza pozwoli...

— Powinni cię byli pod ten dach nawet nie wpuszczać, wołał biskup, ręką bijąc o poręcz. — Czemuś go zaraz nie porzucił? Odprawileś pokutę? przejednałeś się z kościołem? Mordercy! świętokradcy!

— Jakże mogłem króla odstąpić — rzekł Borzywój, gdy wszyscy nas i jego odpychają, nawet rady znaleźć nie umiemy.

— Rady! Niema jej dla bezbożników, dla zbójców w grzechu zakamieniałych — mówił biskup. — Gdzie ten morderca?

— Na zamku w Krakowie.

— Trwa więc w złości swej, zabójca błogosławionego brata naszego i swojego, Kain ten krwią zbluzgany, rozpustą zgniły?

Borzywój zmilczał. — Biskup popatrzał nań surowo, zdawało się, że w nim trochę litości obudził.

Borzywój, nie wiedząc już co mówić ma, spytał:

— Co król uczynićby powinien, aby mu odpuszczono było?

— Azali mu ta zbrodnia odpuszczoną być może? — krzyknął Jastrzębiec. — Świętokradztwo! ojcobójstwo! Jeden tylko biskup rzymski, pan nasz, naznaczyć mu może pokutę, a ta lekka nie będzie.

Borzywój słuchał, milcząc.

— Pokuta — mówił stary biskup — z powrozem na szyi, boso, ze świecą w ręku, u drzwi kościelnych

stać lata całe, kościołowi oddać wszystko, co ma, a precz iść z kraju, bo pomazany krwią ojcowską, pomazańcem Bożym być nie może.

Wzdrygnął się Borzywój; — biskup pilnie go śledził oczyma.

— Toż samo was czeka, służalców, coście z nim byli. Ty? byłeśli tam? podniosłeś rękę?

Borzywój nie odpowiedział, ogarniał go przestrah i zgryzota, głowę spuścił jak winowajca.

Milczenie za odpowiedź starczyło.

Biskup rękę suchą wyciągnął i drzwi mu wskazał, uparcie trzymając palce drżące, skierowane ku nim. Borzywój nie odchodził.

— Chwili tu nie powinienes zostać! — wołał stary Jastrzębiec głosem wzruszonym. *Vade retro! Vade retro!* precz! nie znam cię jako krew naszą. Precz!

— Ojcie mój! — odezwał się zimnym oblany potem Borzywój — pójdę, nie idzie mi o siebie, ale o pana mojego. Radźcie, co czynić ma.

— Tak więc jeszcze kochacie tego potwora? — krzyknął Jastrzębiec — tak stoicie o tę zgniliznę, co się tylko zdała na ogień piekielny? Ha! Czujecie, że spółnictwo zbrodni was z nim wiąże! Razem djabłu wpadniecie w paszczę...

— Rady! — krzyknął Borzywój błagająco.

— Niech się wlecze w żebraczym odzieniu do Rzymu, niech tam u nóg ojca naszego, papieża, padłszy, błaga o rozgrzeszenie, a królestwo niech opuści, bo dopóki on je kała przytomnością swoją, ani świętej ofiary, ani błogosławieństwa nie ujrzy ta ziemia; odłogiem załegnie, spustoszeje, ogień ją pożre jak Sodomę i Gomore.

Gniew wzrastał w piersiach biskupa, Borzywój nie śmiał się odzywać; myślał się już w ostatku cofnąć, gdy Jastrzębiec zawołał nań:

— Litość mam nad tobą — rzekł — jeżeli się kajać będziecie, ty i twoi bracia, naznaczę pokutę i wyjednam oczyszczenie! Zostań poza obrębem mojego dworu, za bramą, los ci obmyślę.

— Ojcie mój — odezwał się Borzywój — dzięki wam skłamałam najpokorniejsze, ale ja jeszcze służę i do mojego pana powrócić muszę!

Zaledwie usłyszawszy tę odpowiedź, biskup się porwał, trzęsąc z siedzenia.

— Precz zatwardziały! precz niepoprawny, precz bezecny, który wracasz do nieprawości swej jako pies do tego, co z siebie wyrzucił. Precz! noga twa niech tu nie postanie, oczy moje niech cię nie widzą więcej!

Biskup gwałtownie w ręce bił, i kija wyszukawszy, stukać nim zaczął, miotając się cały zburzony. Wpadł kleryk przelekły.

— Precz z tym poganinem! za wrota go wyrzucić! Niech mi nie kała podwórza i progu! precz!

W gniewie namiętym biskup, któremu głosu brakło, upadł na krzesło, a kleryk zlekka za rękaw ująwszy Borzywoja, natychmiast, wedle rozkazu, wywiódł go ze dworu.

Otwarto wrota, wyprowadzono konie ze dworu biskupiego, wyrzucono na ulicę i wrota się za nim zamknęły na wrzeczadze.

Po wyjściu jego jeszcze starzec zajadły przywołał ludzi, nakazując im, aby mu ni wody nie dawali, choćby z głodu umierał.

Pozostawszy tak na gościńcu u wrót, Borzywój, który choć chwilowo, spodziewał się przytułek znaleźć u stryja, w obcym miejscu, sam jeden, niebardzo wiedział jak się obrócić. Na dworze biskupim miał wprowadzić bratanka Pawła, którego stary Jastrzębiec wziął do siebie, aby go do stanu duchownego sposobić, lecz o tego ani się teraz dowiedzieć, ni doń można było przystąpić. Chciał spróbować ludzi pytać, lecz po zatrzaśnięciu wrót, nikt nawet mówić doń nie chciał.

Stary Jastrzębiec długo potem uspokoić się nie mógł.

Od niego Paweł, bojaźliwy, zahukany nowicjusz, dowiedział się o losie Borzywoja, lecz szukać go, mówić z nim byłby nie śmiał, jako z wyklętym. Kłątwa węzy rodziny zrywała.

Borzywój pociągnął do miasta, ubogiej sobie szukając gospody, aby trochę w niej spocząwszy, zaraz nazad powracać do Krakowa.

Po Śląsku już chodzili wieści, że się tu znowu Czechów spodziewano, którzy kraj, jako bezpański, prawem dawnego podboju zajmować chcieli. Przysposabiała się znowu rozerwanie królestwa i łupieże.

Borzywój, który ze wszystkich najczynniejszym był, nazajutrz już siadł na koń i wracał do Krakowa, postanowiwszy zataić przed królem, co od biskupa usłyszał. Znowu temi samemi manowcami puścił się w swą drogę, unikając ludzi, omijając gościńce, noclegując po lasach i gęstwinach.

Gdy na Wawelu stanął, znalazł tu wszystko jak było, tylko garść, co przy królu stała, zmniejszoną, a Bolesława ogarniętego jakimś szalem niby wesołym, w istocie rozpaczliwym, urągającym się światu całemu. Przez tyle dni nie widząc Borzywoja, król gdy go znów spostrzegł przy sobie, nie spytał nawet gdzie był i co począł, popatrzał tylko nań długo, odwrócił się i poszedł.

Dumny król o tem, co mu groziło, co go otaczało, dotykało, nie wspominał nigdy, mówić nie chciał, zdawał się nie widzieć. Występował z całym królewskim przepychem, sypał skarbami i o jutro nie zdawał się troszczyć wcale. Z drużyną rozprawiał o łowach, koniach, sokołach, o kobietach, o wojnie, o dawnych czasach, nigdy o tem, co się działo. Gdy kto słowo wtrącił o sprawach obecnych, odbierał wejrzenie groźne i zmuszonym był milczeć.

Twarz tylko królewska świadczyła, że to, co z niego nie wychodziło, pożerało go wewnątrz. Zżółkł, starzał, posepniał, a wesołym chcąc być, stawał się złym. Najmniejsze przewinienie we wściekłość go wprawiało.

Wieczorem po powrocie Borzywój poszedł z innymi za królem do sypialni, a gdy się tamci porozchodzili, u drzwi pozostał. Król zobaczywszy go, stojącego uparcie, w chwili, gdy na sen kubek miodu dopijał, wedle zwyczaju, odezwał się ostro do niego:

— Czego ty chcesz ode mnie?

— Miłościwy panie — odpowiedział Borzywój — czasem i o tem mówić trzeba, co boli.

— Nie! — zawołał król — o tem, co boli, tylko baby rozprawiają, mężowie ból powinni umieć zwyciężyć i śmiać się.

— Gdybyście pozwolili, miłościwy panie — odezwał się Borzywój.

— Mów, gdy cię język piecze — rzekł król niecierpliwie — mów, a nie baw mi długo.

— Nie kazalibyście mi do Węgier jechać i przyprzewadzić trochę ludu?

— Ja? prosić o posiłki u cudzych ludzi na domowe sprawy! — wybuchnął król. — Cóż mi grozi? Stoją i patrzą, poczynać nic nie śmieją. Lud trzeba ruszyć, a nie obcych ściągać, lud, gmin.

— Miłościwy panie — lud teraz się wyciągnąć nie da. Za późno!

Król się obruszył gniewny.

— Boście wy wszyscy baby, tchórze i bez mózgu czereda! Nie umiecie nic, a ja sam od chaty do chaty chodzić nie mogę.

— Od chaty do chaty chodzili księża i postraszyli ich...

Bolesław legł, dopiwszy kubka, odwrócił się do ściany i natychmiast zmienił rozmowę; chciał się dowiedzieć o liczbie ziemian i rycerstwa, które pod Wawelem stało. Borzywój nie umiał odpowiedzieć na to, uląkł się tylko, gdyż przewidywał myśl króla, który mógł z garstką sobie wiernych rzucić się na tłumy.

Wszystka ta gromada, jaką król miał przy sobie, ograniczała się do kilkuset głów zaledwie, a zbierający się ziemianie i rycerstwo po przedmieściach i stojący w okolicy, na tysiące się liczyli, byli dobrze zbrojni i przez samego niegdyś Bolesława do wojen zaprawieni. Była to czujna straż, ołaczająca Wawel, wyczekująca na ustąpienie króla, do którego zmusić go, naostatek choćby głodem, spodziewali się.

Długo milczał król, jakby usypiał, potem porwał się

i zawołał, sięgając do próżnego kubka. który sobie nalać kazał.

— Wyjść i stłuc to na miazgę, a będzie spokojnie! Borzywój nie mógł już milczeć dłużej.

— Miłościwy panie — rzekł — gdybyśmy ich nawet pobili, jeżeli sami rozpoczniemy wojnę, gdy oni porywać się nie śmieją, ściągniemy na siebie wszystko, co żyje i nie ujdzie nas stąd ani noga.

— Nieprawda! — krzyknął Bolesław — nie zwyciężę mnie i nie uczynią mi nic, imię moje popłoch sprawi! Pierzchną jak zające przede mną, gdy śmiało spadniemy im na karki. Nieprawda! Lud się naówczas ruszy, gdy zobaczy, że wojna ze zdrajcami rozpoczęta.

Borzywój chciał coś rzec, król zamknął mu usta; nie znosił przeciwnieństwa, począł lajać i uragać, drużynę swą zwąc tchórzami, zdalnymi do kądzieli i spódnicy, lecz i o wycieczce zamilezał.

Nazajutrz, jakby się do wytrzymania oblężenia przygotowywano, wysłano w okolice po żywność i zapasy, król opatrywał wały, ostrokoły i bramy. Srogi był, gniewny, lecz czynny i rozgorączkowany. Borzywojowi już słowa sobie powiedzieć nie dawał i unikał z nim spotkania.

#### IV.

Upłynął rok cały.

Pomiędzy królem a krajem trwała ta wojna niekrwawa, milcząca, zacięta, w której nikt się do oręża nie śmiał porywać, ani go składał, a z obu stron walczoneo uporem, trzymając się na stanowisku.

Gromady snuły się, pod sam zamek podchodząc, rozkładając się u stóp jego; nieustraszony pan siedział na grodzie swym i uragał się im królewską pychą, starym obyczajem, świetnym dworem. Z całego państwa pozostała mu posłuszną jedna ta góra Smocza,



a z zastępów mnogich, tylko ta garść ludu, którą umiał do siebie przywiązać.

Dwie królowe pędziły dni w nieustannych łzach i trwodze. Niewiasty przynosiły im wieści straszne, o jakichś napaściach, zdradach, rzezi i zemście. Niejedną noc dwie panie przeklęczały przed obrazami świętymi, modląc się i oczekując śmierci. Po kilkakroć młoda królowa na klęczkach namawiała Bolesława do ucieczki; król ze śmiechem przyjmował namowy i nie odpowiadał na nie.

Stara matka tylko milczała; ta, jak syn, nie chciała się dać wygnać i gotową była czekać na los, jaki mógł ich spotkać, nie ruszając się z zamku.

— My tu panami — mówiła — król namaszczony i koronowany, nie mu uczynić nie mogą. Choćby poszli stąd wszyscy, ja się nie ruszę, tu umrę — nikt mnie palcem tknąć nie będzie śmiał.

A gdy Wielisława, tuląc syna, w imię dziecięcia się odzywała, nawet to nie poruszało babki: stawała zamysłona, pewna siebie, niezłamana i powtarzała:

— Róbcie wy, co chcecie, ja tu umrę, ja się nie ruszę.

Bolesław też zdawał się bodaj chcieć umrzeć na swym grodzie z koroną, niżeli ją dać wydrzeć sobie.

Druga wiosna (1030) nadchodziła. Zamek na Wawelu wyglądał jak gród długiem oblężeniem znękany. Na podwórcach jego trawa rosła, dla koni brakło paszy, dla ludzi strawy; z czeladzi coraz ktoś wymykał się i nie wracał. Pilnowano u wrót; inni nocą spuszcza-  
li się z ostrokołów na wały i znikali. Trwoga i niepokój ogarniały najśmielszych, lecz ktokolwiek odważył się szemrać, król strasznemi groźby i przekleństwami usta mu zamykał. Niektórych sromotnie poprzybieranych w skórki zajęcze, z kądzielami u pasa, na posmiewisko z zamku kazał wypychać.

Połowa budowli na Wawelu pustką już stała, do stołów nie było przychodzić komu, do wesołości trudno było przymusić. Zaufani wysłańcy królewscy próżno nocami po osadach chodzili i przekradali się, próbu-

jąc zaciągać lud do pułków królewskich. Strwożona czerń, panów swych widząc pod bronią, lękała się ioh zemsty nad rodzinami i ruszyć nie śmiała. Potajemnie dawano królowi żywność i paszę, ale się go jawnie zapierano.

Pomimo tej trwogi król nie poprzestał, jak za dawnych czasów, jeździć na łowy, nakazując tylko pilno strzec wrót i wałów, później dowiedziawszy się, iż czasu jego niebytności próbowano ubiec Wawel, nawet już rozrywki wyrzec się musiał.

Siedział lub leżał, najczęściej w izbie swej ze psami, czasem w oknie, z którego szeroki kraj i Wisłę widać było, całemi godzinami mruczał coś do siebie, rzucał się i przeklinał. Gdy kto z ludzi wszedł, wesołego udawał, a szczodrym był jak nigdy.

Z tej wesołości najmniejsza rzecz do wściekłego gniewu go obudzała. Naówczas z tych resztek ludzi, co przy nim pozostali, wybierał nieszczęsne swe ofiary, ścinał, wieszał i nazajutrz postradanych żałował.

Jednego ranka, gdy napół odziany jeszcze ze psy swojemi siedział, konia kazawszy sobie przywieść pod okno, aby się nań choć popatrzyć, wszedł Borzywój, który teraz podkomorzego przy królu sprawiał obowiązki i — po długiem wahaniu, oznajmił, iż ziemian kilku u wrót czeka, domagając się z królem rozmowy.

Zadumał się Bolesław — pierwszą myślą jego było kazać ich precz odegnąć; z niczem dobrem przyjsć nie mogli. Już miał rozkaz na ustach, gdy zmienił postanowienie i wołać ich kazał. Sam, zaledwie się przyodziawszy, poszedł do izby, w której dostojniejszych gości dawniej przyjmował.

Gdy się tu znalazł sam, mimowoli stanęła mu przed oczyma ostatnia bytność biskupa; zdało mu się widzieć tu jeszcze cień zabitego, grożącego karą niebios. Zachmurzony padł na swe siedzenie królewskie, oczy odwracając od tego miejsca, w którem zdało mu się widzieć widmo krwawe, z roztrzaskaną czaszką, pozrywającego go na sąd Boży.

Wtem kroki się słyszeć dały; Borzywój prowadził za sobą Leliwę, Brzechwę i Kruka.

Dawniej nie tak oni do królewskiego zbliżali się majestatu. Dziś szli jak do obcego, któremu nic nie byli powinni, — wsunęli się powoli, nie skłonili głów nawet, u progu stanąwszy zdala, rozglądać się zdawali obojętnie.

Bolesław patrzył na nich oczyma nienawiści pełnymi, oni odpowiadali mu dzikimi wejrzeniami. Milczenie trwało dość długo.

— Myśmy tu przyszli — przemówił Leliwa, — bo czas coś stanowić; kraj się bez pana nie ostoi. Nim my was głodem weźmiemy, może upłynąć kilka miesięcy. Idźcie lepiej dobrowolnie stąd, zanim my was wyżeniemy.

— Tak, idźcie sobie na Ruś, — pochwycił Kruk, albo i gdzie się wam spodoba, bo tu długo siedzieć nie będziecie — nie.

— Nas dosyć jest — dodał Brzechwa — aby i zamek zdobyć i ludzi wyrzezać; nie muście nas do tego, nie czekajcie na to. My wam wolne wyjście dajemy.

— Węgier wam też sprzyja za dawne posługi, toć i do niego możecie — dodał Leliwa.

Milczał król, jakby nie słyszał. Nigdy nikt jeszcze do niego tak się mówić nie ośmielił. W serce mu miecz wrzili temi słowy. Podparty na rękę, śmiał się.

— Jacyżście to miłościwi nade mną! — krzyknął — wolne wyjście mi dajecie! wy! mnie!

Nagle rozmowę przerwał, wstał i innym głosem zakrzyczał:

— Miłościwe pany, won a żywo! bo was jak psów powieszać każę!

Ziemiańskie, wcale się nie uląkwszy, popatrzali na siebie i Leliwa odpowiedział spokojnie:

— Powiesić nas pewnie możecie — myśmy o tem, idąc tu, wiedzieli. Co z tego? my starzy, nie wielka nas szkoda, a do wieczora i kamień na kamieniu tu nie zostanie. Popatrzcie, ilu nas tu dokoła stoi? Nie chcemy krwi waszej, bo choć nam królem nie jesteś, aleś nim

był. Puścimy cię ze wszystkiem, co masz, kędy chcesz. Miłosierdzie czynimy.

Milczenie głucho nastąpiło; — Bolesław sam do siebie powtarzał:

— Miłosierdzie! oni, mnie miłosierdzie!

— A miłosierdzie — powtórzył stary Brzechwa — łatwoby nam nielitościwymi być. Jest przy was może parę setek ludzi, u nas na tysiące miecze się liczą i takie, co dawniej wam służyły. Na pospólstwo rachowaliście — ale my się mu ruszyć nie damy.

Zamilkli; król spuścił się na siedzenie i milczał także.

Zmiana jakaś dziwna, nagła zaszła w jego usposobieniu, gniew ustąpił goryczy.

— Cóżem ja wam uczynił? — zapytał.

Posłowie popatrzyli na się. Jeden drugiego do mówienia oczyma naglił, aż Kruk się ozwał.

— Od Kijowaście się zaczęli znęcać nad nami, niewiasty nasze sukami zwaliście, nas w niewolę chłopom dać, chcieliście — albo to mało? a krew biskupa?

Król rzucił się gniewnie znowu.

— Zdrajcą był! — krzyknął. — Spotkała go kara zasłużona.

— Gdyby nawet był nim, — przerwał Brzechwa, — a któż go nim uczynił? kto, jeśli nie wy?

Bolesław, jakby nie słuchając, patrzył w strop nad sobą.

— Chrześcijańskiemu narodowi panować nie możecie — dokończył Leliwa.

Miotał się czas jakiś Bolesław, zdając się z sobą walczyć, czy ich miał za zuchwalstwo karać; potem, niby zapominając o nich, odwrócił się ku oknu otwartemu i zapatrzył w dolinę.

— U podnóża Wawelu roiło się kupami rycerstwo, ziemianie i zbrojne poczty. Gwar od nich aż tu dolaływał.

Posłowie, nie czekając odpowiedzi, widząc, że o nich zapomnieli, poszeptawszy coś między sobą, zawrócili się i wychodzić poczęli. Król siedział, jakby

wrół w krzesło swoje, nieporuszony, nie dając żadnych rozkazów, nie zdając się zważać na wychodzących. Nie tknięci i nie zaczepieni przez nikogo, przeszli przez szereg stojącej drżyny i dworu, wiodących za nimi oczyma i bezpiecznie do wrót się dostali. Straż ich wypuściła.

Jeszcze król nie wstał z siedzenia, gdy królowa Wielisława z synem przybiegła i rzuciła mu się do nóg z płaczem, błagając, aby siebie i dziecię swe od zagłady ratował. Zamek otaczały, naciskały tłumy coraz groźniej.

Bolesław nie spojrzał nawet ani na nią, ani na dziecko swe, porwał się z siedzenia nagle i, uprzykrzonego unikając widoku, wyszedł szybko.

W istocie dnia tego obozowisko Wawel otaczające poruszone było, zwiększało się coraz i zdawało gotować do jakiegoś stanowczego kroku. W kilkaset ludzi ani się bronić długo, ani obronić było podobna tłumom, nie mając żadnej odsieczy nadziei. Bolesław sam szedł na wały, patrzył długo, dumnie i wrócił krokiem wolnym do izby. Zawołano Borzywoja, skarbnych i pułkowników. Król stał blady, z wyrazem hamowanego gniewu i złości na czole pożałdowanym.

— Skarbiec mój na wozy ładować. Ludzie niech będą wpogotowiu do jednego. Nie jeden Kraków dla mnie na świecie. Wyjdę stąd z garścią, a wrócę z tysiącami, ale biada tym, których tu zastanę!

Natychmiast starszyna poczęła wydawać do drogi rozkazy, które wszystkim były pożądane.

Rzucili się ludzie ochotnie.

Dnia tego widać było tylko ładowane wozy, ściągane sakwy, konie, które sposobiono, zamęt, który po-dróż poprzedza.

Król z izby się nie ruszył, nie spojrzał, nie spytał o nic, pytających precz odganiał; leżał odrętwiały, psy kośmi drażniąc i śmiejąc się, gdy go gryzły. Gwar ogromnego tłumu, który chwilami wiatr otwartemi przynosił oknami, nie zdawał się go obchodzić.

Cała ta noc zeszła przy pochodniach na przyspie-

szonych przygotowaniach. W mieszkaniu dwóch królowych, niewiały, płacząc, odzierały opony, chowały sprzęty, biegały wylekłe, z rąk wypuszczając bezsilnych, co która chwyciła. Wielisława tuliła syna. Mieszko dopytywał, niemal wesoły, dokąd jadą?

Stara Dobrogniewa jak pierwszej rzekła, tak strzymała; — ona, ni jej dwór, nie myśleli z zamku wychodzić. Ochmistrzowi swemu rzekła niewiasta surowa:

— Niech sobie idzie, kto chce, a ja tu zostanę. Królową jestem i mam prawo tu być, tu będę mieszkała i tu umrę. Niech ucieka, kto chce — ja zostanę!

Próżno prosiła ją synowa, błagał Mieszko. Pogłaszała go po włosach miękkich, pocałowała w czoło, dwie łzy się jej puściły i rzekła:

— Idźcie wszyscy, ktoś przecie zostać musi, aby ród królewski nie zginął cały i nie ustąpił miejsca... Niech mnie wypędzą, zobaczymy, czy będą śmieli, lub niech mnie zabiją — ja zostanę!

Powiedziano o tem królowi, posłuchał i nie rzekł nic. Nie myślał się jej sprzeciwiać. Wieczorem poszedł sam do niej.

Spojrzała nań Dobrogniewa.

— Idź, panie mój, — rzekła — wam trzeba iść pomocy u ludzi szukać, ja starych kości wlec nie myślę po szerokim białym świecie. Ja na was tu będę czekała. Tu zostanę.

I jakby dla nadania sobie samej siły, Dobrogniewa powtarzała ciągle:

— Zostanę tu!

Nazajutrz jak świt wszystko było na nogach, zamek stał odarty i opustoszały... podwórca pełne, jak nabite, ludem się roiły.

Gdy królowę z Mieszkiem wyprowadzono do wozów, które iść miały w pośrodku, stara Dobrogniewa, którą dwóch jej wiernych komorników pod ręce prowadziło, wyszła ze złotym obrazem w rękę, z dwoma łoż strumieniami w oczach, kazała się trzymać ludziom, i drżące ręce podniósłszy do góry z obrazem, odjeżdżających błogosławiła.



Naprzód jechał sam król na siwej orlicy pod złotą deką, we zbroi pozłocistej, w płaszczu królewskim, z łańcuchem na szyi, z pasem kamieniami sadzonym, ubrany jak zwycięzca, w hełmie z koroną... Na bladej twarzy dumę widać było i wzdargę — żadnej skruchy i upokorzenia. Patrzał zgóry i grozić się zdał.

— Powróć!

Za nim jechali zbrojni, obwieszeni łukami, żelazem, mieczami, Boleszczyce, drużyna, dwór, czeladź, żołnierze, między siebie wzięwszy długi szereg wozów ładowanych skarbami, koni powodnych, psów myśliwskich i sokołów. Na wozach płachtami poosłaniane jechały, zawodząc, niewiasty, dzieci, chorzy.

Ani się obejrzał król, opuszczając zameczysko, oczyma dumnymi mierzył przed się. U boku jego powiewała chorągiew, niesiono miecze, szli z rogami ci, co ludziom niemi rozkazy dawać mieli.

Gromadka wiernych Boleszczyców, z dobytymi mieczami, stąpała wślad za panem. I oni także rodziny, domy, ziemię swą, wszystko rzucali, dochowując ślubowanej wiary, wiedząc, że albo głowy za nią dać będą musieli, lub długie lata cierpieć na wygnaniu wśród obcych i w poniewierce. Na twarzach z bólem widać było żelazne męstwo złączone. Drgnął czasem który, słysząc za sobą płacz niewiast i kwilenie dzieci, i wnet się krzepił, aby sercu nie dać mięknąć.

Gdy wszystko to wyciągnęło z podwórców, zamek pozostał pustym; kilku ludzi z Dobrogniewą, a u bramy jeden starzec powietrzem tknięty, co sobą nie władał, zostali załogą.

Orszak wysunął się za wrota, które otworem rzucono i postępował poważnie, wyciągając się powoli. U podnóża góry przez ściśnięte tłumy ziemian zdało się trudem przerznąć, nie dobywając oręża. Spojrzeli po sobie ludzie, ażali ich umyślnie nie wywiedziono w pole. Lecz król przodem jadący ze swymi, drogę sobie łatwo torował.

Zdała już rozstępowali mu się w milczeniu ziemianie, jak przed pogrzebem, idąc z gościńca.

Nikt szłyka nie podniósł, ale nikt nie rzekł niezdarnego słowa, ani śmiał nieszczęściu uragać. Patrzano na się z równą dumą, król na nich, oni na tego, co był ich królem.

Milczenie jakieś straszne zalegało dokoła; nie mruknął nikt, nie odezwał się, nie poruszył. Gdy wozy królowej i płaczące nadciągały niewiasty, chmurniały twarze; puszczo, nie żegnając.

Rodziny Boleszczyców, Jastrzębce, Drużyny, Śreniawy, gdy je mijał orszak królewski, nie dały znaku swoim braciom, nie obejrzały się ku nim. Szli wierni słudzy na wygnanie, zaparci przez swoich: — żadna się do nich dłoń nie wyciągnęła.

Dopiero wdali za orszakiem króla, który zwolna za Wisłę się przeprawiał, szmer zaczął powstawać, rosnąć, wrzawa się zrywać zaczynała.

Leliwa i Brzechwa chcieli zaraz pusty zamek zajmować, drudzy go pustym zostawić chcieli, dopóki by nowego króla nie było i kościelna klątwa z ziemi i grodu nie została zdjęta.

Wtem wśród narady nadszedł ktoś z doniesieniem, iż stara królowa matka z kilkorgiem czeladzi pozostała na zamku i ustępować z niego nie myślała. Starszyczna zdumiała się jej męstwem, lecz je poszanowała. Posłano wnet do Dobrogniewy, zapewniając ją, iż bezpiecznie pozostać może, a o potrzebach jej staranie mieć będą starsi. Dowiedziawszy się o niej na zamku, tem już mniej zajmować go myślano, porzucono go, jak był pustką i ruiną.

W obozie ziemian dnia tego wesele było wielkie, jak z odniesionego zwycięstwa. Dzień jeden stali wszyscy, aby się upewnić, że król nie powróci, naradzić, co czynić dalej, rozesłano posłańców do biskupów, do żupanów po zamkach i grodach, a drugiego dnia groźne owe zbiorowisko od podnóża Wawelu rozbiegać się, rozjeżdżać i rozchodzić zaczęło.

Tegoż samego dnia, gdy król z krakowskiego zamku wyciągał, na mogiłki w Górze wieziono, czarnemi wołami zaprzężonym wozem, trumnę, przy której nie

szedł nikt, tylko matka stara, zestarzały nagle Mści-sław, mąż Krysty, i płaczki najęte.

Szalona niewiasta, rok przeżywszy naprzemiany we łzach, obłąkaniu, śpiewach, snach i boleściach, jednego ranka, marząc o lepszym świecie, już się nie zbudziła. Matka ją w gzło białe odziała, płacząc, do trumny, mąż narzucił kwiatami, wywieźli na wzgórze, i w żółtym piasku pochowali.

## V.

### E P I L O G.

Znowu upłynął rok i była wiosna, nie ta, co się bu-dzi, leniwa, senna, drzemiąca, jakby się jej na świat nie chciało, ale spóźniona, śpiesząca się, której pilno zmieść zapomniane śniegi, połamać lody, wyzwolić ziemię, rozwiązać pączki zamknięte i życia otworzyć wrota.

Długo na nią ludzie oczekiwali, lecz przychodziła teraz zdyszana i robiła cuda. Gdzie wczoraj jeszcze skorupy leżały brudne, dziś już tryskała zieloność, drzewa rozwijały liście, potoki wezbrane leciały z gór, unosząc z sobą ogromne suchych drzew kłody i ka-mienie obłamane. Nigdzie może piękniej i groźniej z całą wszechmocnością swą nie występowała wiosna, jak w tych górach, lasami okrytych, które otaczają benedyktyński klasztor w Osjaku.

Tu ojciec Otton, który po wygnaniu go z zamku krakowskiego, zrazu udał się do Mogiły, z rozkazu zwierzchności swej przeniósł się dokonać żywota. Rok już przeszło staruszek wśród nowej znajdował się bra-ci. Przyniósł z sobą mały węzełek swój, deski i farby, chcąc i tu na chwałę Bożą pracować, malując, ale wiek i trud i łyzy może wzrok mu nadwątlily. To co stano-wiło największą rozkosz cichego żywota, praca około obrazków świętych, stała się niepodobieństwem, wi-dział mało, mgłą zachodziły źrenice.

Znać Pan Bóg żądał odeń ofiary tej. O. Otton, poddawszy się z pokorą woli Pana, rzekł:

— Stań się wola Twoja, i przełożonego ucałowawszy w rękę, prosił go o inne zajęcie.

Niegdyś czytał był wiele ksiąg lekarskich, znał zioła, przy klasztorze była mała apteka, przyszło mu na myśl, iż około niej chodząc, mógł być jeszcze użytecznym.

Skromnie i pokornie poddał to przełożonemu, który chętnie się zgodził, aby o. Otton zajął się zbieraniem ziół i przygotowaniem smarowań, maści i wód, jakich natenczas medycyna używała. Stało się to wielką dla staruszka pociechą, gdy nowe znalazł zajęcie. Modlitwa żywiła ducha jego, ale sama reguła zakonu i charakter jego wymagał czynnego zatrudnienia życia. To było znalezione i o. Otton prawie oczów swych i malarstwa nie żałował.

Już jesienią rozpoczął przechadzki po górach, szukając ziół, o których cudownych własnościach miał wiadomości, lecz jesień ledwie go zaopatrzyła w korzonki roślin, — kwiatów musiał czekać do wiosny. Najskuteczniejsze liście młode, pączki, kwiecie dać mu dopiero miała ta pora roku, co nowe soki wlewa w martwe i uśpione istoty.

O. Otton oczekiwał jej jak wybawienia z zimowej niewoli, — w tym roku później jakoś niż zwykle przychodziła. Góry długo stały śniegiem okryte, lasy szronem osypane, ziemia obleczona zmarzłemi skorupy, słońce się nie ukazywało, wiatr z południa nie zwiastował zmiany. Ale ptactwo wędrowne już górą ciągnąć zaczynało, o południu czasem tajały na dachach śniegi, a jednego dnia rozdarły się zasłony płowe i wesołym blaskiem oblała okolica. Wiatr już wiał z południa.

Naówczas w mgnieniu oka prawie, jak to bywa w północnych krajach, dokonana się metamorfoza świata. Zima, co już się zdawała wieczną, nie przeżyła jednego dnia słonecznego. Poruszyło się w górach wszystko, spadły deszcze, powiały wiatry gorące,

topniały śniegi w oczach i strumienie, których wczoraj nie było, dziś się stały groźnemi rzekami. O. Otton patrzył na to przez okienko swej celi i radowała się dusza jego... miały mu zakwitnąć pierwiesniki, miały pęknąć pączki brzozowe, leśne bogactwa dla niego się rozwijały.

Nigdy dzieło Bożej ręki cudowniejszem mu się nie wydawało... To budzenie się do życia całej natury, lzy zachwytu wywoływało mu na oczy. Cudem zdawało mu się wszystko, choć tyle ich widział i pamiętał. Zdało mu się, że żadna jeszcze taką, jak ta, nie była.

Drugiego dnia stała się zieloność na łąkach w górach, trzeciego ponabierały pączki i przyleciały niespokojne jaskółki lepić gniazda, bociany chodziły ponad strumieniami, dzikich gęsi wily się sznury spóźnione i żórawie klekotały gdzieś, lecąc pod obłokami wysoko.

Nawet w spokojnym Osjackim klasztoru, którego życie latem i zimą jedno było, wiosna przyniosła wesele i głośniejsze chóry nocne zakonników chwałę nuciły Bożą. Dla wielu z nich, jak dla o. Ottona, pora ta zwiastowała także pracę w polu, ogrodzie, około budowli, od której odpędziła zima. Radowali się wszyscy, bo praca nie karą Bożą, ale darem najdroższym Opatrzności, osładzającym życie.

Jednego dnia tej wiosny tak szybko nadciągającej i wesołej o. Otton z kijem w rękę, z nożem w kieszeni, z koszyczkiem, w którym był kawałek chleba i sera, wychodził już, za pozwoleniem przełożonego z furty klasztornej, na cały dzień na łowy leśne, po zioła, pączki, korzonki i co las a góry dać mogły. Śmiała mu się pomarszczona twarz z pod czarnej czapeczki, która całą głowę i uszy zakrywała. Już miał wynieść, gdy o. Augustyn, przełożony, zjawił się we drzwiach klasztornych i widząc go w progu, rzuciwszy okiem na to, co koszyczek zawierał, ozwał się doń łagodnie:

— A wzięliście, ojcze Ottonie, choć małą flaszkę wina, abyście mieli się czem pokrzepić? W waszym wieku niezbędnie to potrzebne, reguła pozwala, zdrowie wymaga.

O. Otton potrzasał głową.

— A woda? z tych kryształowych źródeł górskich, nie jest to najzdrowszy z napojów?

— Przyda się do niej dla was choć kropla wina — dodał o. Augustyn.

I skinąwszy na przechodzącego braciszka, kazał mu z refektarza przynieść małą flaszczykę wina, którą pod posłuszeństwem wziąć polecił, aby od wody staruszek febry, na wiosnę częstej, nie chwycił.

O. Otton podziękował, choć mu się to wcale potrzebne nie wydawało. Przełożony wesóło życzył mu szczęścia, zalecił ostrożność i tak go w góry wyprawił. Wyszedł staruszek, powoli krocząc i rozpatrując się po świecie.

Dzień był prześliczny, dzień złocisty, na niebiosach świąteczny, na ziemi radosny, a o. Otton, modląc się, Bogu zań dziękował. Piękniejszego na podróż w góry wybrać było niepodobna. Powietrze ni gorące, ni chłodne żywiło, nie osłabiało, wiatr chodził ostrożny, aby się nie naprzykrzył nikomu, promienie słoneczne nie dopiekały, a wśród ciszy pozornej, brzmiały chóry pieśni, gdy się ucho wsłuchiło w nie. Śpiewała pszczoła pieśń miodową, szczebiotała jaskółka gniazdkową, skowronek rolniczą, bocian satyryczną, a strumień, stary plotkarz, bełkotał trzy po trzy nowiny, które niósł od morza. I nie było ludzi dokoła, ani ich gwaru, ni swaru, ni troski, ni śmiechu straszniejszego czasem, niż płacz sam.

Staruszek znał już wszystkie ścieżyny w góry i lasy... Były one zaledwie dojrżane dla innych, dla niego znaczne bardzo, a choć się piąć było trzeba po nich, z pomocą kija, powoli idąc, oddychając, o. Otton dostawał się na najwyższe wierzchołki.

Na tych to wyżynach rosły i kwitły kwiaty, których doliny nie miały, a stanąwszy na górze, cóż to za widok u stóp staruszcza się roztaczał! Oczy jego, co na książce z trudnością czytały, skutkiem popsucia swojego, wdał sięgały wielką i dopatrywały czego pospolitego człowieka wzrok nie mógł zobaczyć. Tam stały



szeregami wierzchołki białe, szare, sine, zielone, gór piętrzących się ku niebu; po których szczytach czepiały się chmury jak dymy, bliżej zieleniały całe boki wzgórzów, lasami przyodziane, majowemi łąkami porzecinane, a gdzie nigdzie wśród drzew bieleły i złociły się, szarzały i czerwieniały jak odrąbane skał ściany, po których leciały wpół pianą okryte strumienie. Na te obrazy pięknego górskiego świata Bożego o. Otton czasem się zapatrywał aż — do grzechu. Wyrzucał sobie nawet to rozmiłowanie się w pięknościach znikomego świata, choć tłumaczył sobie, że w niem było i uwielbienie wszechmocności Boga. Gdy patrzył, ły mu płynęły jakieś, z nieznanego źródła, i były niemal modlitwą.

Cóż, gdy na ten krajobraz bez końca, którego skrajów nie mogło dosięgnąć oko, padły cienie od chmur i promienie słońca, czyniąc sobie igraszkę jakby z gór jasnych, które czyniły ciemnymi, czarnych, które okrywały blaski złotemi. Wówczas świat ten ożywiał się, mienił, dyszeć się zdawał i przechodzić jakieś dzieje rozkoszy i boleści. Całunem mgły osnuwała się góra i stała jak wdowa w żałobie, a drugie urągały się jej purpurą i złotem. To znowu z między dwu chmur strzelał promień długi, niby oszczep złożony, przerzywał lasy, ubielał skały i odkrywał kątki rozkoszne, jak ogródki, które wprzód ciemność światu kradła. Jak łąska z niebios, zstępowała jasność na lasy i widać je było z najdrobniejszych gałązek, jakby z brązu odlane, na tłach sinych dalekich gór. Chwila tylko, chmura tylko, — wnet co się pyszniło, już znikło, co nie żyło, wstało do życia...

O. Otton, gdy się nakarmił widokami temi, gdy się w piersi nabił za to, że się zbyt niemi rozkoszował, szedł i zbierał już pilnie zioła.

Tego dnia stała się rzecz dziwna z nim, oto dał się słabostce małej uwieść i zapomniał o celu wycieczki.

Równie jak roślin, o. Otton ciekaw był i stworzeń Bożych, ptactwa, zwierząt, motylów, nawet i muszek. Zaledwie wszedł w las ścieżyną sobie znajomą, na ga-

łęzi drzewa postrzegł ptaka, którego nie widział w życiu. Zdawało mu się, że to być musiał przybysz z obcych krajów, może wędrowiec, który tylko w drodze spoczywał. Ptak był kształtny, ale szczególnie pióra jego wdzięczną barwę miały, skrzydła zdobiły niebieskie wyłogi jasne, blado lazurowe... O. Otton nigdy w lesie podobnego nie spotkał ptaka. Chciał mu się przypatrzeć zbliska, podchodził ostrożnie, ale ptak, dawszy się zbliżyć do siebie, unosił się nieco dalej i o kilka kroków przysiadł znowu.

O. Otton podchodził ostrożnie bardzo, pocichu, kryjąc się za gałęziami, lecz zaledwie przystąpił nieco, niebieskoskrzydły zlatywał z gałęzi, często niedaleko sobie obierając nową, na której, siedząc, to piórka poprawiał, to dzióbek czyścił o drzewo, to nóżkę jedną podnosił i skrobał się nią. Zdawał się nie lękać wcale przechodzącego, ale nie życząc sobie, aby mu się przypatrywał zbyt blisko, porywał się i leciał dalej, zawsze w jednym kierunku, — w głąb lasu. Ani się spostrzegł o. Otton, gdy za ptaszyzną zaszedł tak daleko, że gdy się obejrzał za siebie, tuż przez pnie drzew sinych wdali gór widać nie było.

Znając doskonale okolice, bynajmniej się tem nie strwożył; postanowił się ciekawemu ptakowi przypatrzeć i szedł dalej jeszcze. Tu już gąszcz leśna zaczynała być coraz mniej dostępną, ściężynka nawet pod stopami niknęła, a zastępowała ją wyryta wodami w ziemi rozpadlina, którą reszta zbiegających z wierzchołków wód spadała w dolinę...

Dziko było i samotnie; wśród drzew zielonych przebijaly się już ciemne gałęzie jodeł starych, a gdzie nigdzie obnażone ich pnie, jak ogromne słupy. Na drodze leżały wpoprzek napół zgniłe kłody, susz obłamana wiatrami jesiennymi, śliskie mchy i napół przegniłe liści kupy.

Ptak, który ciągle był na widoku, znikł gdzieś w czarnych tych, pozwieszanych ku dołowi, ciężkich świrków konarach; droga stawała się ciężką nie do przebycia, starcowi brakło tchu, obejrzał się nareszcie,

czy gdzie nie znajdzie kłody, na którejby mógł przysiąść i spocząć.

W lesie panowała uroczysta cisza świątyni, ani listek się nie poruszał, zaledwie bliżej podlatujących muszek brzęczenie chwyciło ucho. Podeszedłszy jeszcze kilka kroków, o. Otton znalazł obalony pień wywróconego drzewa, na którym, jeśli nie usiąść, mógł się zaprzeć przynajmniej. Pot biegł mu z czoła. Chwilę tu pozostawszy i oglądając się, czy której z górskich roślin, potrzebnych mu, nie odkryje — nagle usłyszał dźwięk jakiś dziwny, niezrozumiały, dla którego i o ptaku i o kwiatkach zapomniał.

Wśród milczenia puszczy, nieopodal gdzieś słychać było niby jęk, niby oddech ciężki, — z piersi, jakby ludzkiej się dobywający. Mogłoż to być sapanie dzikiego zwierzęcia? Nie. O. Ottonowi razem z tym głosem przyszło poczucie, że jakiś człowiek nieszczęśliwy wydawać go musiał. Takiem westchnieniem z głębi piersi nie dyszy zwierzę żadne.

A że już ustąpiło znużenie Ottona i że obawy nigdy ani na chwilę nie miał staruszek, ruszył się więc żywo, posiłkując kijem swoim ku górze, idąc na to stękanie, które coraz bliższem mu się być zdawało. Oczyma nakoło szukał i podpatrywał, skąd głos mógł wychodzić.

Przed nim stał ogromny dąb stary, którego cień i korzenie rozpuszczone szeroko, żadnym zarośłom dookoła puścić się nie dawały. Małeńka trawka i mchy okrywały jego podnóże. Tu u pnia dostrzegł Otton leżącego człowieka, u którego nóg leżał jeden pies, jak zdechły, drugi dogorywać się zdawał. Sam człek, gdyby nie ciężki oddech, co mu się z piersi wyrывał, za trupa mógł być wzięty. Nie poruszał się wcale. Głowę miał na zgiętem ręku opartą, zwróconą ku górze, bladą, z zamkniętymi oczyma, usta otwartymi. Włos obfity rozkładał się około niej w nieładzie. Na sobie miał suknię ciemną i płaszcz, który podesłał na ziemi, u boku miecz w pochwie. Obok leżał piękny rogowy ług i oszczep. Z ubioru i twarzy poznać było można możnego pana, który albo się zbłąkał na łowach, lub ranny,

sam jeden, legł, nie widząc już dla siebie żadnego ratunku. Na sznurze, który przewieszony był przez plecy, mnich dostrzegł róg mały, w kawałki zdruzgotany. Tłumaczyło to poniekąd, że nikogo do siebie przywołać nie mógł.

Na widok tego nieszczęśliwego o. Otton zrazu się żywo poruszył; pies, który u nóg pana konał, podniósł głowę nieco, spojrzał nań oczyma, jakby wzywającemi ratunku, i padł bezsilny. Z oczyma wlepionemi w twarz tę bladą pośpieszał zakonnik, gdy nagle podszedłszy bliżej, a wpatrzywszy się w nieznanomego, jak ośłupiały stanął. Oparł się o drzewo, zdając się wahać już, czy iść miał dalej. Oczu nie spuszczał z leżącego, a na twarzy jego malowała się walka wewnętrzna. Wreszcie złożył ręce jak do modlitwy, podniósł oczy ku niebu, łza mu się pod powieką zakręciła — i, jakby przemógłszy przeszkodę jakąś, szybszym krokiem przybliżył się do nieszczęśliwego, który ani szmeru rozgarnianych gałęzi, ani chodu nie zdawał się słyszeć. Leżał tak, konać się zdając, mąż ogromnej i silnej postawy, złamany cierpieniem jakimś i walczący z pozostałą życia odrobiną przeciw zbliżającej się śmierci. Strasznie blade miał lice, sfałdowane czoło, a dokoła ust ból ściągnął policzki i nadał mu wyraz męczeński. A jednak, mimo tej męki, widać w nim było niezłamaną jeszcze dumę i jakby urąganie się cierpieniu.

O. Otton, złożywszy kij swój i koszyczek, podszedł i przyklęknął przy nim. Wierny pies, leżący u nóg jęknął dziwnie... O. Otton zlekka przyłożył rękę do czoła zemdłałemu.

Zaledwie ona spoczęła na niem, gdy całe ciało zadrgało, głowa się poruszyła, otwarły oczy czarne i widać było usiłowanie zdrętwiałego, aby się porwać z ziemi. Sił nie miał; — miotał się w miejscu, obłąkanym wzrokiem, przestachu jakiegoś pełnym, wpatrywał się w staruszkę... Rysy twarzy malowały zdumienie i niedowierzanie; czekać się zdawał na to, ażeby mnich doń przemówił.

O. Otton nie rzekł słowa, ręką tylko badał ciało,

a widząc osłabienie, którego głód i znużenie mogło być przyczyną, — zawrócił się ku koszyczkowi swojemu. Szczęściem leżała w nim owa mała flaszczenka wina, którą mu ojciec Augustyn na drogę narzucił. Dobył ją, dziękując Bogu, i pośpieszył do ust przyłożyć wycieńczonemu, który jeszcze poruszyć się nie mógł. Ostrożnie po kilka kropel wlewał mu w zaschłe wargi, i natychmiast prawie życie wracać zaczęło. Głowa się dźwignęła pierwsza, ręka rozprostowała, i myśliwiec siadł zwolna, opierając się o pień, który miał za sobą. Żrenice jego ani na chwilę nie schodziły z tego, co go ratował.

Mówić czy nie mógł, czy nie chciał jeszcze... Gdy po raz drugi czy trzeci o. Otton flaszczenkę swą do ust mu przyłożył, oczy się jego zapaliły, drgnął i ręką odpychając go zlekka, wołać począł głosem ochrypłym:

— Klecha jadem poi! klecha...

Nic nie odpowiadając na to, o. Otton potrząsał tylko głową smutnie.

— Znasz ty mnie? — odezwał się głośniejszym głosem.

Na to pytanie o. Otton nierychło się zebrał na odpowiedź, głowę spuścił, zamyślił się, blada jego twarz oblewała się jakby dziewiczym rumieńcem, gwałt widoczny zadawał sobie — i rzekł cicho:

— Nie!

Nieznamy zdumiał się i patrzył nań, brwi marszcząc. Zwolna oczy jego zeszyły z mnicha i błazni poczęły dokoła po lesie, padły na psy, potem się potoczyły po drzewach i okolicy.

— Nie znasz mnie! — rzekł, jakby sam do siebie — a pociąg mnie do życia ocucił? Klecho! chcesz, abym się męczył dłużej... Wszyscyście tacy, przez miłosierdzie męczyciel!

Wtem oko jego padło na róg, wiszący u boku, wziął go w rękę. Był to złamek już tylko, który nie mógł wydać głosu, odrzucił go wprędce. Pragnienie go paliło — głód dokuczał i zapomniawszy się, ręce obie wyciągnął do flaszczenki, którą mnich trzymał przed



nim, chwycił ją, a raczej wyrwał, nachylił się i nie dając jej sobie odebrać, wypił do dna, potem z pogardą i szyderstwem rzucił precz w krzaki, dziko się śmiejąc.

Na wycieńczonym człowieku napój w mgnieniu oka skutkować zaczął, oczy zajaśniały, twarz zadrgała, lice poczynąło się rumienić. O. Otton z początku z przestraszem na to patrzył, potem z radością; życie jeszcze niewyczerpane powracało.

Mnich, chociaż sam głód czuć poczynął, zwrócił się do koszyczka, przypomniawszy sobie chleb i ser, który miał z sobą. Na widok jadła myśliwiec przegiął się cały ku niemu, i znowu dłonie wyciągał niecierpliwie. Nie zostawując nic dla siebie, mnich oddawał, co miał.

Ze zwierzęcą chciwością rzucił się na chleb wygłodniały; nie patrzył na księdza, cały w sobie zatopiony, jadł żarłocznie i śmiał się. Raz na żywego jeszcze psa spojrzął, jakby z nim podzielić chciał stawę, lecz głód przemógł — pożerał, nie oglądając się więcej.

Życie wracało coraz widoczniej, poruszał się swobodniej. Uradowany dziełem swoim, o. Otton pomyślał, że woda świeża byłaby pożądaną dla głodem zgorączkowanego człowieka, poszedł więc po flaszkę, leżącą w krzakach, która szczęściem nie rozbiła się całkiem, wyszukał ją i spuścił się ku strumykowi z gór bieżącemu, aby w nim wody zaczerpnąć.

Uradowany, niosąc ją, wrócił ze świeżym napojem do myśliwca, który, nie mówiąc nic, wodę chciwie wysączył. — Po pierwszych słów wymianie nie mówili do siebie. Nieznajomy człek zadumał się głęboko, potem popatrzył na o. Ottona i powtórzył mu pytanie:

— Znasz ty mnie?

Rumieniec oblał znowu twarz mnicha, który głową potrząsnął tylko, nie mówiąc nic.

— Weź twój kij — począł myśliwiec — weź koszyk i idź, idź, idź! Widzisz, miecz mam u boku, zabiję cię. Zabiję cię dla sukni, którą nosisz, dlatego, żeś mi życie przywrócił, że klechów cierpieć nie mogę, że potrzebuję krwi... Idź — zabiję!



O. Otton nie poruszył się z miejsca, a myśliwiec mówił, mrucząc sam do siebie.

— Wszyscy tacy! Nie ustąpi żaden... węże zjadliwe, od których ukąszenia człowiek umiera...

Nogą kopnął, jakby chciał potrącić mnicha, który z głową spuszczoną, z rękami złożonemi, zdawał się modlić pocichu...

— Psy pozdychały — a ja nie mogłem! — odezwał się myśliwy. — Trzy dni, dwie noce i śmierć nie przyszła...

O. Otton zwrócił ku niemu oczy.

— Bóg miłosierny chce ci dać życie, abyś się do niego zbliżył, pokutował i umarł rozgrzeszony...

Te słowa, jak piorun, podziały na myśliwca; chciał się zerwać z ziemi.

— Kłamco! znasz mnie! — krzyknął, chwytając za miecz — znasz! Kto cię tu przysłał?

— Pan Bóg — odparł mnich spokojnie.

Siedzący pod drzewem nie odpowiedział, ręką dał mu znak, aby precz szedł, — lecz o. Otton się nie ruszył. Korzystając z milczenia, mówić począł głosem spokojnym.

— Znam cię — rzekł — choć tegom ci mówić nie chciał. Znam cię. Byłeś królem, zostałeś zabójcą — jesteś grzesznikiem, a pokutą zbawiony być możesz. Dlatego ja, robak mizerny, nie wahałem się napoić wyklętego i nakarmić, narażając duszę własną, bym ocalił twoją.

Król Bolesław, on to był bowiem, uśmiechnął się szydersko, patrząc na mnicha.

— Mojej duszy nic nie dobędzie ze szpon szatana — zawołał — wy to, klechy, oddaliście ją jemu, a teraz litujecie się nad nią? Idź — idź i daj mi zdechnąć ze psami. Zaszedłem na puszcę, aby ludzkie oko mojej śmierci i szatanów, co po duszę przyjdą, nie widziało... Idź, bo zabiję! Dwu klechów, czy jeden, nie zaważy więcej...

To mówiąc, Bolesław wziął powoli za miecz, dobył go nawpół z pochew i przypatrywać mu się zaczął.

— Ten sam — rzekł cicho — ciąłem go w czaszkę. Kość pękła, tak mocno gniew rękę pędził. Nigdy tyle krwi w jednym nie było człowieku... nigdy! lała się strumieniami — oblała mnie, ich... próg, kościół, popłynęła strumieniem do Wisły... Rzeka potem stała czerwona rok cały! Tyle krwi w jednym człowieku!

Zadumał się król i począł nieco spokojniej.

— Klecho! prawda to? musisz wiedzieć? prawda, że mi dadzą straszną pokutę? straszniejszą, niż cesarzowi, który nie ubił żadnego mnicha... Boso, z powrozem na szyi, od kościoła do kościoła przez cały świat iść, w koszuli jednej, podpasanemu stryczkiem... obrzucenemu błotem, oplwanemu przez gmin... smaganemu przez oprawców? prawda to?

O. Otton zamyślony patrzył nań.

— A! gdyby nawet taką była pokuta — rzekł — a po niej otwarło się niebo jasne, i Chrystus, z krzyża schodząc, otworzył ci ramiona, aby grzesznika do piersi przycisnąć? Gdyby krwawym oblanego potem anioły na skrzydłach wniosły do niebieskich przybytków wiekuistej chwały!

Król głową potrząsnął i spytał:

— A — ta krew? ta krew?

— Łzy zmywają krew nawet — odparł o. Otton — a jedna łza unosi z sobą potoki... lecz trzeba, aby z głębin serca wytrysnęła.

Bolesław milczał i jakby już nie słuchał mnicha, począł:

— Ludzie psów niewarcil! Słyszysz, klecho! Psy pozdychały dla mnie, a ludzie opuścili wszyscy. Nie mogę powrócić do ludzi, ani do państwa mojego, ani w tę gościnę węgierską, z której mnie kosemi oczyma pędzą — mnie, com posadził tego słomianego króla na tronie, com państwo jego mógł wziąć i trzymać, mnie!! — Nie — tu zdychać trzeba...

Pochylił się ku o. Ottonowi.

— Daj mi jakiego jadu, trucizny takiej, żeby duszę wypędziła z ciała, jak strzałę z łuku; dam ci...

Tu począł się oglądać po sobie.

— A! nie mam ci co dać; — chyba miecz ten, na którym przyszła krew twojego brata. Nie mam nic, rozdałem wszystko. Daj jadu przez miłosierdzie, słyszysz, daj jadu, bo cię zabiję — jadu! jadu mi daj!

Podnosił głos i sunął się ku mnichowi, który cicho rzekł tylko.

— Jadu nie mam — lekarstwo ci znaleźć mogę!  
Król oczy w niego wlepił.

— Chodź ze mną — mówił mnich... — Tam, u stóp góry stoi nasz klasztor, cichy, oddalony, spokojny, gdzie możesz niepoznany odbyć pokutę i zbawić twą duszę... Klasztor — mówił Otton, — to jest kruchta niebieskiego kościoła, gniazdo ciche w pustyni. Oko ludzkie widzieć cię tam nie będzie. Przywdziejesz suknię, poczniesz służyć Bogu, jak dotąd służyłeś grzechowi... Bóg zmiłuje się nad duszą twoją.

Bolesław potrząsł głową i zamiast odpowiedzi pokazał mu do pól obnażony miecz. Czy chciał przez to powiedzieć mu, jaki wielki był grzech jego, czy grozić. — O. Otton nie ustąpił.

— Nadeszło południe. Siedzieli jeszcze, rzadkie wymieniając słowa, — mnich nie odchodził. Głód i pragnienie mu dokuczało; poszedł je ugasić w strumyku, z którego dłonią zaczerpnął wodę, wrócił i siadł przy królu.

Ten leżał znów na ziemi, patrząc w górę, nie chcąc widzieć mnicha, ani z nim mówić.

Słońce zaczynało się pochylać ku zachodowi — oba nie ruszyli się z miejsca.

Wieczorem niepokój wielki panował w Osjackim klasztorze, o. Ottona nie było! Zwykle powracał na wieczorne w chórze modlitwy. O. Augustyn lękał się bardzo, aby starca biednego jaka przygoda nie spotkała w górach, zwierz dziką, upadek, ciężkie kalectwo, obłąd w lesie, zbój lub jaki włóczęga. Posłano dwu młodych nowicjuszków ku górą, na zwiady, nie kazać im się oddalać bardzo; powrócili przed nocą smutni, nie znalazłszy śladu, ani wieści o o. Ottonie. Przy mo-

dlitwach wieczornych i nocnych bracia dołączyli jedną na intencję staruszka.

Następnego poranka nie było go jeszcze; trwoga coraz większa opanowywała zakonników, którzy kochali o. Ottona. Już miano najętych ludzi wyprawić do lasu, aby przynajmniej ciało znaleźć i pogrześć je po chrześcijańsku, gdy około południa wbiegł nowicjusz do przełożonego z radością wielką i, przyklękawszy, w rękę go całując, oznajmił mu, iż na drodze od lasu widać było wracającego o. Ottona, który z sobą wiódł jakiegoś, o ile zdala poznać było można, chorego czy osłabłego człowieka.

Natychmiast wysłano naprzeciw dwu młodych braciszków, gdyż idący wlekli się tak zwolna, jakby po siłku i pomocy potrzebowali.

Sam o. Augustyn stał w progu, czekając na przybywających.

Nierychło do furty się przywlekli; przodem staruszek, żwawy jeszcze, choć zmęczony trudem i głodem, za nim podtrzymywany przez braciszków mężczyzna, który, z głową zwieszoną, włókł się, zaledwie mogąc utrzymać się na nogach. O. Otton opowiedział pocichu przełożonemu, jak go znalazł zgłodniałego na puszczy, i że człowiek ten grzesznikiem był, który naprzód dobrowolnej śmierci szukał, potem do odbycia w klasztorze pokuty w sukni zakonnej dał mu się nakłonić.

Przybyły jakby przysięgł na milczenie, nie odzywał się ani słowa, dał się naprzód zaprowadzić do izby, przeznaczonej dla chorych, i tu legł na pościeli, kilkanaście dni w gorączce pilnowany przez jednego o. Ottona, gdyż nikogo więcej doń nie dopuszczano.

Gdy po dwu zgórą tygodniach wyszedł z infirmerii ów człowiek nieznany, ledwie oczom swoim wierzyć mogli, tak strasznie był zmienionym.

Legł na łożo olbrzymem silnym, wstał z niego niemal kościotrupem, obleczonym skórą. Zmieniło go i to, że włosy mu ostrzyżono, jak wszystkim nowicjuszom, suknię czarną wdziano, i począł od dnia tego pełnić

w klasztorze posługi które zkolei przyjmowani do zakonu braciszkwowie spełniali.

Przypadło nań noszenie wody, rąbanie drzew, posługa kuchenna. młotyką przygotowywanie na ogrody roli, a choć wychudły człek zdał się na oko bezsilnym, nikt mu nie zrównał w ciężkiej pracy. Owszem, zdawała mu się ona ulgę przynosić i czynić przyjemność, tak gorliwie, tak zapalczywie rwał się do niej.

Wstawał o brzasku, szukał zajęcia do nocy, a gdy inni czemu podołać nie mogli, biegł, jakby życia się chciał pozbyć, gdzie był największy trud i niebezpieczeństwo. W kościółku zrazu rzadko się ukazywał, stawał w kruchcie lub progu i dalej iść nie chciał. Obudzał w klasztorze powszechną ciekawość, gdyż i z postawy i z ubioru, który zrzucił, przybywszy, domyślano się w nim możnego jakiegoś pana. Niektórzy mieli go za leśnego zbójcę, który w górach długo był postrachem podróżnych, nikt jednak nie wiedział nic o nim, a o. Otton milczał.

Trafiało się, że do ustronnego klasztoru zajeżdżali czasem panowie możni z Węgier i słowiańskich krajów jadący, stając tu na noc gospodą. Naówczas, zapewne za pozwoleniem przełożonego, braciszek, któremu dano imię Pawła, nie ukazywał się wcale. Krył się w budzie ogrodowej, zamykał w celi i do posługi nawet nie wychodził.

Najbardziej było uderzającym, gdy we dwa miesiące po przybyciu jego do Osjaku, wieczora jednego kilkunastu polskich rycerzy, przebywających na dworze króla węgierskiego, do klasztoru przybyło. Byli to pozostali do końca przy Bolesławie, królowej i młodym Mieszku Boleszczyce.

Jak wszystkich podróżnych, o. Augustyn przyjął ich gościnnie. Braciszek Paweł, gdy im wrota na podwórze otwarto, niósł właśnie na plecach wiązkę drzewa, pod którą siedł zgarbiony; znikł natychmiast w kuchni, i cały wieczór, a i następny ranek szukano go napróżno.

Ułęknono się nawet, czy mu się co złego nie stało,

ale o. Otton pobiegł do przełożonego, a o. Augustyn powiedział, że sam posłał Pawła z poleceniem jakimś od siebie na nowiny, które właśnie karczowano.

Boleszczyce, przyjęci w izbie dla obcych przeznaczonej, mówili tylko z o. Augustynem i Ottonem, którego zaraz poznali. Zapytał się staruszek, co poczynali i jak im było na świecie... Pytanie to było nawet zgola niepotrzebne, bo jedno spojrzenie na nich uczyło, iż ta rześka i świetna młodzież wiele uciepieć i strasznie przeboleć musiała.

— Mój ojciec — zawołał Dobrogost do staruszka, bo Borzywój, dawniej najmówniejszy, teraz niemal mowę postradał — mój ojciec, nie pytajcie lepiej, abyśmy, odpowiadając wam, serca sobie nie krwawili. Nieszczęsna to była godzina, gdy się z Kijowa wróciło, wojen poprzestało, a doma ze swoimi wojować rozpoczęło. Nie byliście już pono w Krakowie, gdy króla i nas precz wyparto, po onem zabójstwie biskupa. Jechał Bolesław w tej jeszcze nadziei, że powróci z potęgą wielką i kraj zmusi do posłuszeństwa... Z pańskim przepychem i okazałością przyjechaliśmy na Węgry, a nie można rzec, aby nas tam źle przyjęto. Ale pan nasz serce miał uciśnięte i myśli pomieszane. Więc zamiast za gościnę królowi węgierskiemu być wdzięcznym, tak się z nim obchodził, jakby on mu podległym był.

Król i to od dobroczyńcy znosił, ale panowie węgierscy szemrać, sarkać i burzyć się poczęli. Więc, gdzieśmy pokoju i druhów szukali, znaleźliśmy nieprzyjaciół i nowe utrapienie.

Król, jak w domu ze wszystkiego się urągał, tak i tu lekceważył wszystko. Z dumy swej nie ustąpił na włos, ani się chciał dać ugłaskać... ciężkie z nim były godziny nasze: a co przyszło wycierpieć i każdemu z nas, i wszystkim nam, jednemu Bogu wiadomo. Im bardziej doskwierało nieszczęście, a z Polski gorsze wieści dochodziły, tem on naprzekór szaleńszym był i rozpasańszym.

Kilka razy we dworze się przyszło zamykać



i u ostrokołów bronić przed nacierającymi Węgrami, których gościnności ani chciał szanować, ni być wdzięcznym za nią.

— Ja tu panem jestem — mówił głośno. Kto króla wam dał, kto spokój przywrócił? ja, — króla macie z ręki mojej — kraj wasz, — kraj mój!

I tak też poczynął sobie, jakby doma, a gdy Borzywój, ja, drużyna, Mieszko i inni prosili go, aby się miarkował, nogami kopał i psami łajał.

Zdało się czasem, nocą zwłaszcza, jakby rozum postradał, bośmy, sypiając u drzwi, słyszeli, jak sam z sobą mówił i krzyczał, że aż strach brał. Odzywał się, jakby przed sobą biskupa widział stojącego, to wołał Krysty, to innych pomarłych i pobitych — potem się śmiał, głową o ścianę tłukł, psy swe mordował, a potem, gdy nazajutrz wstał, znów rozum miał, tylko milczał i patrzył okrutnie, aż krew w żyłach zastygała.

Posyłał raz w raz to na Ruś, to do Polski, od jednych posiłków żądając, a w domu chcąc do siebie rycerstwo przyciągnąć. Rusini ani myśleli ruszyć za niego, chyba dla siebie, a rycerstwo znać go i nas nie chciało.

Jak się dowiedział, że do księcia Władysława posłano, aby koronę po nim wziął, zaraz do niego wyprawił, aby się nie ważył jej tknąć — bo ją życiem przypłaci. Książę też i tak obawiał się, i uchodził, krył się, aby go nie kuszono.

— Cóż się z nim stało? — zapytał o. Augustyn.

Na to Dobrogost i Borzywój westchnęli tylko.

— Nikt nie wie, — rzekł pierwszy z nich. — Będzie temu dwa miesiące, gdy się z nami na łowy wyprawił, właśnie w te okolice. Nie dalej nad mil dziesięć stąd nocowaliśmy. Król przez pierwsze dni łowów chmurniejszy był i gniewliwszy, niż zwykle. Zaraz drugiego dnia psiarczyka pięścią w czoło uderzył i na miejscu go położył. Biegł z koniem tak, nie zważając na przepaście, na góry, na nic, i zdało się, że chyba śmierci szuka; my za nim ani podążyć, ani zrównać się nie mogliśmy. Trzech konie postradało, bo pokreśliły sobie nogi, Andrek rękę wyłamał, Śreniawa żebra potłukł.

Zmniejszyła się liczba nasza, a król na to nie zważał. Ostatniego dnia sześciu nas zostało, obejrzał się, policzył oczyma, splunął, zaśmiał się i ruszyliśmy w lasy... Do południa zwierza nie było, pomordowaliśmy się srogo, konie ledwie się wlokły, padały, trzeba było stanąć na popas i spoczynek. My też popadaliśmy na ziemię, jak nieżywi, jeść się odechciało, byle spać. Zasnęliśmy twardym snem, postawiwszy Mieszka Drużynę na straży, aby zbudzić było komu, gdy znowu nas popędzi.

Budzi mnie Mieszko — wstawaj! — Myślałem, że jechać czas, rzuciłem się do konia. Wtem Drużyna powiada:

— Króla niema.

— Jakto niema?

— Gdyśmy stanęli, parę psów ze sobą wziął najulubieńszych i poszedł w las, zakazując, aby za nim nikt się iść nie ważył. Powiedział, że powróci, aby nań czekano.

Tymczasem słońce się ku zachodowi schylać zaczęło — a króla ni słychu. Sądząc, że się zbłąkać mógł, wzięliśmy się w rogi trąbić bezustanku, jeden po drugim, co jeden się zmordował, poczynął z kolei inny. Król z sobą róg wziął, nasłuchiwaliliśmy, czy nie za-trąbi — ani słychu! A tu — noc.

Rano jęliśmy dokola las cały strząsać, przeszukiwać, biegać po nim, ludzi w pomoc brać. Nigdzie nikt nie widział go, nie słyszał o nim — śladu najmniejszego... Dziś już tylko trupa szukać trzeba — bo żywym być nie może. Obląkał się pewnie na puszczy i z głodu zemrzeć mógł.

O. Augustyn dziwnie popatrzał na Ottona i odezwał się do Boleszczyców.

— Powiedzcie nam, jak ten wasz pan wyglądał, abyśmy na wypadek i drugim o tem oznajmić mogli.

Dobrogost zaraz zaczął opisywać, jakiej był postawy, włosa, jaki przy sobie oręż miał, suknię, jako chodził i mówił.

Gdy to mówił, o. Augustyn patrzył na o. Ottona,

a staruszek ręką po twarzy tarł i rumienił się jakiś niespokojny. Wieczorem, gdy się rozmowy skończyły, przełożony kazał o. Ottonowi iść za sobą do swojej celi.

Gdy weszli, a drzwi się zamknęły za nimi, odwrócił się ku niemu i rzekł, ręce kładąc na ramionach...

— Ten jest, o którym opowiadają!

Ze złożonemi na piersiach rękami ukląkł staruszek.

— Przebaczcie mi — odezwał się — zgrzeszyłem kłamstwem wielkiem, ten jest! Spowiadam ci się, ojcze, żem to uczynił, abym duszę jego zbawił — pokutę mi naznaczcie, choćby najsroższą, najstraszniejszą, a nie-szczęśliwego mordercę nie wyganiajcie od progu tego, i niech miłosierdzie pańskie nań zstąpi!

— Ojcze mój — odezwał się przełożony — nie na pokutę zasłużyliście, ale na chwałę... Niech się stanie, jako Bóg zrządził przez was.

Natenczas o. Otton opowiedział dopiero, jak ów ptak niebieskoskrzydły wiódł cudownie, podlatując, aż ku temu miejscu, na którem króla znalazł, i oba wielbili Opatrzność Bożą.

Nazajutrz rano już się Boleszczyce wybierali dalej jechać, gdy Zbilut, który był ciekawy wszystkiego, postrzegłszy ogród klasztorny, a w nim kwiaty i różne ziele i drzewa, które mnisi z cieplejszych krajów tu z sobą przynieśli — zapragnął bardzo wirydarzowi one-mu zbliśka się przypatrzeć. Na to pozwolenia nie było trzeba, więc wszedł...

Król w sukni zakonnej braciszka, brudnej i starej, właśnie schroniwszy się do budy ogrodowej, siedział w niej, nie spodziewając się wcale, aby tu który z Boleszczyców miał się zjawić, gdy Zbilut stanął przed nim.

Stanął, spojrzał i osłupiał. Poznał zaraz, choć wychudłą twarz królewską, ale oczom własnym nie chciał wierzyć.

Zerwał się król i dawny gniew go opanował, tak, że się na Zbilutę rzucił, jakby go chciał zamordować, ale wnet opadły mu dłonie i sam na ziemię padł, twarz

kryjąc w dłoniach. Zbilut mu się też u nóg położył, płacząc i z radości, że pana znalazł, i z litości nad stanem jego.

Wtem król się podniósł i głosem zmienionym prosić począł, aby tajemnicy jego nikomu nie wydawał. Zbilut poprzysiągł, ale do nóg jeszcze raz padł, aby braciom jego jeszcze raz widzieć się pozwolił. Bolesław nie przystał na to, jednego Borzywoja do siebie zawołać kazał. Gdy inni śniadali, o niczem nie wiedząc, Zbilut brata starszego królowi przyprowadził, z którym Bolesław tylko krótką mówił chwilę — nakazując im powracać do królowej, — Mieszka i pani tej strzec, a im pozostać wiernymi.

Wyjechali Boleszczyce z Osjaku nazad i wprost do Wielisławy zdążali, aby spełnić ostatnie pańskie przykazanie.

Borzywój, który na tajemnicę nie przysięgał, długo ją trzymał, aż raz, gdy królowę widział wielkim żalem zdjętą nad zgonem męża, bo wieści chodziły straszne, nie wiedzieć przez kogo rozsiewane, że go psy rozszarpały, czy że sam śmierć zadał sobie, ulitowawszy się boleści jej, opowiedział o wszystkim, jak było.

Radość królowej nadzwyczajna o mało tajemnicy nie zdradziła, lecz Borzywój uprosił ją, aby się miarkowała i nie wydawała króla, który pokutą oczyścić się pragnął. Wymogła tylko królowa na nim, w rok potem, aby on sam jeden, nikomu nic nie mówiąc, do Osjaku znowu jechał, pozdrowienie od niej zawiózł i o rozkazy dla Mieszka i dla niej prosił. Borzywój, wiedząc, iż niemile przyjęty będzie, długo się ociągał z podróżą; wreszcie uprosić się dał i pojechał.

Było to już jesienią, drogi niebardzo bezpieczne, dni krótsze, dosyć, że podróż dłużej trwała, niż Borzywój rachował, i ledwie postradawszy dwa konie, do klasztoru się dostał.

Przełożony poznał go zaraz.

Zapytał o ojca Ottona.

— Pogrzebaliśmy go tej wiosny — odpowiedział o. Augustyn — i żal nam go, bo niełatwo kto zastąpi

człowieka, co wszystko umiał, a pokorny był, jakby nie znał nic...

Borzywój o króla zapytać się nie śmiał i nie wiedział jak; wtem sam przełożony zagadnął go.

— Wszak z polskiej ziemi jesteście?

— Tak jest — rzekł Borzywój — i służyłem na dworze króla, który...

— Któregośmy tu pochowali, — dodał cicho o. Augustyn.

— Umarł!! — odezwał się z wyrazem głębokiego żalu i zdumienia Boleszczyc — umarł!!

— Skończył przykładnie — rzekł o. Augustyn powoli. Dziś nie jest dla nikogo tajemnicą, chociaż umierający życzył sobie, aby ani o jego zgonie, ni o miejscu pogrzebu nie wiadano, a przynajmniej nie rozgłaszało po świecie. Kazaliśmy na pamiątkę pokuty nad grobem jego kamień położyć. Zobaczycie go przy kościele na cmentarzu.

— Człowiek był jeszcze nie stary, silny! — zawołał Borzywój.

— Ale go złamało życie, zgryzota, upadek... mówił przełożony. — Była to natura gwałtowna i namiętna, która potrzebowała być czynną, a gdy długo czynną być nie mogła, — naówczas szła ją porywał. W klasztorze na chwilę nie można go było namówić do spoczynku. Najcięższa robota najulubieńszą dlań była. Gdy pot ciekł ze skroni, całe ciało drżało z wysilenia, siły się wyczerpywały, naówczas uspokajał się w nim ów duch buntowniczy. Gdy siedział beczynny, gryzły go wspomnienia, pożerały myśli, zrywał się choć w nocy i biegł albo poruszać młyn, lub bić w stępie, lub drzewo rąbać... Nawet, gdy już chorzał, na łożu go utrzymać nie było podobna. Do ostatniej godziny, ze złożonymi rękoma domagał się, błagał roboty ciężkiej.

Stary człowiek, król i mocarz budził się w nim jeszcze czasami, gdy rycerzy tu przybywających widywał, lecz zwyciężał w sobie te wybuchy i uciekał od widoków, które mogły je wywołać.

Gdy mi dano znać, — ciągnął dalej o. Augustyn, —

że dnia jednego zaniemógł brat Paweł, zarazem źle wróżył o nim, bo choć chory, nigdy się nie kładł i pracować nie przestawał.

Poszedłem doń naówczas. Wybrał sobie na garści słomy posłanie w ciemnym kącie nędznej szopy, a gdym go do klasztoru chciał kazać przenieść, prosił mnie, aby mu wolno było pozostać na tym barłogu. Wieczorem zastałem go już napół obłąkanego, z twarzą i usty spalonymi, lecz przyszedłszy do siebie, spowiedź odbył przede mną i oddał mi ostatni znak, jaki jeszcze miał ze swojej dawnej wielkości, swój pierścień królewski. — Zbliżał się zgon, chciałem go dopilnować w ostatniej godzinie, nie dozwolił na to, błagał, abym się oddalił. Uczyniłem to, oddawszy ostatnią posługę i na wieczną podróż opatrzywszy go sakramentami, czego żądał ode mnie. Młodemu braciszkowi tylko niedaleko szopy siedzieć kazałem na wypadek, gdyby wołał o co, lub posługi potrzebował. Umarł w nocy po ciężkiem, samotnem konaniu, w jękach i płaczu, a gdyśmy rano przyszli do ciała, znaleźliśmy je twarzą na ziemi leżące, z pięściami boleścią zaciśniętymi, z garściami, pełnemi ziemi, którą darł, konając...

O. Augustyn dokończył i westchnął, Borzywojowi lzy stanęły na powiekach, gdy wspomniał wielkość i potęgę tego pana, który w takiej nędzy i męczarniach żywota dokonał.

Poszli potem do grobu, u którego w ścianie kościołka wmurowany był już kamień. Niewprawna ręka jednego z braci wyciosała na nim rycerskie i książęce godło, naówczas na pieczęciach i na grobach władzę oznaczające i panowanie — konia. Dokoła w łacińskim języku, krótki napis świadczył, że tu — spoczywał — Bolesław, zabójca biskupa Stanisława.

Dzień cały zabawiwszy w Osjaku, Borzywój puścił się w drogę nazad ze smutną wieścią do królowej. W Krakowie już, zmuszony do objęcia rządów, Władysław Herman króla zastępował, Mieszka i matkę jego wzywano napowrót do kraju...



## VI.

Wieczór był letni, po skwarnym dniu, który zwykł burzę poprzedzać; nie było czem tchnąć, tak cisnęło brzemienne piorunami powietrze. Najmniejszy wietrzyk nie poruszył liści na starych drzewach, które wały Jakuszowickiego zamczyska porastały. Cisza smutna panowała dokoła, tem dziwniejsza, iż mnogiego ludu tłumy zalegały wały, podwórce, nawet gościniec, prowadzący od zamku do maleńkiego kościołka drewnianego, który stał u stóp jego. Od niepamiętnych czasów takiego napływu ludzi nie widziano na spokojnym gródku Odolajowym. A był to lud po większej części rycerski, ziemianie i żołnierze, wszystkie plemię Jastrzębców i ich powinowatych. Ani szczupła izbica, ni szopy, ni podwórce tego natłoku gości pomieścić nie mogły; stali więc, siedzieli, leżeli na ławach i na łące pod grodem, jakby wielkim obozem. I widać było, że nie wypadkiem się tu znaleźli, ale zwołani na uroczystość jakąś, która ich tu gromadziła, bo każdy przywdział, jaką miał najlepszą zbroję, hełm i miecz,—każdy się przystroił, jak go stało najczyściej. Na wszystkich twarzach widać było jeden wyraz jakiś posępny, uroczysty, poważny. Mówiono pocichu, nigdzie śmiechu na ustach, nigdzie nawet żwawszego ruchu dostrzec nie było można.

Najtłumniej gromadzili się starsi około izbicy, której okna były poodsuwane, drzwi wyjęte, a przez nie dostrzec mogło oko światło we wnętrzu, z którego pieśń smutna, powolna płynęła, przerywana jękami płaczliwemi.

W środku izbicy, na wystanem wysoko łożu, okrytem skórami niedźwiedziemi, spoczywało ciało Odolaja, wedle rozkazu jego odziane w szarą opończę, jaką nosił za życia. W skostniałe ręce krzyżyk mu dano, i krzyż stał w głowach, a przy nim dwu księży odśpiewywało psalmy...

Czekano na trumnę, którą właśnie czterech ludzi dźwigało na barkach. Ówczesnym obyczajem, była

ona w jednym olbrzymim klocu dębowym wydrążona; osobno niesiono wieko, które je przykryć miało.

Prawie tak staro i zgrzybiało wyglądający, jak ten, którego na wieczny spoczynek odprowadzać miano, o kiju, przygarbiony, z włosy siwemi stał u drzwi Mszczuj Odolajów, wnuk najstarszy po Mieszku, zapatrzony w ziemię i jak nieprzytomny... Otaczali go dokoła młodszy bracia, bratankowie i dalsi plemiennicy. Wszystkich oczy zwracały się ku temu starcowi, którego boleść wielka, litość obudzała.

Jaromierz, drugi z wnuków, położył mu zlekka rękę na ramieniu i szepnął:

— Co się tak smucicie? wszystkich to nas los — na ostatku mogiła, a nasz dziad dożył takiego wieku, jakiego z nas żaden mieć nie będzie i należał mu się spoczynek.

Mszczuj milczał długo, potrząsając głową, potem dobył się z piersi jego głos jakby grobowy:

— Dziada płaczę — rzekł — tak, ale i nad sobą też razem. Dobrze mu było do trumny położyć, zostawując po sobie syny, wnuki i prawnuki, mając komu przekazać ojcowiznę, imię i pamięć swoją. Nie tak ze mną! nie tak! Jam sierota. Ty wiesz... Z licznej rodziny mojej nikt mi nie został — nikt! Sam stoję nad mogiłą, nie będzie mi komu oczu zawrzeć... Al i ja sam winien sieroctwu mojemu...

Pomilczał trochę Mszczuj, patrząc w okno, jak do trumny na posłanie z chmielu i kwiatów kładzono dziadowskie ciało, poczem począł znów cicho, jakby w sobie boleści wstrzymać nie mógł.

— Sześciu ich miałem! Nie było mi na stare lata, choć jednego sobie, jak kija do podparcia, zostawić! Wszystkich oddałem królowi i z nim mi oni wszyscy zginęli!

— Któż to wiel — odezwał się Jaromierz. — Wprawdzie głucho o nich, ale żywi są pewnie i wrócić jeszcze mogą!

Ustała na chwilę rozmowa, gdyż księża zaśpiewali głośniejsze, trumnę zabijać miano... Ruszyli się synowie,

wnuki i prawnuki żegnać raz ostatni Odolaja i dał się słyszeć płacz bolesny. Klęcząca u trumny Tyta zawodziła głosem jęklwym...

Szedł przodem najstarszy wnuk Mszczuj do dziadowskiej ręki, pokłakł i całował ją i płakał, za nim Jaromierz, Bronko i drudzy...

Nie wszystkich jednak do zwłok dopuszczano, gdyż zbyt wielka była gromada, a dalsi i najdalsi docisnąć się nie mogli — i trumnę zasypaną kwieciami zabijając poczęło...

Wzięli ją na ramiona synowie i wnuki i z wielką trudnością z ciasnych drzwi izbicy wynieść potrafili. Za trumną odpychany napróżno, z głową spuszczoną, włókł się Hyż wychudły, z najeżoną sierścią i zwieszonym ogonem.

Prowadzono też na znak, iż Odolaj rycersko służywał, konia starego pod okryciem, na którym łuk wisiał, i strzały i toporek... Płaczki najęte prowadziła Tyta, szło duchownych dwu, a dalej w porządku owe seciny rodu całego gromadami przy swej starszyźnie.

Cały ten orszak z izbicy wyszedłszy, zwolna w podwórce wyciągnął i ku wrotom zmierzał... Z osad i wsi, które do Odolajowych ziem należały, wielkie gromady ludu, obok drogi do kościołka, stały ściśniętymi szeregami, w milczeniu, z głowy odkrytymi. W kościołku odzywał się powoli dzwonek.

Dębowa trumna, kołysząc się nad głowami niosących, już ze wrót zamku wychylała się na drogę, gdy tuż około niej idący, jakby widok jaki nadzwyczajny oczy ich uderzył, mimowolnie półgłosem krzyknęli.

Mszczuj, który zgarbiony dźwigał dziadowskie zwłoki, mimowolnie głowę podniósł nieco, i gdyby nie bratanek obok idący, możeby padł na widok, który jego spotkały.

Za gościńcem, naprzędw idących, na koniach stało we zbrojach, czarno odzianych sześciu ludzi, stało i zdawało się miłosierdzia prosić z taką pokorą, z głowy pochylonemi, witali orszak pogrzebowy.

Byli to Boleszczyce, sześciu synów Mszczuja, któ-

rych on już nigdy widzieć się nie spodziewał, a Odolaj wyгнаł precz, nawet na pogrzeb swój im nie dopuszczając przybyć, wyłączwszy z rodu i plemienia, Boleszczyce, razem z królem wyklęci i zatraceni, zjawiający się, jakby cudem, w Jakuszowicach w godzinie ostatniej posługi.

Nie śmieli oni wjechać na gród, ani się do orszaku przyłączyć, — stali na uboczu, oczekując, jaki los i wyrok od własnej krwi ich spotka.

Na widok ich pobladło i zarumieniło się lice ojcowskie, chciałby się rzucić ku nim, aby raz jeszcze dzieci uczuć przy sobie, ale dziadowskiej trumny nie godziło się opuścić... Choć drżały pod nim nogi musiał iść dalej.

Dokoła, mimo śpiewu i płaczu, słyhać było szmer coraz głośniejszy, odbijający się w sercu Mszczuja to strachem, to nadzieją. W tłumach czuć było i oburzenie na zuchwalstwo, z jakim Boleszczyce się pokazać tu śmieli, i radość z ich ocalenia i przybycia. W mnogiej, rozrodzonej rodzinie, jedni byli za nimi, drudzy przeciwko nim.

Głośniej jednak słyhać było oburzenie i szmery niechętne, niż objawy życzliwe. Nikt nie skinął na nich, aby pozsiadali z koni i z orszakiem się połączyli, nikt się nie zdawał ich widzieć, ani troszczyć nimi. Sześciu Boleszczyców, jak stali na koniach szeregiem nad drogą, tak pominięci, nie powitani, wzgardzeni, pozostali sami jedni.

Dopiero, gdy przepłynął tłum cały i szła czeladź, a parobcy dworscy, oni też na drogę wjechali i ztyłu, jadąc za wszystkimi, aż do cmentarza i kościołka się zbliżyli. A z rodziny wszyscy weszli w ogrodzenie, otaczające cmentarz, oni na koniach przed wrotami się zatrzymali.

Trumnę niesiono naprzód do kościoła, gdzie odśpiewane być miały psalmy i dokonana reszta obrzędu... Na cmentarzu już obyczajem chrześcijańskim widać było wykopany dół, do którego ciało spuścić miano.

Stojący na koniach Boleszczyce nie ruszyli się stąd, do kościoła wniknąć nie śmieli... Kilkoletnie wygnanie patrzyło z ich opalonych, bladych twarzy. Wszyscy postarzelisi nad miarę, — a każdy rok tułactwa, dwiema i trzema zapisał się zmarszczkami. Borzywój napół był siwy. Owych młodzieńców wesołych, różnych, gotowych w ogień i wodę, poznać w nich było trudno. Między obcymi stracili dawną swą butę, przywieźli do domu znękaną niewczasami ciała i wymęczone dusze.

Na zamku przygotowaną już była stypa, w której wszystka rodzina miała zasiąść do żałobnych stołów. Gdy na cmentarzu pogrzeb się odbywał, na grodzie w podwórzach, stawiano naprędce z desek układane na pniach stoły, gotowane mięsiwa, beczki piwa i miodu. Stosy chleba leżały przy nich, całe barany i kozły piekły się na ogniskach, a czeladź się około uczt krzątała.

Nie było bowiem naówczas najuboższego nawet pogrzebu bez stypy, który po sobie pogański jeszcze zostawił obyczaj, a biesiady te niekiedy tygodniami trwały. Ów tysiączny lud i ród nakarmić nie było łatwą sprawą, choć niewiele wymagano dla ugoszczenia: chleb, mięso, kasza, miód i piwo starczyło...

Na trumnę starego Odolaja sypał się już piasek żółty, którego pierwszą garść rzucił wnuk najstarszy, a Boleszczyce stali jeszcze niemi, zboleli, nie wiedząc, co dalej poczynać mają.

Wejrzenie ojca, z którym się spotkali, nic ich nie nauczyło; był w niem raczej przestrah, niż radość, więcej przerażenia, niż miłości rodzicielskiej. Znali ojca jako surowego i nieubłaganego sędziego, stali się mu nieposłusznymi, nie wiedzieli, co ich spotkać miało...

Gdy tłum z cmentarza miał zacząć odpływać nazad ku gródkowi, stojący u wrót Boleszczyce ustąpili znów na boki z drogi, a Borzywój postanowił czekać cierpliwie, czyli się nad nimi nie ulitują i nie powołają ich...

Tak na uboczu przystanąwszy, oczyma ojca szukali. Ukazał się Mszczuj wreszcie, ale zesłabły znać wzru-

szeniem i niemocą dawniej złamany, nie sam już siedł, dwu bratanków, synów Jaronierza, prowadziło go pod ręce. Głowę miał zwieszoną i włókł się, jakby nieprzytomny. Za nim szła żywo i coraz głośniej rozmawiająca starszyczna rodu, a potem zmieszany tłum powinowatych i krewnych.

Śmielej oczy wszystkich się zwracały ku Boleszczycom, ale nikt ani się zbliżał, ani słowa przemówić nie chciał. Mszczuj, idący z głową spuszczoną, jakby unikał widoku synów, stanął nagle, podniósł niespokojne oczy, drgnął, szukał wzrokiem dzieci swych, postrzegł i zdał się wahać, czy ma ich pominąć, czy przywołać.

Zatrzymał się tłum za nim idący; — zamieszanie jakieś widać było.

Mszczuj, postawszy nieco, począł się ku synom przedzierać. Rorastąpili mu się ludzie.

Z groźną twarzą, — przybliżył się ojciec ku stojącym, oczy mu się zaiskrzyły gniewem, usta zabełkotały coś niewyraźnie, lecz mówić nie mógł i ręce wyciągnął.

Wszyscy sześciu skoczyli w tej chwili z koni i przybiegli upaść mu do nóg.

Starzec łkał i płakał, dał im przystąpić, lecz ani tknął żadnego, ani się odezwał słowem...

Nareszcie przemógłszy ból i gniew, zawołał:

— Na sąd idźcie!

I wskazał ręką na gród.

— Na sąd, jako winowajcy!

Starszyczna powtórzyła za nim groźno:

— Na sąd!

Mszczuj, lękając się słabości własnej, dźwignął się ku zamkowi, a Boleszczycy, konie zdawszy czeladzi, jak stali razem, połączyli się z tłumem wracającym z kościoła. Otoczeni byli rodziną, znajomymi swoimi, lecz, jak od zapowietrzonych odsuwali się wszyscy, cofali się jedni, wyprzedzali drudzy, zostali sami, jak obcy wśród obcych, odróżnieni, jak winowajcy.

Idąc, mogli dostrzec, iż zapowiedziany na nich sąd, teraz się już przysposabiał; zwoływali się, umawiali



starsi, otaczali Mszczuja, i gdy przeszedłszy wrota, szukali ojca oczyma, zobaczyli go ze stryjami idącego wprost do dziadowskiej izbicy.

Chwilę stali przed izbicą, i gdy niepewni byli jeszcze czy czekać mają, czy wchodzić, Jaromierz przez okno dał znak ręką, aby przybywali.

W pustej izbicy, w której jeszcze resztki pogrzebowego łoża niesprzątnięte leżały w pośrodku, na ławach siedzieli wedle starszeństwa stryjowie wszyscy, Mszczuj na ich czele. Na kiju oparty, nie spojrzał nawet, gdy synowie weszli i stanęli. Nie podniósł on głosu, Jaromierz odezwał się pierwszy:

— Jakaście się tu zjawić śmieli? — zawołał. — Dla kogoście wypowiedzieli dziadowi i ojcu posłuszeństwo — z tym sobie trzymajcie i gińcie z nim! Co tu robicie? Wyście nam obcy!

Borzywój wysłuchiwał gniewnego głosu, pomyślał chwilę i zwolna, dobywając kawał pergaminu z zasukni, począł:

— Król Bolesław nie żyje — umarł na pokucie w klasztorze. Otrzymaliśmy przebaczenie kościelne, wróciwszy na rozkaz księcia Władysława Hermana, odwożąc mu królowę wdowę i syna Bolesławowego, Mieszka. Wygnanie nasze z łaski nowego pana się skończyło, wracamy z wywołania do praw innych ziemian królestwa tego, czyż tylko krew własna i ród odmówi nam łaski i przebaczenia?

Mszczuj podniósł oczy szeroko rozwarte i twarz mu się wyjaśniła; wszyscy inni milczeli.

Na stryjach widać było zdumienie wielkie i nie dającą się ukryć niechęć. Znaczne ziemie i posiadłości na Mszczuja przypadające, gdyby Boleszczyce przez ród swój zaparci i wyrzuceni zostali, przypadły bratankom: — niebardzo więc powrotowi i łasce radzi byli krewni. Ojciec odezwać się jeszcze nie śmiał, gdy Jaromierz począł:

— Mógł nowy pan łaskę uczynić — rzekł — w tem wolę swą miał, a nieboszczyk nasz dziad, któregośmy dziś pogrzebali, co rzekł, tego z mogiły nie odwoła,

a co on wyrzekł, to my święcie spełnić powinniśmy. Słowa jego były, że was znać nie chce, jeśli króla nie opuścicie; prawem dla nas jego słowa! My was za swoich znać nie chcemy!!! Co głowa rodu postanowiła, to ród spełnić musi, inaczej na świecie ładu, posłuchu, i rodu, i domu, i narodu nie będzie!

Zamilkł; inni spoglądali po sobie, Mszczuj głowę spuścił, milczał.

Jaromierz ze słowem pośpieszył:

— Otrzymaliście łaskę pańską, wracacie, jako ojczyce do ziemi tej z przebaczeniem... Co nam do tego? Idźcie sobie rodem osobnym, Boleszczycami, a do nas się nie łączcie, nie chcemy was.

Dwóch stryjów powtórzyło za Jaromierzem:

— Nie chcemy was!

— Takli mówi i ojciec rodzony? — odezwał się Borzywój.

Stary milczał wciąż z głową spuszczoną.

— Przynieśliśmy list królewski, który łaskę nam swą świadczy — dodał Borzywój, rozwijając kartę pergaminową.

Stryjowie patrzali na nią zdala, lecz nikt z nich czytać, ni pisać nie umiał i co stało na karcie, tajemnicą dla nich było <sup>1)</sup>. Głowami trzęśli...

— Co książęciu do spraw rodu i domu? — zawołał z kąta Mieszko — Odolajowe słowo odwołane być nie może. Sam słyszałem od niego, gdy mówił, że na pogrzeb jego jeślibyście przybyć śmieli, czeladź kijmi was od trumny przepędzi. Nie śmiała się porwać czeladź, a no my, synowie i wnuki, poszanować wolę nieboszczyka musimy. Dla was tu miejsca niema.

— Takli mówi i ojciec rodzony? — znów odezwał się Borzywój, ku Mszczujowi poglądając.

Ojciec siedział jeszcze jak głuchy i osłupiały i bez

---

<sup>1)</sup> Długosz wspomina to pismo Władysława Hermana pod r. 1084 „Et cum eo (z Mieszkim) Borzywój filius Mstae Zbilulus, Dobrogostus, Zema, Odolaj, Andreas et alii omnes milites qui cum Boleslao rege in Hungarium effugerunt, omnia eorum mobilia ad plenum restituit“.

życia; walczył z sobą, trząsł się i z oczu ku ziemi spuszczonej lży mu ciekły.

Milczeli wszyscy, odpowiedzi jego czekając, podniósł głowę stary, spojrzął na Borzywoja i stojących za nim i rzekł głosem poruszonym:

— Ojciec pójdzie za dziećmi swojemi. Wyprze się ich ród, za wierność nieszczęśliwemu okazaną, — niechże się i ojca wypiera...

Rękę wyciągnął do Borzywoja:

— Sam tu, rękę mi daj, chodźmy, a rozstańmy się z rodziną i braćmi i będziemy nowego rodu głową, gdy nas od tego, jak suchą gałąź odcięto...

Jaromierz i ci, co przy nim siedzieli, z ław powstali, zrobił się szmer. Mszczuj był teraz najstarszym, głową rodu.

— Nie może to być, abyś ty nas opuścił? — zaczęto wołać — nie może być! Ty z nami!

— Dzieci dla was wyrzec się nie mogę — rzekł Mszczuj. Przebaczył im kościół, darował pan, a ród ma być nieubłagany?... Pogańska zemsta ma ciężyć nad nimi?... Chodźmy stąd, idźmy!

Borzywój i wszyscy synowie otoczyli starca i, nie mówiąc słowa, zbierali się go wyprowadzić z izbicy, gdy we drzwiach szmer się dał słyszeć i w progu ukazał się duchowny.

Był to ów młody Jastrzębiec, którego biskup wrocławski na księdza wyświęcił. On teraz w Jakuszowicach na probostwie siedział: on starego Odolaja przy skonaniu po chrześcijańsku na śmierć przygotowywał i wracał właśnie ze swego kościółka, gdy w izbicy sąd na Boleszczyców zasiadł. Stał za progiem przez cały czas, zakryty przez innych, a teraz, gdy ostatnie słowa usłyszał, rozgarnąwszy stojących, wcisnął się do środka.

— O nieboszczyka Odolaja wolę chodzi? — rzekł cichym głosem.

Jaromierz wtrącił:

— Tak jest, bo wyraźna była i po stokroć nam

wszystkim powtórzona, iż tych, co z wyklętym królem trzymali, nie chce znać i w rodzie ich cierpieć.

— Tak było — odezwał się głosem łagodnym duchowny — lecz mogę wam kapłańskim słowem ręczyć, iż na łożu śmierci przebaczył im wszystkim, co mu zawinili. Spowiadałem go i nie byłbym mógł rozgrzeszyć inaczej. Rzekł mi osłabłym już głosem:

— Żywbym nie darował nieposłuszeństwa, gdy kazecie, muszę...

Zamilkli wszyscy.

Jaromierz syknął niechętnie. Mszczuj się zatrzymał. Stryjowie wahali się chwilę i pomiędzy sobą szeptałi. Toczył się spór widocznie, który słowo duchownego przeważało na Boleszczyców stronę.

— Jeżeli stary przebaczył — odezwał się Jaromierz, choć niechętnie — Bóg z wami! Stoję przy jednym: zwijcież się Boleszczycami nie Jastrzębcami, gdyście Bolesława przenieśli nad ród własny! Nie zapieramy się was — a pamięć tego, co się stało, niech zawołanie wasze zachowa po wieki wieków...

Nikt się już nie sprzeciwiał, nawet Mszczuj, którego otoczyli synowie, i tak w ich gromadzie szedł szczęśliwy starzec ku stołom na stypę, a gdy się z izbicy na podwórcę sędziowie i winowajcy wysunęli, otoczono ich i poczęto witać Boleszczyców, jako braci swych znowu... Dzień pogrzebowy był zarazem dniem zgody i pojednania.

I stypa wśród opowiadań o losach króla, o przygodach na tułactwie, o młodym Mieszk, którego Boleszczyce kochali wielce, nadzieje na nim pokładając wielkie, siedem dni się przeciągnęła. Mszczuj, nie chcąc na Jakuszowicach siedzieć, ustąpił je najmłodszemu, a sam z synami w okolicy Płocka na Mazury powrócił.

K O N I E C



+ Ddo  
—  
d





